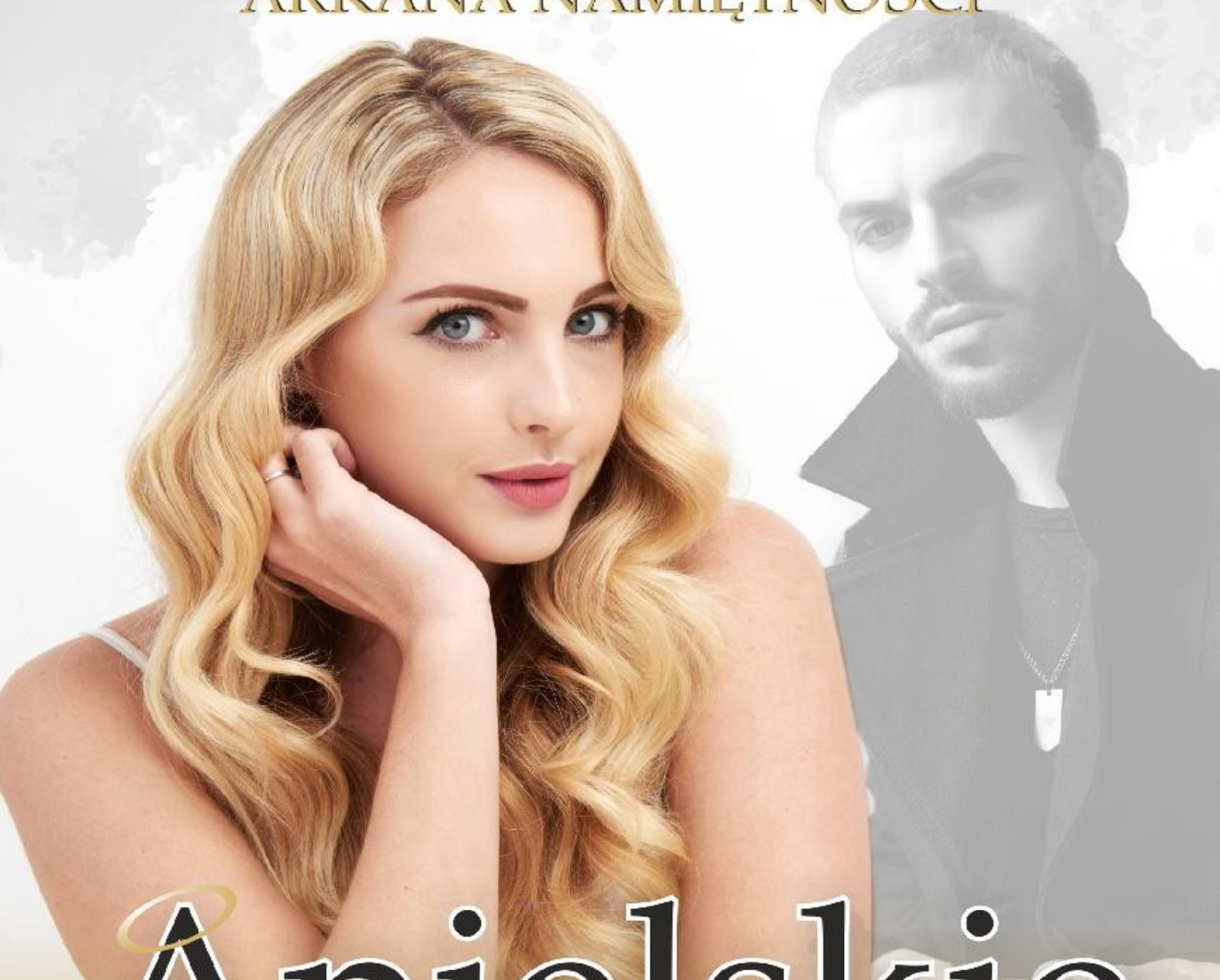


ARKANA NAMIĘTNOŚCI



Anielskie wahania

Ewanna Romans

Table of Contents

[I. Tarot – As Pucharów](#)

[II. Tarot – Dwóch Pucharów](#)

[III. Tarot – Trzech Pucharów](#)

[IV. Tarot – Czterech Pucharów](#)

[V. Tarot – Pięciu Pucharów](#)

[VI. Tarot – Sześciu Pucharów](#)

[VII. Tarot – Siedmiu Pucharów](#)

[VIII. Tarot – Ośmiu Pucharów](#)

[IX. Tarot – Dziewięciu Pucharów](#)

[X. Tarot – Dziesięciu Pucharów](#)

[XI. Tarot – Paź Pucharów](#)

[XII. Tarot – Rycerz Pucharów](#)

[XIII. Tarot – Królowa Pucharów](#)

[XIV. Tarot – Król Pucharów](#)

Arkana namiętności

Tom II

Anielskie wahania

Ewanna Romans

Ten ebook jest chroniony znakiem wodnym

ebookpoint.pl

© *Copyright by Ewana Romans*

Projekt okładki: Justyna Fałek

Redakcja i korekta: Krzysztof Kropka

e-wydanie pierwsze 2022

ISBN: 978-83-8166-333-5

wydawnictwo e-bookowo

Kontakt: ewannaromans@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone

I. Tarot – As Pucharów

Karta tarota As Pucharów to pierwsza karta na dworze, w którym znajdują się Kielichy symbolizujące uczucia i pragnienia. Karta ta traktuje o nowym początku w życiu i konieczności odnalezienia się w nowych okolicznościach, jakie przynosi nam zmienny los. W pozycji prostej As Pucharów mówi o zmianach na lepsze i zaufaniu. W pozycji odwróconej mamy do czynienia z niepokojem emocjonalnym i niską samooceną.

*

– Dziękujemy za przybycie. – Na posterunku policji w Crestone jeden z agentów Federalnego Biura Śledczego otwiera przede mną drzwi do pokoju przesłuchań. – Zapraszam do środka – dodaje.

Ostrożnie stawiając kroki, wchodzę do niewielkiego pomieszczenia. Jest ciemne, chłodne i ascetyczne niczym klasztorna cela. Jedna ze ścian pokoju jest przeszklona. Na pozostałych nie widnieje zupełnie nic. Centralnie na suficie pali się lampa połączona z kręcącym się pod nią wentylatorem. Poniżej znajduje się stół, a po jego dwóch stronach meblowanie uzupełniają krzesła.

Z jednego z nich wstaje brunet pod czterdziestkę. Ubrany jest w ciemny garnitur, jasną koszulę i niebieski krawat. Mężczyzna ten podchodzi do mnie, wyciąga rękę i energicznym głosem się przedstawia:

– Agent federalny Mark Manson, witam.

– Angelina... Angelina Evans. – Daję uścisnąć sobie wiotką dłoń.

– Niech pani usiądzie. – Brunet wskazuje na wolne krzesło koło mnie.

Podciągając białą sukienkę, z gracją zajmuję miejsce. Składam razem dłonie i układam je na złączonych ze sobą kolanach. Nieco garbię sylwetkę i niezmiennie zachowuję powagę.

Mężczyzna dłuższą chwilę stoi koło mnie i mi się przygląda. Aż jakby coś sobie przypomina. Pstryka palcami, kiwa głową, po czym żwawo powraca na swoje krzesło.

Siedząc za stołem, spogląda w otwarty laptop i z plastikowego kubka małymi łykami siorbie ciemny płyn, zapewne kawę. Ponadto co chwilę szybko wystukuje coś na klawiaturze.

Czyni to pewien czas, aż wbija we mnie przenikliwe spojrzenie ciemnych, piwnych oczu. Zaplata razem palce obu dłoni i strzela nimi, przeciągając się na krześle. Następnie, co raz zerkając na ekran komputera, próbuje nawiązać ze mną swobodną rozmowę:

– Mieszka pani w Crestone od ponad roku, zgadza się?

– Tak.

– Jak odnajduje się pani w Kalifornii?

– Podoba mi się tutaj. Klimat jest podobny jak w Teksasie...

– To tam pani się wychowała, w Teksasie?

– Tak.

Agent marszczy ciemne, krzaczaste brwi i dłuższą chwilę patrzy w laptop. Cmokając, wykrzywia kącik ust i wyraża kondolencje:

– Współczuję utraty rodziny w tak młodym wieku.

– Bóg tak chciał.

– Oczywiście. Niezbadane są wyroki pańskie, które musimy respektować. – Mężczyzna z szacunkiem spogląda na mój dekolt, gdzie widoczny jest złoty krzyżyk. W kolejności patrzy na mnie nieco podejrzliwie i pyta:

– Czy tragedia rodzinna stanowiła jedyny powód pani przeprowadzki do Crestone?

– Tak.

– Ma tu pani krewnych?

– Państwa Nelson, wuja Benjamin i ciocię Elizabeth.

– Ale nie jest to pani zbyt bliska rodzina?

– Wuj Benjamin jest kuzynem mojego zmarłego ojca.

– To prawda... – Agent wpatruje się w ekran i nie odrywając od niego wzroku, zauważa: – Bliższych krewnych ma pani jednak w Seattle, Kansas City i Chicago. Czemu zatem wybór padł na Crestone?

– Tak jak już wspomniałam. Zaważył ciepły klimat Kalifornii. Ale też...

– Proszę kontynuować.

– Wychowałam się na rancho. Więc obawiałam się mieszkać w zbyt dużym mieście. Ponadto państwo Nelson byli mi dobrze znani.

– Skąd to zacieśnienie więzi z krewnymi z Kalifornii?

– Są to osoby mocno wierzące, tak jak ja. Benjamin i jego żona Elizabeth byli częstymi gośćmi na spotkaniach religijnych organizowanych w Teksasie.

- *Pani ich nie odwiedzała wcześniej w Crestone?*
- *Nie miałam takiej przyjemności.*
- *Więc w czasie przyjazdu tutaj po raz pierwszy, spoza wąskiego kręgu krewnych, nikogo tu pani nie znała?*
- *Nikogo.*
- *Nie znała też pani... Mike'a Damona, przeciwko któremu wszczęto postępowanie federalne?*
- *Nie... Nie znałam go wtedy.*
- *Czy jest pani wiadome, że... – Agent zawiesza głos, wyostrza skierowany na mnie wzrok i wypala: – Mike Damon kilkakrotnie odwiedzał okolice miejsca pani zamieszkania w Teksasie, kiedy jeszcze pani tam przebywała? Ponadto znajdował się w tym stanie, gdy doszło do tragedii związanej ze śmiercią pani rodziców.*
- *To... To raczej zbyt nieprawdopodobne, niemożliwe. – Wobec ostatnich słów oficera mój wymuszony spokój i opanowanie pryskają jak bańka mydlana. Nagle sama surowo patrzę na mężczyznę naprzeciw, świdrując go ostrym spojrzeniem. Opuszczony dotąd podbródek zadzieram. Nie jestem też w stanie dłużej trzymać poniżej blatu opuszczonych dłoni. Zostają one wzniesione. Podobnie podniesiony zostaje mój głos: – To co pan mówi. To nie ma sensu!*
- *Dlaczego pani tak uważa?*
- *Co niby Mike miałyby w przeszłości robić na jakimś zadupiu w Teksasie?!*
- *Miałem nadzieję, że pani odpowie na to pytanie.*
- *Jak miałabym odpowiedzieć?! – Niczym anielskie skrzydła bezradnie rozkładam ramiona i z nutą rozpaczki w głosie zaznaczam: – Mike'a poznałam dopiero w Crestone!*
- *Przy jakiej okazji go tu pani poznała?*
- *To było... kiedy...*
- *Proszę mówić, śmiało. – Agent zachęca mnie gestem dłoni, abym wyjawiała okoliczności poznania Damona. Były one jednak takie, że ciężko mi o nich mówić, aby nie zabrzmiało to podejrzenie. Przyparta do muru uciekam wzrokiem i rzucam:*
- *Mike'a poznałam... na ulicy w Crestone. Zaczepił mnie...*
- *To bardzo ciekawe, co pani twierdzi.*
- *Dlaczego? – Z trudem przełykam ślinę i znów patrzę na mężczyznę. On wpatruje się w laptop i zimno recytuje:*

– Kilkunastu studentów z college'u w tym mieście zeznało, że Mike Damon nagle powrócił do Crestone po kilkuletniej nieobecności i od razu pojawił się w szkole. Podobno była tam pani obecna i rozmawialiście. Kiedy więc wcześniej miała pani okazję poznać na ulicy Damona?

– Nie... pamiętam.

– Za to uczniowie college'u pamiętają doskonale, jak w dniu pojawienia się w mieście, Mike pobił w szkole niejakiego Lucasa Lee, który panią szykanował.

– Może i tak.

– Czemu pani bronisz?

– Nie wiem. Nie znaliśmy się wcześniej.

– Więc poznaliście się wtedy, na szkolnym korytarzu?

– Tak...

– Przed chwilą pani zeznała, że poznała pani Mike'a na ulicy. Ponoć panią zaczepił.

– Pomyliłam się...

– Często myli się pani przy odpowiedziach na proste pytania?

– Bywa...

– Może więc myli się pani także co do tego, że nie utrzymywała pani kontaktów z Damonem w czasie pobytu w Teksasie?

– Nie znałam Mike'a w Teksasie!

– Poznała go pani na szkolnym korytarzu w Crestone, kiedy pobił Lucasa Lee.

– Tak...

– Narażał się dla zupełnie nieznannej dziewczyny?

– Chyba... tak.

– Podobno nie wyglądało to tak, jakbyście się nie znali.

– Nie wiem, kurwa, jak to wyglądało! – Nagle całkiem puszczają mi nerwy. Nie mogę jednak ochłonąć, bo swoimi kolejnymi słowami, które są niczym diabelskie dźgnięcia widłami, agent już kompletnie wyprowadza mnie z równowagi:

– Powiem, pani, jak to według mnie wyglądało! – Mężczyzna także podnosi głos. – Nawiązała pani kontakty z Damonem jeszcze podczas zamieszkiwania w Teksasie. Dostarczał pani

narkotyki, które rozprowadzała pani wśród swojej społeczności. O tym procederze dowiedzieli się pani rodzice. Mike upozorował ich wypadek, zabił ich. Umówiliście się, że dalej będziecie działać wspólnie w Crestone. Pani pojawiła się tu pierwsza. Gdy powstało zagrożenie ze strony Lucasa, wezwała pani swojego wspólnika. On przyjechał i pobił pani oprawcę. Następnie razem rozwijaliście w Crestone zorganizowaną działalność przestępczą, na co mam świadków. Tak to widzę, pani Angelino Evans!

– To... To jakieś... szaleństwo! – zanoszę się płaczem.

– Dla swojego dobra proszę się przyznać!

– Ale ja...

– Proszę wreszcie wyznać prawdę!

By uciec od przygniatającej mnie swym ciężarem presji, wstaję. Zataczam się pod ścianę, zasłaniam twarz dłońmi i psychicznie rozbita przez agenta szlocham.

– Mark, wyluzuj trochę – słyszę skrzypnięcie otwieranych drzwi i nowy, męski głos.

– Przynieś mi jeszcze kawy, Frank.

– A dla niej?

– Ona niczego nie potrzebuje, poza pójdziem z nami na ugodę.

– Jak uważasz, Mark.

Zapada kojąca dla mnie cisza. Sprawia ona, że nieco się uspokajam, bo nie atakują mnie już bezwzględne pytania oraz nedorzeczne insynuacje agenta.

Odejmuję dłonie od mokrych policzków. Jestem świadkiem tego, jak jakiś mężczyzna wnosi do pokoju kubek i podaje go przesłuchującemu mnie facetowi. On sam, widząc, że znowu na niego patrzę, wskazuje moje krzesło.

Niechętnie, ale ponownie na nim zasiadam. Uprzednio rozłożona na łopatki, teraz jestem już pełna pokory. Spoglądam w centralną część stołu i czekam na kolejne pytania. Te, wypowiedane ostro, jak cięcia nożem, padają po chwili:

– Czy utrzymywała pani kontakty seksualne z Damonem?

– Tak... – szepczę.

– Od jak dawna?

– Od prawie... roku.

– Mieszkaliście razem?

- *Przejsciowo.*
- *Czemu przejsciowo?*
- *Bywało, że się kłóciliśmy.*
- *Bił panią?*
- *Nie... Nie było między nami aktów przemocy.*
- *Jest pani pewna?*
- *Tak, najzupełniej.*
- *Sandra Lopez jest innego zdania. Zeznała, że była świadkiem tego, jak w swoim domu Damon rozbił pani ciałem szklany stół. Doktor Oliver Harris z miejscowego szpitala zeznał z kolei, że założył pani wtedy kilkanaście szwów. Zapytam więc inaczej. Jak często Mike karał panią fizycznie za nieposłuszeństwo? Jak często był wobec pani brutalny?*
- *On... nie. On nigdy...*
- *Kelnerka z lokalu Pod Płonącym Aniołem zeznała, że w jednym z tamtejszych pomieszczeń pani partner panią pobił.*
- *To nie było...*
- *W wymienionym lokalu opuściła pani pokój Mike'a zapłakana i z rozciętymi ustami. Stało się to po tym, jak Damon kierował pod pani adresem groźby. Pozwoli pani, że zacytuję: „pokaże ci, jaki los czeka aniołki, które tracą skrzydła i spadają prosto do piekła”.*
- *Tam... nic wielkiego się nie wydarzyło.*
- *Czy zaprzecza pani zeznaniom wspomnianej kelnerki?*
- *Raczej... tak.*
- *Czy chce ją pani oskarżyć o krzywoprzysięstwo?*
- *Nie wiem...*
- *Zastrzegam, że w razie udowodnienia stawiania przez panią fałszywych oskarżeń, zostaną pani postawione prawne zarzuty. Więc chce pani podważyć zeznania świadka?*
- *Nie... Nie chcę.*
- *Już nie zaprzecza pani zeznaniom kelnerki?*
- *Nie... Nie zaprzeczam.*

- *Dobrze. Zatem dlaczego nie wniosła pani pozwu o pobicie?*
- *Nie wiem.*
- *Więc przyznaje pani, że Damon panią pobił.*
- *To było raczej...*
- *Czy chce pani obecnie wnieść oskarżenie o użycie przemocy wobec swojej osoby?*
- *Nie chcę.*
- *Proszę się nie bać.*
- *Nie boję się.*
- *Pani oprawca został już aresztowany. Ponadto Biuro Federalne udzieli pani wszelkich niezbędnych środków ochrony.*
- *Chcę już stąd wyjść...*
- *Jeżeli zdecyduje się pani z nami współpracować, możemy nie wnieść przeciwko pani oskarżenia o współudział w kierowaniu zorganizowaną grupą przestępczą.*
- *Wypuście mnie.*
- *Ewentualnie możemy zabiegać o nadzwyczajne złagodzenie kary zgodnie z...*
- *Dość! – Rozdygotana wstaje.*

Czuję, że jeszcze chwila w pokoju przesłuchań i tu oszaleję. Albo, co gorsza, pod presją naprawdę pójdę z federalnymi na współpracę i oskarżę Mike'a o wszelkie zło tego świata. Czegoś takiego jednak nigdy bym sobie nie wybaczyła, bo zdradziłabym człowieka, którego kocham. Zdradziłabym naszą miłość.

- *Chcę stąd wyjść. Wypuście mnie. Nie macie prawa mnie tu dłużej trzymać! – Uderzam pięściami w drzwi. Te zostają przede mną otwarte. Wręcz wypychają mnie za nie, kończące moje przesłuchanie, złowrogie słowa agenta Mansona:*

- *Twój chłopak dostanie dożywocie, pogódź się z tym. Ty masz szansę się jeszcze wywinąć. Ale ta szansa będzie z czasem maleć. Poza tym masz sądowy zakaz opuszczania miasta. Widzimy się niebawem.*

Na korytarzu kładę dłoń na pospiesznie trzepoczącym mi sercu i szybkim krokiem zmierzam do wyjścia z budynku. Po drodze nadziewam się na ociężałe kroczonego w przeciwną stronę prawnika Mike'a. To człowiek, który zadeklarował się też pośredniczyć w moich kontaktach z

federalnymi. Zatrzymuję się więc przed nim i wzburzona moim przesłuchaniem z siebie wyrzucam:

– Gdzie pan się, na litość boską, podziewał?!

Zdenerwowany pan Alexander Freed, starszy już mężczyzna z siwą brodą i wąsami, z przejęciem odpowiada:

– Dranie zatrzymali mnie na parkingu. Sprawdzali mi wóz, papiery i wszystko po kolei. Wstrzymywali mnie tak długo, aż...

– Aż sama trafiłam na te pieprzone przesłuchanie! – Bezradnie wymachuję rękoma.

– Jak... poszło? – zapytuje z rezerwą prawnik.

– Jak?! – Patrzę na niego ze łzami w oczach, czyniąc bolesciwe grymasy twarzy.

W tym momencie kątem oka zauważam za mną agenta Mansona, który mi się przygląda. Kolejny już raz jest on świadkiem wybuchu mojej histerii. Wiem, że nie stawia mnie to w dobrym świetle, bo wygląda to, jakbym panicznie próbowała coś ukryć. Taka jest w sumie prawda. Dlatego nie przedłużam spotkania z prawnikiem:

– Cudownie było znowu pana spotkać, panie Freed. Ale następnym razem proszę... błagam być punktualnym. – Na pożegnanie wyciągam dłoń. Jej uścisk zostaje odwzajemniony i już idę dalej korytarzem.

Między palcami dopiero co ściskanej mi ręki odczuwam jakiś drobiazg. Widzę, że podarowany został mi zwitek papieru. Nie przestając iść, rozwijam go i czytam:

„Pierwsza musisz znaleźć te dziesięć funtów heroiny, musisz. Twój Mike”.

W nagłym przestraszu czym prędzej wkładam sobie papier do ust. Przystaję przy automacie z wodą i drżącymi od emocji dłońmi nalewam sobie pełen kubek. Wlewam do buzi płyn, po czym połykam go wraz z pisemną wiadomością.

Wznawiam szybki marsz. Będąc ciągle w szoku, wychodzę na zalaną słońcem ulicę i tutaj się zatrzymuję.

Zastanawiam się, w którą iść stronę. To że nikt po mnie nie przyjedzie, i nie mam co kogoś wzywać, jest dla mnie oczywiste.

Po aresztowaniu Mike'a na cały gang Demonów padł blady strach, a jego działalność została sparaliżowana. Na fabrykę narkotyków był nalot. Anielski klub i kasyno zostały zamknięte. W dziupli samochodowej pewnie też nikt już się nie pojawia.

Do tego w obławie policyjnej, podczas której aresztowano mojego chłopaka, zaginęło dziesięć funtów heroiny. Gdyby mój Mike został wtedy złapany z towarem, byłoby już po nim. W

zaistniałej sytuacji, według prawnika, ma szansę nawet uniknąć więzienia. Federalni jednak nie zamierzają odpuścić i szukają na Damona haków. W tym oskarżają go nawet, poniekąd słusznie, o wielokrotne łamanie przepisów drogowych.

Ja w tym całym chaosie, który ma miejsce na początku roku szkolnego, zupełnie nie mogę się odnaleźć. Z nieba trafiaam do piekła. Czuję się jak na nowym etapie życiowej drogi, która jest wyjątkowo kręta i wyboista. Miejscami ma też rozpadliny, w które bardzo boję się spaść. Wszystko w mej egzystencji na powrót staje się bardzo niepewne. Jestem osamotniona, jak po śmierci rodziców, i oparcie znajduję jedynie w Bogu.

Mysząc o nim, jak o mojej opoce, spoglądam w kierunku widocznej w centrum miasta iglicy krzyża na kościele. Nie decyduję się jednak udać do miejsca modlitwy. Pieszko obieram drogę do domu, który obecnie zamieszkuję, a jest to wyremontowane po pożarze mieszkanie państwa Nelson.

Elizabeth i Benjamin szczęśliwie ciągle nic nie wiedzą o moich kłopotach z prawem. Ponowne zaś pragnienie zamieszkania ze staruszkami uzasadniłam kłótnią z chłopakiem.

Moja ciocia wyraziła zrozumienie. Wujek z kolei znów stracił do mnie cierpliwość i przestał się do mnie odzywać.

Rozumiem to, że moja chwiejność na dobre wyprowadziła go z równowagi i we mnie ostatecznie zwątpił. Wdzięczna więc jestem mu podwójnie za to, że przynajmniej pozwala mi u siebie mieszkać. Alternatywą byłoby bowiem dla mnie wynajęcie mieszkania, ponieważ wszystkie nieruchomości Mike'a zabezpieczyła policja.

Pozostaje mi chyba tylko żywić nadzieję, że w jakiś cudowny sposób, z bożą łaską, sprawy ponownie zaczną się układać po mojej myśli. Mój ukochany zostanie oczyszczony z zarzutów. Albo przynajmniej otrzyma... niski wyrok, a ja pozostanę na wolności.

Tak czy inaczej, teraz muszę radzić sobie sama. Jest to coś, od czego pod opieką Damona odwykłam i czego się obawiam. Lękam się, że sobie nie poradzę. Strach ogarnia mnie także na myśl, co będę musiała zrobić, aby nie dać się pochłonąć chaosowi.

Gdy zasiadam w swoim pokoju i robię to co ostatnio, zamartwiam się, w pewnym momencie słyszę dźwięk obwieszczający otrzymanie wiadomości tekstowej. Nieufnie patrzę na milczący od tygodnia telefon, na który ostatnio dzwonił agent Manson, wzywając mnie na przesłuchanie. Obecnie widzę, że kontaktuje się ze mną... Lucas.

Odbieram w podbrzuszu nieprzyjemny skurcz. Odczytuję wiadomość o treści: „czekam za rogiem” i już całkiem wykręca mi wnętrzości.

Jak wyjątkowo zły sen wspominam moje perypetie z Wodzem z zeszłego roku. Teraz jest on w czwartej klasie college'u, ja w drugiej. W bieżącej sytuacji, w razie nowych problemów z Lucasem, Mike już mnie nie ochroni, ani nikt inny. Czyli znów mogę zostać poddana szykanom.

Mimo wszystko pragnę wierzyć, że nie jestem już tak zastrachaną dziewczyną, jak w zeszłym roku. Nie dam sobą poniewierać i nie dam się wykorzystywać. Dlatego na spotkanie idę nie tylko w białej spódnicy i pod kolor bluzce, ale też uzbrojona w determinację i odwagę.

– Wrócisz na kolację, Angelino? – W progu wyjściowych drzwi dogania mnie troskliwe zapytanie Elizabeth.

– Wróć! – odkrzykuję w głąb domu, po czym zmierzam na róg ulicy.

Po drodze bacznie przyglądam się zaparkowanym wozom i przechodniom. Nerwowo się zastanawiam, czy aby nie jestem śledzona przez federalnych?

Uśmiecham się wyjątkowo kwaśno na myśl, że akurat spotkanie z Lucasem w oczach agentów powinno wyglądać w miarę niewinnie. Na pewno zaś nie byłoby bezpieczne kontaktowanie się teraz z którymkolwiek z bliżej znanych mi gangsterów: Hunterem czy choćby Zionem.

– Wreszcie jesteś. Stęskniłem się.

Kiedy zasiadam w sportowym wozie, Wódz od razu za wiele sobie pozwala. Władczo obejmuje mnie ramieniem, zupełnie jakbym nagle mogła stanowić jego własność. Siedzę sztywno i tylko patrzę przed siebie. Moją postawą wyrażam dumę i nieustępliwość.

– Jutro zaczyna się rok szkolny – zauważa mężczyzna. – Z tej okazji mam coś dla ciebie. – Na moich kolanach ląduje biała koszulka, która wygląda na sportową. – Przymierz – otrzymuję zachętę.

Przełamuję się i biorę do ręki подарowane mi ubranie. Rozkładam je i zerkam na jedną, to drugą stronę.

Przód zawiera wymalowany na czerwono numer sześćdziesiąt dziewięć. Cóż za niespodzianka – myślę sobie o wspomnianej liczbie, jako bezczelnej sugestii, co mogłoby mnie łączyć z Wodzem. Z tyłu dodatkowo widnieje na koszulce napis „rezerwowa”.

– Nie chcę tego. – Odstępując dla mnie prezent ze wzgardą odrzucam darczyńcy. On, zupełnie jakbyśmy byli na randce, przyciąga mnie do siebie mocniej i kusi:

– No załóż. Na pewno będzie pasować. Poza tym chcę cię w tym widzieć w szkole.

– Kolejne wymuszenie?

– A wiesz, że... chyba tak. – Wódz bawi się moim złotym lokiem, okręcając go sobie wokół palca. Zdecydowanie zabieram jego rękę z moich włosów i z urazą w głosie posykuję:

– Podpisane majtki już ci nie wystarczą?

- Pomazane majteczki były dobre, ale w tamtym roku – wzdycha mężczyzna. – W obecnym mam nowe aspiracje – stwierdza, a wobec mojego milczenia naciska: – No zgódź się, będzie fajnie. Sama zobaczysz.
- A jak się nie zgodzę, to co?
- Wtedy, na własne życzenie, będziesz miała w szkole bardzo niefajnie. Bo Mike już cię nie obroni.
- To sama sobie poradzę.
- Jako dziewczyna skazańca i ktoś, kogo z radością będę gnębił, będziesz miała spore pole do popisu w radzeniu sobie samej.
- Zabrzmiało to jak groźba. – Patrzę na Lucasa z ogniem w oczach. On rezolutnie potwierdza:
- Najpierw była prośba. Ale jeśli nią gardzisz... to jest groźba.
- Skończyliśmy rozmowę?
- Osobiście od siebie już ci powiedziałem, co chciałem.
- Zatem żegnam.
- Czekaj.
- Niby jeszcze na co?
- Drobną sprawę ma do ciebie jeszcze moja Sandra. To ci jej słowa przekażę.
- Byle szybko.
- Moja dziewczyna sama wybrała ci koszulkę, którą ci pokazałem. Zaznaczyła, że bardzo się ucieszy, jak zostaniesz jej rezerwową z numerem sześćdziesiąt dziewięć. Za to mocno się zmartwi, jeśli nią nie zostaniesz.
- Trudno. Twoja dziewczyna jakoś będzie musiała żyć z rozczarowaniem, jakie jej zafunduję.
- Rozumiem to. Ale czy zrozumie to Sandra? I nic z tym nie robi?
- Co niby miałyby zrobić?
- Cóż... – Wódz wrzuca sobie na prostokątną twarz pełen samozadowolenia uśmieszek, po czym objawia przede mną swój perfidny plan: – Podejrzewam, że na kolejnym przesłuchaniu przez federalnych Sandra może sobie nagle przypomnieć, że Mike ją porwał, więził i groził wycięciem na cyckach pentagramu. Następnie Sandra sięgnie pamięcią dalej i wyzna, że zanim zostałaś aniołkiem Damona, on pokazał jej wytwórnę prochów i samochodową dziuplę. Po tych zeznaniach ty i Sandra będziecie pewnie już mogły zapomnieć o waszym

kochasiu, bo wystarczająco zostanie pogrążony, abyście go więcej nie zobaczyły. No chyba, że któraś z was pokusi się o wizytę w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Kręci cię może wycieczka do Alcatraz? Masz na nią ochotę?

Nastaje cisza i bezruch. Nie słyhać już nawet śpiewu ptaków. Wiatr zamiera i przestaje poruszać liśćmi drzew.

W rzeczywistości, do której trafiam, wszystko wokół wydaje mi się raptem takie pozbawione wyrazu i puste. Muszę jednak udać, że jedna rzecz jest wyjątkowo atrakcyjna. Muszę to zrobić, by chronić to, co jest dla mnie najwięcej warte, co noszę w sercu. Muszę to zrobić dla ukochanej osoby.

– Właściwie to... mogę jeszcze raz zerknąć na tę koszulkę? – W wymuszony sposób ładnie się uśmiecham. – Może rzeczywiście byłoby mi w niej dobrze, tak do twarzy i w ogóle.

– Proszę...

Odbieram ubranie, ponownie oglądam i odkrywco stwierdzam:

– W sumie, jak tak lepiej się przyjrzeć, to jest całkiem niezły ciuch. Rezerwowa...? Czemu nie! – Zdejmuję moją nieskazitelnie białą bluzkę, po czym zakładam tę z numerem sześćdziesiąt dziewięć. – I jak leży? – Przekręcam się przodem do mężczyzny i dłońmi unoszę biust.

– Mocno, a nawet za mocno, obcisła. Dokładnie taka właśnie powinna być – zauważa z satysfakcją Wódz, patrząc na moje ściskane przez materiał ubioru piersi. Ja pragnę się upewnić tylko co do dwóch rzeczy:

– Czyli teraz jesteś już zadowolony, a Sandra będzie milczeć jak grób.

– Zobaczymy, co się z tego urodzi... – odpowiada tajemniczo, ale i złowrogo, Lucas. Łakomie wyciąga łapska w kierunku mojego ściśniętego biustu, lecz na tym kończą się jego zakusy, bo już wyskakują z samochodu.

– Wielkie dzięki za koszulkę i pogawędkę, pa! – Z chodnika rzucam ostatni, wymuszony uśmiech. Odwracam się na pięcie i wtedy prawie wymiotuję na swój nowy ciuch. Do tego, co już całkiem przyprawia mnie o mdłości, na pożegnanie słyszę:

– Pamiętaj, że w nowym stroju masz się prezentować w szkole. Moja ty Święta, czy tam już niebawem... Grzeszna. Trzymaj się!

Wódz odjeżdża z piskiem opon, a w moich uszach, jak echo, odbija się zapowiedź o świętej osobie stojącej się grzesznikiem. Stąd wnioskuję, że noszenie upokarzającej mnie koszulki to dopiero pierwsza z wątpliwych atrakcji, jakie mi szykuje mój ciemiężyciel.

Uzmysławiam sobie, że ostatnio może i miałam pod górkę, ale najwidoczniej los szykuje mi teraz najprawdziwszą Golgotę. Czy w drodze na nią boleśnie runę w przepaść? Czy spotka mnie bolesny upadek, po którym już się nie podniosę? Powtarzam sobie w duchu, że nie może

tak być. Nawet nie ma mowy. Bez względu na nowe, piętrzące się przede mną karkołomne przeszkody, muszę je pokonać. Nie mogę zawieść. Nie mogę zawieść siebie i kochanej przeze mnie osoby.

II. Tarot - Dwóch Pucharów

Karta tarota Dwóch Pucharów mówi o wszelkiego rodzaju relacjach. Nie tylko na płaszczyźnie uczuciowej, ale wszędzie tam, gdzie dochodzi do zawierania jakiegoś układu między dwoma podmiotami. W pozycji prostej i odwróconej karta ta odnosi się odpowiednio do zawieranych i zrywanych umów.

*

Rozpoczyna się nowy rok akademicki w college'u w Crestone. Właśnie dziś jest jego inauguracja i odbywają się pierwsze zajęcia.

Zgodnie z moim planem zajęć na początek mam lekcję historii. W pierwszym rzędzie przy nauczycielskim biurku zasiadam koło Liliany. W tym względzie nic się nie zmienia. Poza tym jednak trudno mi się odnaleźć w szkole, a przyczyn jest tego bez liku.

– Mamy dziś pierwszy września. Jest to zarazem data wybuchu Drugiej Wojny Światowej. O jej genezie teraz sobie wspólnie porozmawiamy. Kto będzie chętny przybliżyć nam temat dyskusji? – Nauczyciel historii rozgląda się po sali, po czym rozczarowany pyta: – Naprawdę nikt z was nie podzieli się wiedzą, jaką wyniósł z dotychczasowej edukacji? Halo, pobudka, wakacje już się skończyły! – Mimo nalegań żaden z uczniów nie zgłasza się na ochotnika. – Angelino, ty również nie chcesz się wykazać?

– Nie tym razem, proszę pana.

– To jakaś zмова i ty także w niej uczestniczysz? Przecież wiem, że zadany temat nie jest ci obcy, prawda?

– Nie jest mi... obcy.

– Zatem do dzieła. Wstań, abyś była dobrze słyszana i pokazała też sobą kogoś, kto jest za pan brat z historyczną wiedzą. No już, Angelino, nie daj się prosić.

Pociągnięta do odpowiedzi wstaję. Zgodnie z zaleceniem Lucasa ubrana jestem w obcisłą koszulkę z czerwonym numerem sześćdziesiąt dziewięć, co oczywiście mocno rzuca się w oczy. Szczególnie że do tej pory zdecydowanie preferowałam w ubiorze sukienki o czysto białym kolorze.

Wszyscy obecni wpatrują się z zaciekawieniem w moją nową prezencję. Ja zaś, wielce speszona, dukam:

– Zwiastunów wybuchu wojny światowej w trzeciej dekadzie dwudziestego wieku było... wiele. Za jeden z nich możemy uznać układ monachijski i rozbiór... Czechosłowacji.

- Sama się rozbierz.
- Do końca.
- I tak niewiele ci już brakuje...
- Bo to i owo ci prześwituje!

Wobec niewybrednych wzmianek na temat mojego stroju, które padają z tylnych ławek, patrzę zażenowana na nauczyciela. On, jak zahipnotyzowany, wpatruje się w mój biust i rozwiera z wrażenia szczękę. Aż w pewnym momencie ordynarnie drapie się po jajach.

Tego jest już za wiele i to nie tylko dla mnie...

Nagle przez salę przelewa się fala za falą studenckiego rechotu.

- Przepraszam najmocniej. - Równie zawstydzony, co ja, nauczyciel reflektuje się, że trochę, a nawet bardzo, się zapomniał. - Angelino, już ci dziękuję, usiądź, proszę - rzuca nerwowo. Odwraca się przodem do tablicy, aby ukryć przed uczniami swoją konsternację. Bierze kredę, bezładnie nią macha i mamrocze pod nosem coś na temat układu monachijskiego.

Siadam na swoim miejscu, myśląc sobie, że wspomniany układ europejskich mocarstw był to zgniły kompromis, który i tak nie zapobiegł wielkiej tragedii, czyli globalnej wojnie. Czy w podobny sposób i ja wchodzę teraz w relacje, które ostatecznie nie przyczynią się do niczego dobrego i doprowadzą mnie jedynie do klęski?

- Cicho... Lukas zabronił się z niej śmiać.
- Lukas zabronił się śmiać.
- Lukas zabronił.
- Zabronił.
- Zabronił...

Za plecami słyszę podawane sobie z ust do ust ostrzegawcze szepty. W klasie zapanowuje cisza, jak makiem zasiał i już nikt nie rechoce. Jest to dla mnie dowód, że moja nowa umowa z Wodzem jest jednak coś warta. To z kolei sprawia, że nieszczęsna koszulka z czerwonym numerem zyskuje dla mnie realną wartość w odniesieniu do tego, jak będę traktowana w szkole.

- Dziękuję, że wysiedzieliście na mojej lekcji. Na następnej omówimy wrześniową inwazję na Polskę. Przeanalizujemy, co warte mogą być deklaracje sojuszników i czym skutkuje niedotrzymywanie sojuszniczych zobowiązań.

Nauczyciel kończy swoje zajęcia z moim udziałem.

W drodze na kolejną lekcję wychodzę z klasy, mając u boku Lilianę. Na korytarzu stuka mnie ona lekko w żebra i wreszcie przerywa trwającą między nami od wielu dni ciszę:

– Co za koszmar z tymi federalnymi. Ale dłużej tak ani mru-mru to już nie dam rady. No normalnie nie wyrobię. – Zdegustowana dziewczyna głęboko wzdycha. – W szkole możemy chyba nareszcie pogadać swobodnie. Raczej nie ma szans, aby nas tu podsłuchiwali. Co sądzisz?

– Sama... nie wiem – stwierdzam zdawkowo i z rezerwą zerkam na Carterównę.

To trochę przykre, ale nie ufam przyjaciółce, której swego czasu uratowałam życie. Moja podejrzliwość zaś bierze się stąd, że ta osoba została ostatnio włączona w poczet gangu Demonów, przez co brała udział w nielegalnych interesach. Nie mogę więc mieć pewności, że federalni czegoś na nią nie mają i nie podstawiają jej właśnie, aby wyciągnęła ze mnie informacje. W konsekwencji nie zamierzam się przed pyzatą rudaską otwierać. Ona, widząc moją powściągliwość, szarpie mnie za rękaw koszuli i posykuje:

– Daj spokój, Angelino. Gadaj ze mną, jak kiedyś, bo oszaleję. Odkąd poszła fala aresztowań, to nikt ze mną normalnie nie gada. No nie mów, że ty też!

– Co u... Alexa?

– Co u mojego trzepniętego braciszka? Naprawdę on cię teraz najbardziej interesuje? Kurwa...

– Tak tylko... pytam.

– No to ci powiem, że na dobre zagnieździł się w Los Angeles. Twierdzi, że został ochroniarzem w nocnym klubie. Ale wcale mu nie wierzę. Wcale! Jak nic wstąpił do jakiegoś gangu.

– Nie wierzysz własnemu bratu? – rzucam rezolutnie. Na co Carterówna, nawiązując do pamiętnego dnia w odrestaurowanej rezydencji Damona, zirytowana warczy:

– Alex już zawsze prawdę powie tylko jednej osobie. Tobie, kochaniutka. Zresztą poproś ty go o nerkę, to wyśle ci swoje dwie. Poproś o serce, też ci prześle i jeszcze dorzuci płuco palacza cygar w prezencie.

– Skąd taka hojność? – uśmiecham się lekko.

– Skąd...? – Liliana wymija na korytarzu grupkę studentów i stwierdza: – Alex z radością się wypatroszy dla ciebie, bo on uważa, że już... nie żyje. Twierdzi, że umarł tamtego dnia. Wiesz, którego. Tego, kiedy go ocaliłaś. Jest teraz zombie. Ale takim, nad którym masz władzę, kontrolę. Więc jak coś to...

– To co?

– No masz na swoich usługach zombie Alexa, mojego brata. Chociaż, jak widzę, i nie tylko ja, masz też... – Carterówna przygląda mi się i głupkowato wypala: – Kurewsko zajefajną koszulkę! Czyżby był to seksowny prezent od naszego... Wodza?

Dziewczyna przenosi spojrzenie na centrum korytarza. W obstawie kilkunastu graczy drużyny futbolowej idzie tam wspomniany Lucas. Gdy do mnie dociera, puszcza mi oko. Następnie zatrzymuje się naprzeciwko mojej osoby i po obu stronach moich opuszczonych ramion wznosi własne, potężne łapska. Tym samym zostaję osaczona i znajduję się nagle jakby w męskiej klatce. Ponadto taki gest mężczyzny niedwuznacznie wskazuje na moją prezentację, gdzie podziwiałymi mój nowy ubiór są zawodnicy futbolu.

Ta uwłaczająca mej godności scena trwa zbyt długo, abym mogła w ogóle zareagować. Decyduję jednak odpuścić sobie wcielanie się w cierpiętnicę. Wybieram takie zachowanie, aby całą sytuację wykipić i tym samym nie dać zbyt wielkiej satysfakcji memu ciemieżycielowi.

W rezultacie się śmieję. W odpowiedzi Wódz też się śmieje. Rechocą również jego kumple. Jedyną, która zachowuje powagę, i wyraża niesmak miną na twarzy, jest Liliana.

Gdy wreszcie sportowcy odchodzą, i znów mogę swobodnie kroczyć szkolnym korytarzem, Carterówna wyjątkowo kwaśno się do mnie zwraca:

– Ciągłe jesteś dziewczyną Mike'a. To zobowiązuje. Nie możesz dać się tak poniżać.

– To tylko takie tam... szczeniackie zabawy – bagatelizuję sprawę.

– Zabawy, kurwa... Dziewczyno, w tym obcisłym wdzianku praktycznie widać ci cycki. Do tego ta liczba sześćdziesiąt dziewięć i napis rezerwowa. To sugeruje, że robisz Lucasowi dobrze albo i całej jego drużynie. To ma być niby, kurwa, zabawne?! – Zbulwersowana Liliana popycha mnie tak mocno, że na chwilę tracę równowagę. Nie ma jednak takiej opcji, abyśmy pobiły się na korytarzu, bo jestem szybko przepraszana: – Wybacz, Angelino, poniosło mnie. – Nerwuska łapie mnie, pomagając mi zachować pionową postawę, po czym się kaja: – To przez cały ten szajs z federalnymi. Momentami od tego aż świruję i nie panuję nad sobą. No wyobraź sobie, że przed moim domem ciągle stoi wóz z przyciemnianymi szybami. Gdzie nie pójdę, łążą za mną smutni panowie. Totalny syf się zrobił i końca tego bagna nie widać. Ale... – Carterówna robi pauzę, spogląda mi głęboko w oczy, i z oddaniem zaznacza: – Za to co zrobiłaś dla mnie i Alexa, pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć. Nieważne co się stanie, będziemy ci najwierniejszymi suką i psem. Hau, hau!

– Dzięki... Liliana. Będę o tym pamiętać.

Przyjaciółkę, bądź też konfidentkę, sama nie wiem, klepię po plecach. Poprawiam na sobie ściskającą mnie koszulkę, przyspieszam kroku i już samotnie idę na lekcję literatury.

Reszta zajęć w szkole upływa mi dość spokojnie. Lecz i tak nie mogę się doczekać ich końca, aby zaszyć się w domu i od wszystkiego odpocząć.

Niestety nie będzie mi to zbyt szybko dane, o czym się przekonuję po ostatniej lekcji na szkolnym parkingu:

– Wskakuj, Sześćdziesiąt Dziewięć. – Kierujący sportowym wozem Lucas zatrzymuje się tuż przede mną. – No wskakuj, rezerwowa. – Ponagla mnie wobec mojej bierności. Moja dotychczasowa uległość mnie coraz bardziej irytuje, przez co na odczepnego rzucam:

– Sama trafię do domu.

– Nie jedziemy do ciebie – odpowiada swobodnie Wódz.

– To niby gdzie chcesz mnie zabrać? – Robię wielkie, coraz większe, oczy.

– A gdzie zabierał cię na randki Mike?

– Więc to tak...

– Ano tak.

– Nie pojedę z tobą na randkę. Nawet nie ma mowy. – Omijam samochód i z zadartym podbródkiem zmierzam w kierunku mojego domu. Lucas niestety ani myśli odpuścić. Powoli jedzie tuż koło mnie i zręczliwym głosem oświadcza:

– To nie była prośba, Sześćdziesiąt Dziewięć. Masz wsiąść do wozu. To rozkaz.

– Gadaj zdrów.

– Mam ci przypomnieć, co może na przesłuchaniu przypomnieć sobie Sandra?

Tylko czekałam, aż mój szantażysta sięgnie po ten argument. Niniejszym moje obawy co do mnożenia wobec mnie kolejnych wymagań stały się faktem. W takich okolicznościach już wiem, że nie mam wyboru. Muszę postawić temu tamę i to właśnie czynię:

– Dość tego! – Zatrzymuję się. Wódz także. – Myślisz, że jestem na tyle głupia, że nie widzę, do czego ta twoja gra zmierza?!

– Już bierzesz w niej udział. Odnoszę nawet wrażenie, że momentami sama dobrze się bawisz...

– Wcale się dobrze, kurwa, nie bawię, wcale! – krzyczę wręcz dramatycznie, rozpościerając ramiona, po czym gorzko swoją frustrację uzasadniam: – Od początku podejrzewałam, że na tej kretyńskiej koszulce się nie skończy. Miałam rację! Skoro tak, to już się domyślam, że na proponowanej randce też by się nie skończyło. Zaraz znów będziesz chciał ode mnie czegoś jeszcze i jeszcze. Tak bez końca. W taki układ to ja nie wchodzę, nic z tego. Więc i tej głupiej koszulki też się pozbędę! – Demonstracyjnie szarpię na sobie sportowe ubranie. Prawie je rwę.

Lucas z kolei, w reakcji na mój wybuch, przygląda mi się jakby z zaciekawieniem. Zdejmuje z głowy czapeczkę z daszkiem i gładzi się dłonią po łysinie z wyraźną blizną po oparzeniu. Wydaje się coś rozważać. Aż z powrotem zakłada sobie nakrycie głowy i w opanowany sposób stawia swoje żądanie:

– To umówmy się tak, rezerwowa. Dalej będziesz brykać w szkole w podarowanej ci koszulce, a dodatkowo dasz mi się zabierać na randki. To wszystko. Niczego więcej nie będę od ciebie wymagał, słowo. W zamian będę trzymał krótko języczek Sandry, aby za bardzo nie puściła farby przed federalnymi. Umowa stoi, mamy układ?

Wyciągnięta zostaje ku mnie męska dłoń. Dłuższą chwilę waham się, czy ją uścisnąć, korzystając z nowej oferty. Kiedy jednak przechodzi mi wzburzenie i stygnę, skłaniam się ku temu, aby zawrzeć sugerowaną umowę. Lecz wcześniej coś jeszcze muszę w niej doprecyzować:

– Mój warunek jest taki, że na tych randkach nie będę musiała się z tobą całować, ani nic z tych rzeczy.

– Nie będziesz musiała. Chyba że sama się skusisz...

– Więc... będziemy jedynie rozmawiać i to ci pasuje? – wyrażam zdumienie. Wódz kiwa twierdząco głową. Wobec tego, ciągle zaskoczona, dopytuję: – Po co ci to? Po co chcesz ze mną rozmawiać?

– Chcę cię lepiej... poznać. Nie mogę mieć takiego pragnienia, Sześćdziesiąt Dziewięć?

– A możesz mnie tak nie nazywać?

– To jak?

– Jestem... Angelina.

– Bardzo mi miło. Lucas z tej strony. – Uśmiechnięty od ucha do ucha mężczyzna otwiera drzwi samochodu po stronie pasażera. – Zapraszam, Angelino. – Czyni szarmancki gest ręką, abym zajęła miejsce w wozie.

Nie powiem, robi mi się dość dziwnie. Po raz pierwszy nazwana swoim własnym imieniem przez Wodza czuję się wyjątkowo nieswojo. Ale też jakby bezpieczniej w towarzystwie Lucasa. Sprawia to, że w wiarygodność i sens proponowanego mi układu zaczynam wierzyć. Choć co chwilę zapala mi się w głowie ostrzegawcza lampka sugerująca, że to może być jakiś podstęp. Pułapka, w którą właśnie wpadam.

– Nie będziemy tu chyba sterczeć razem do wieczora? Może z Damonem umawiałaś się na ulicy, ale wierz mi... są lepsze miejsca na randkę. – Wobec mojego niezdecydowania sportowiec marudzi. W sumie to w duchu przyznaję mu rację, że nie ma co dłużej kiwać się na boki i swoją decyzję podejmuję:

– Mamy układ. – Obchodzę maskę samochodu z przodu i ładuję się na prezentowane mi miejsce.

– To... gdzie pojedziemy? – Lucas się uśmiecha. Ja zachowuję niezmienną powagę i krótko ucinam:

– Jedź nad ocean. I pamiętaj, aby najpóźniej do dziewiętnastej odstawić mnie do domu.

– Jak sobie życzysz... Angelino.

Wódz wyrywa ostro samochodem prosto na zachód. Prowadzi niemal tak dziko jak Mike. O tym, że samego Mike'a teraz w jakiś sposób zdradzam, staram się nie myśleć. Kiedy zaś myśl ta staje się zbyt uporczywa, powtarzam sobie, że tak naprawdę to mojego chłopaka obecnie bardziej ratuję niż zdradzam. Zresztą czynię tak kolejny już raz.

Oto zawieram układ, gdzie sama mam poświęcić jedynie własną dumę. Uważam, że tyle na pewno mogę z siebie dać, by wspierać ukochanego.

Podczas jazdy niepokoi mnie jednakże myśl ile, z kim i jakie jeszcze układy będę musiała zawrzeć, by całkiem wykaraskać się z opałów.

Ostatecznie dochodzę do wniosku, że pakt mogę zawrzeć nawet z samym diabłem, gdzie przedmiotem targu może być nawet moja dusza. Warunek w takim układzie byłby tylko jeden. Niech z zaistniałych kłopotów wywinę się nie tylko ja, ale również ten, kogo kocham i co by się nie wydarzyło... będę kochać.

III. Tarot – Trzech Pucharów

Karta tarota Trzech Pucharów mówi o wszelkiego rodzaju trójstronnych układach. W pozytywnym ujęciu karta ta odnosi się do szczęścia z powodu przyjacielskich relacji z większą liczbą osób. W pozycji odwróconej mamy do czynienia z niszczeniem stałego związku przygodnymi romansami.

*

– Jest pani umówiona na wizytę?

– Tak, jestem.

– Proszę pokazać mi pozwolenie.

– Bardzo proszę. – Wręczam policjantowi dokument, który uprawnia mnie do odwiedzenia na osobności aresztowanej osoby.

– Wszystko się zgadza, pani Evans. Czas widzenia to dziesięć minut.

– Czemu tak krótko? – pytam z żalem w głosie.

– Odgórne zalecenia. Nic na to nie poradzę. – Policjant bezradnie wzrusza ramionami. Następnie na posterunku policji otwarte zostają przede mną drzwi pokoju spotkań. W niewielkim pomieszczeniu zauważam stół i dwa krzesła. Przede wszystkim jednak zauważam również... ukochanego, który tu na mnie czeka.

– Mike... – Jak anielskie skrzydła rozpościeram ramiona i z wolna kroczę ku wyjątkowemu dla mnie mężczyźnie. Odległość do niego nie jest duża. Lecz wystarcza, aby moje łyży przemierzyły drogę od rogówek, przez policzki, aż do kącików ust. – Mike... – Tulę się do Damona. On mocno przytula mnie do siebie. – Tak cholernie mi Ciebie brakuje. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo...

– Znalazłaś...? – Do mego ucha wlewa się ledwie słyszalny, męski szept. Wiem, do czego się odnosi jego treść, do zaginionej heroiny. – Znalazłaś...? – Mike ponawia pytanie. Ja tylko przecząco kręcę głową. – Szukałaś...? – Powielam ten sam gest, pochlipując. – Nie przejmuj się. – Zostaję pocałowana w czoło. – Zaufaj mojemu prawnikowi i nic się nie martw. Wszystko będzie... dobrze. Musi być.

– Ale... oni. Oni mówią, że ty dostaniesz dożywocie. – Przychodząc tu, pragnęłam być twarda i dla mego mężczyzny jedynie wsparciem. Przy nim jednakże nie jestem w stanie się oszukiwać, ani jego. Wychodzą ze mnie wszystkie łęki. Wręcz wylewają się ze mnie wraz z potokiem mych łez. Mike z kolei nie przestaje mnie pocieszać:

– Ciągłe nic wielkiego na mnie nie mają. Tobie nic nie grozi. To najważniejsze. I... wszystko będzie dobrze. Nie przejmuj się.

– Kiedy... nie mogę się nie przejmować. – Odstępuję krok od Damona. Bezradnie patrzę mu w oczy i wyrzucam z siebie, co mi najbardziej leży na sercu: – Za tymi murami wcale nie jest dobrze, wcale. Jestem... szykanowana, szantażowana, prawdopodobnie śledzona. Ten cały agent... Manson. On jest potwornie przebiegły, sprytny. Naprawdę się zawziął, aby ci bardzo zaszkodzić. Zaszkodzić... nam!

– Nic już nie mów. Chodź do mnie, aniołku. – Mike ponownie chwyta mnie w ramiona i mocno przyciska do siebie.

Poddaję się i zaznaję w tym ukojenia. Ulgę przynosi mi także to, że mogę się komuś szczerze wypłakać i wiem, że zostanę zrozumiana, a nie zbesztana czy sponiewierana.

Tymczasem długość wizyty okrutnie się skraca:

– Zostało nam już ledwie pięć minut... – zauważam, patrząc ze smutkiem na mój ręczny zegarek z wizerunkiem aniołka i demona. To prezent, nie inaczej tylko od... Mike'a.

On sam natomiast nic nie odpowiada. Widzę po nim, że choć próbuje wlać we mnie otuchę, to sam się mocno zamartwia. By osobiście też być podporą, chociaż trochę, czynię zgodnie z podpowiedzią duszy i ciała.

Spoglądam głęboko w ciemne, nieprzeniknione oczy ukochanego mężczyzny. Jak w mrocznym źródle tonę w tym spojrzeniu i daję mu się pochłonać.

Moje pełne wargi same rozchylają się do pocałunku. Wtedy się go doczekuję. Jest mocny, soczysty. Dokładnie taki, o jakim właśnie marzę i jaki sama pragnę przekazać.

Niebawem ostatni raz tulę się do mojego chłopaka i najczulej, jak umiem, do niego szepczę:

– Kocham cię, Mike.

– Ja ciebie też, kocham, aniołku.

Na pożegnanie Damon nieco cierpiętniczo uśmiecha się do mnie. Jako że smutek nie zwykł gościć na jego twarzy, jeszcze utwierdza mnie to w złych przeczeniach. Domyślam się, że wbrew zapewnieniom ukochanego, sprawa z federalnymi wcale nie musi zakończyć się dobrze. W to miejsce może stać się to, co najgorsze.

– Koniec widzenia.

Policjant, który mnie wpuścił do pokoju, obecnie mnie z niego wyprowadza. Posyłam ukochanemu ostatnie, tęskne spojrzenie i już jestem na korytarzu.

Z powodu odwiedzin Mike'a mój nastrój nieco się poprawia. Ale tylko, dopóki przy wyjściu z budynku nie zauważam przyglądającego mi się, i popijającego kawę, agenta Mansona.

Jego osoba znów przypomina mi o tym, że pomiędzy mną i Damonem jest teraz ktoś trzeci, sprytny i predysponowany do tego, aby pomieszać nam szyki. Dlatego na ulice miasta wychodzę ponownie zaniepokojona i pełna obaw.

*

Dzień po odwiedzinach Mike'a dostaję wezwanie na ponowne przesłuchanie. Pomna doświadczeń z pierwszego kontaktu z federalnymi obecnie jestem zdeterminowana, aby do pokoju przesłuchań wejść w towarzystwie prawnika. W związku z tym wcześniej umawiam się z nim telefonicznie i na policyjny parking nie przyjeżdżam sama.

– Już na mnie czekali, aby mnie znowu tu przetrzymać, dranie. – Po wyjściu z taksówki Alexander Freed, który sprawia na mnie wrażenie pocziwca, wskazuje mi stojących w pobliżu dwóch agentów. Śledzą nas wzrokiem, a jeden z nich nawiązuje połączenie telefoniczne. Domyślam się, że dzwoni do swego zwierzchnika, prowadzącego sprawę Mike'a.

Przemierzywszy korytarz policyjnego budynku, wkrótce mam już możliwość zasiadać naprzeciw człowiekowi, który ma ambicje na dobre przyskrzynić mojego chłopaka. Obecnie w pokoju przesłuchań jest jednak dodatkowe krzesło zajmowane przez prawnika. Siedzi koło mnie i z dłońmi złożonymi w piramidkę wpatruje się w Marka Mansona. Obaj mężczyźni dłuższy czas mierzą się wzrokiem, zupełnie jak przeciwnicy na polu walki, po czym ta walka się rozpoczyna:

– Pani Evans... – zwraca się do mnie agent, choć nie spuszcza oka z towarzyszącego mi staruszka. Niczym talię kart tasuje w dłoniach zdjęcia i pierwsze z nich kładzie przede mną na blat stołu. – Czy rozpoznaje pani to miejsce? – pyta.

Przyglądam się fotografii, na której widnieje pięciogwiazdkowy hotel w Las Vegas, gdzie w wakacje zatrzymałam się z Damonem. Na wspomnienie przeżytych tam chwil mimowolnie się uśmiecham. Lecz zanim cokolwiek odpowiem, przezornie zerkam na pana Freeda. On czyni ku mnie uspokajające skiniecie głową. Wobec tego spokojnie stwierdzam:

– Tak, rozpoznaję to miejsce.

– Była tam pani ze swoim chłopakiem?

– Tak...

– Tutaj również? – Na drugiej fotografii Manson prezentuje także znany mi hotel w Phoenix. Miasto to stanowiło kolejny etap mojej podróży z ukochanym i tam też trochę zabawiliśmy. Ale i tym razem, nim znów potwierdzę sugestię agenta, wcześniej spoglądam na prawnika. Powiela on swój uprzedni gest. Dodaje mi to pewności siebie i zdecydowanie mówię:

– Arizona jest piękna. Spędziłam tam z Damonem wspaniały czas. Pan natomiast pokazuje mi miejsce, gdzie się zatrzymaliśmy na dłużej.

– Tu także byliście razem?

– To hotel w... Albuquerque. – Spoglądam na trzecie zdjęcie. – Tak, byliśmy tu.

– A tutaj?

– Colorado Springs... No tak – odpowiadam już całkiem swobodnie, zupełnie jakbym zdawała sprawozdanie z turystycznej podróży. Trwa to pewien czas:

– Odwiedziliście także to miejsce?

– Hotel w Denver... Zahaczyliśmy tam.

– Salt Lake City?

– W Utah byliśmy w drodze powrotnej.

– Po powrocie do Crestone zajrzeliście też tu?

– Tak, byliśmy tutaj... – Obojętnie zerkam na zdjęcie, na którym widnieje wejście do bunkra, gdzie mieściła się wytwórnia narkotyków.

Nagle przechodzi mnie dreszcz niepokoju. Uświadamiam sobie, że moja czujność została skutecznie uśpiona. Przez to palnęłam coś, czego nie miałam prawa tutaj powiedzieć. O ironio losu, gdybym była tu sama, na pewno bardziej bym się pilnowała. Zbyttno rozluźniła mnie obecność wspierającego mnie prawnika.

Patrzę na niego błagalnie. On kładzie mi krzepiąco dłoń na ramieniu i zwraca się do agenta:

– Moja klientka ma wadę wzroku. Nie powinna poddawać ocenie zdjęć bez szkieł korekcyjnych. Proszę nam wybaczyć to niedopatrzenie z naszej strony. Proponuję powtórzyć prezentację fotografii, gdy pani Evans będzie w pełni dysponowana.

– Chwileczkę... – Agent wystukuje coś na laptopie. Marszczy brwi i zgrzytliwie potwierdza słowa Alexandra Freeda: – To prawda, pani Evans jest... dalekowidzem. – Przenosi spojrzenie na mnie. Wpatruje mi się w oczy i podejrzliwie pyta: – Nie ma pani przypadkiem na sobie... soczewek kontaktowych?

Dotyk prawnika na moim ramieniu się z mienia. Teraz odbieram palce staruszka boleśnie, jako wpijające mi się w rękę. Mobilizuje mnie to, aby bezczelnie skłamać:

– Nie założyłam dziś szkieł kontaktowych...

– Można to łatwo sprawdzić... – Manson nachyla się ku mnie. Pan Freed z kolei odchyła mnie dalej od stolika i wzmiankuje:

– Naruszenie nietykalności cielesnej byłoby niezgodne z prawem.

– Mogę uzyskać nakaz. – Agent nie daje za wygraną. Prawnik też:

– Proszę uzyskać nakaz. Ma pan... trochę czasu, zanim nasza wizyta dobiegnie końca. Zdąży pan?

Manson wypycha sobie policzek językiem. Wydaje się wahać. Następnie energicznie rzuca:

– Do tematu zdjęć, i wady wzroku, jeszcze wrócimy. Teraz zapytam o to, czy pani Evans udzielała Damonowi... korepetycji.

Nauczona doświadczeniem, by się znowu nie zbłąźnić, patrzę najpierw na prawnika. On powoli opuszcza i podnosi powieki. Ten jego gest mi wystarcza, abym potwierdziła:

– Tak, pomagałam mojemu chłopakowi w nauce. Choć wtedy jeszcze nie był on moim chłopakiem...

– To wówczas wasza zażyłość się zacieśniła?

– Tak.

– A nie przypadkiem kilka lat wcześniej w... Teksasie?

– Nie! – odpowiadam ostro, czując wsparcie pana Freeda.

On klepie mnie lekko po plecach na znak, że zachowuję się prawidłowo. Dzięki temu, po uprzedniej wpadce, znów odzyskuję pewność siebie i z własnej inicjatywy mówię:

– W ramach korepetycji poznałam Mike'a, jako mądrego, inteligentnego i wrażliwego chłopaka. To sprawiło, że się z nim związałam. Nic innego nie miało wpływu na naszą relację.

– Doprawdy?

– W rzeczy samej!

– Liliana Carter, pani przyjaciółka, zdaje się potwierdzać pani słowa.

– Sam pan widzi – wypalam triumfalnie i rozkładam ramiona, patrząc na prawnika, to agenta, szczęśliwa, że stawiam na swoim.

– Liliana Carter wspomniała także, że czytała pani z Damonem... Romea i Julię. – Spod stosu dokumentów na biurku przesłuchujący mnie mężczyzna wyjmuje egzemplarz dramatu Szekspira i mi go podaje.

Nagle czuję wręcz wzruszenie. Przypominam sobie niezwykle chwile, gdy rok temu się zakochałam i tak namiętnie wczytywałam się w tragiczną miłość dwojga kochanków.

Książkę otwieram gdzieś w środku. Wtedy Manson łagodnie sugeruje:

– Proszę przeczytać... fragment.

Spoglądam na rymowane wersy, których wiele znam na pamięć i jak natchniona recytuję:

– „To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie...”

– Pani Angelino! – grzmi prawnik. Spoglądam na niego raptem wystraszona. On wymownie poprawia na nosie swoje okulary.

– Gratuluję nagłego wyostżenia wzroku... – dochodzi mnie drwiący głos agenta. Opuszczam głowę, odkładam książkę i kompletnie zgaszona szepczę:

– Recytowałam... z pamięci.

– Recytowała z pamięci! – podchwytuje żywiłowo pan Freed.

Manson bierze do ręki książkę, która nie została zamknięta. Patrzy na tę samą stronicę, co ja uprzednio i czyta:

– „To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie. Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie. Na grzbiecie kruka”... Ładne – stwierdza miękko, a ostro dodaje: – Na pewno jednak nie jest ładne okłamywanie agenta federalnego. To skończy się oskarżeniem o utrudnianie śledztwa.

– To zastraszanie! – interweniuje prawnik.

– To naturalna kolej rzeczy, kiedy świadek składa fałszywe zeznania, by chronić oskarżonego.

– Może chronię coś... więcej? – Ponownie biorę do ręki dramat Szekspira.

– Proszę mówić dalej. – Manson mierzy mnie krytycznym spojrzeniem.

– Nie musi pani nic więcej mówić! – Pan Freed się zaciętrzewia. –

Ma pani prawo zachować milczenie. Proszę korzystać ze swoich praw!

– Może ona nie chce korzystać ze swoich praw?! – Agent nie pozostaje prawnikowi dłużny i na dobre wybucha pyskówka:

– Powinna skorzystać!

– Nie powinna chronić gangstera!

– Mike Damon nie został skazany prawomocnym wyrokiem!

- *To tylko kwestia czasu, jak dostanie dożywocie!*
- *Nie ma nawet wyznaczonej daty procesu!*
- *Powinien dostać krzesło i to bez sądu!*
- *Posuwa się pan stanowczo za daleko!*
- *Za to ty, koleś, pewnie nikogo już nie posuwasz, bo masz zwiędłego fiuta!*
- *Co ja tu słyszę od agenta federalnego?*
- *Pewnie nic, bo w tym pokoju wszyscy ślepną, to pewnie i są głusi!*
- *To jest nadużycie... To...*
- *Kocham! Kocham, kocham, kocham Mike'a Damona! Rozumiecie? Kocham go, dlatego go chronię i będę chronić! – Kobięcym wrzaskiem przekrzykuję męskie ujadanie.*

Zyskuję tym tyle, że prawnik kręci z politowaniem głową. Agent zaś patrzy na mnie z lekkim uśmiechem. Czyni to w taki sposób, jakby mnie właśnie przejrzał na wskroś.

Podejrzewam, iż rzeczywiście tak jest. Raptem w pokoju przesłuchań czuję się naga, odarta ze wszelkich tajemnic. By jakoś ukryć moją słabość, nerwowo poprawiam na sobie górę sukni i obracam w dłoni krzyżyk wisiora zawieszona na szyi. Skutki tego są więcej niż opłakane:

- *Proszę uważać na swoje ubranie – wtrąca już spokojnie Manson.*
- *Nie... rozumiem, do czego pan zmierza. – Ja także wyrażam się już w stonowany sposób.*
- *Pani... pierś.*

Spoglądam na swój dekolt. Zauważam, że niekontrolowanymi ruchami obnażyłam sobie część biustu, aż widać mi sutki. Speszona szybko podciągam materiał sukni niemal pod szyję.

- *Ma pani piękne piersi, pani Angelino Evans. Piękne jak... anioł – stwierdza z podziwem agent. Przenosi spojrzenie na prawnika i pyta: – Mój szczerzy komplement chyba nie zostanie uznany za molestowanie seksualne?*

- *Chyba... nie. Jeżeli na dzisiaj już skończymy. – W głosie pana Freeda pobrzmiwa wyraźna nuta zmęczenia. Manson zaś wskazuje dłonią drzwi.*

Tak kończy się moje drugie przesłuchanie, które utwierdza mnie w tym, że Mike wpadł w wielkie tarapaty. Żeby go dopaść, przesłuchujący mnie mężczyzna robi zapewne wszystko. Zauważam, że ma bez liku atutów, a chyba jego najsilniejszym orężem jest przenikliwość. Osobiście tylko się przed nim ośmieszam i sądzę, że moje wpadki szybko i bezwzględnie on wykorzysta.

*

W kolejne dni z niepokojem oczekuję wezwania na trzecie przesłuchanie. Ponadto kimś kto jeszcze potęguję moje troski, jest teraz Lucas. Po ostatnim spotkaniu z Markiem Mansonem dochodzę bowiem do wniosku, że nawet nie ma mowy, aby Sandra znów zeznawała przeciw Damonowi. W związku z tym mam tylko nadzieję, że Wódz rzeczywiście okaże się słowny. Dotrzyma naszego układu i nie spróbuje poszerzyć go o nowe punkty. O alternatywnej wersji wydarzeń w ogóle nie chcę myśleć.

– Znowu się ogląda za twoją pupcią. No tylko popatrz. – Przed salą do matematyki Liliana wskazuje Lucasa, który ze sporej odległości zerka na mnie. Jak mogę, staram się odwrócić kota ogonem:

– To na Adama i Dylana z trzeciej klasy patrzył. Ma coś do nich, bo podobno pojutrze grają razem jakiś mecz. – Wskazuję wspomnianych graczy i aby całkiem odsunąć w rozmowie temat mój i Lucasa, swobodnie rzucam: – Adam i Dylan to całkiem miłe chłopaki. Nie umówiłabyś się z którymś?

– Tak do pary, do ciebie i Wodza? – rzuca wyzywająco Carterówna.

– Więc... już wiesz. – Spuszczam nos na kwintę.

– Wieści szybko się rozchodzą, a żebyś wiedziała!

– Ciszej... Mów ciszej.

– Po co mam być cicho, skoro i tak wszyscy już wiedzą!

– Co dokładnie... mówią? – Patrzę na przyjaciółkę z rezerwą. Ona drwiąco szczebiocze:

– Jak cię nie było na lunchu, to Lucas sam ogłosił wszem i wobec, że teraz ma cię, jako swoją rezerwową.

– Czyli niby tak właściwie to... kim dla niego mam być?

– Kimś, kto umawia się z nim, jak jego prawdziwa dziewczyna jest niedysponowana, nie ma czasu lub ochoty. Słowem, zastępujesz Sandrę!

– Jeśli to dojdzie do uszu Mike'a...

– Oczywiście, że dojdzie. I będziesz miała za swoje, o! – Liliana zaplata ramiona na klatce piersiowej i staje się naburmuszona.

Ja żywię tylko nadzieję, że moja relacja z Damonem jest już na tyle dojrzała, że zrozumie on kierujące mną motywy i nawet nie weźmie pod uwagę, iż z premedytacją mogłabym go zdradzać. Czyli w obecnej sytuacji wbić mu nóż w serce, czyniąc to zdradziecko, bo wprowadzając ostrze od tyłu, w plecy.

Gdyby miało być inaczej i moje zachowanie Mike błędnie by odczytał, oznaczałoby to chyba, że jego miłość do mnie nie jest czysta. A przecież jest, więc wychodzi na to, że nie mam czego się obawiać.

Lecz skoro tak jest, to czemu nagle czuję ukłucie w sercu, a w nim samym wzrastający lęk, niepewność?

Tymczasem Liliana nie ma nade mną litości i nie przestaje sobie na mnie używać:

– Nie przejmuj się. – Niby na pocieszenie klepie mnie po plecach, a w rzeczywistości sączy w me uszy jad: – Aresztowana elita Demonów może na lata trafić do więzienia i będzie po gangu. No ale dla tych, którzy mają szansę zostać na wolności, dla nas, życie toczy się dalej. Co nie? Więc rozumiem, że mięknie przed Wodzem i zadowolasz się nawet ochłapami, byciem drugą w kolejce do niego. Poza tym masz teraz spore szanse zostać maskotką zespołu Indian Pomo. A wspominałam ci już kiedyś, co to oznacza, jakie profity...

– Mam gdzieś futbolowe mecze... – odpowiadam przybita, jak do krzyża, a jak z krzyża zdjęta dodaje: – Lucasa też mam gdzieś...

– Hm... Ale on najwyraźniej ma cię już w nowej roli, dokładnie takiej, jakiej chce. A dlaczego? Bo na to się godzisz. To... czemu się godzisz? – Carterówna zawiesza swój drwiący głosik.

Przez chwilę się waham, czy nie wybielić się przed przyjaciółką, wyjawiając jej kierujące mną intencje. Ale co, jeśli ta potencjalna zdrajczyni pobiegnie do federalnych z tym, że obecnie Sandra kryje Mike'a? W takiej sytuacji już wolę być postrzegana jako ta cyniczna i w takim duchu udzielam odpowiedzi:

– No dobra, przejrzałaś mnie. – Ze sztucznym uśmiechem na ustach szturcham dziewczynę łokciem w bok. – Jak wspomniałaś, życie toczy się dalej. Trzeba się w nim jakoś ustawić, aby nie przepaść z kretesem. Stąd moje podwieszenie się pod Lucasa.

– Czyżby...? – Po skapcianałej minie Carterówny widzę, że mojemu nagłemu zwrotowi w sprawie mojej relacji z Wodzem nie daje ona wiary. To akurat dobrze o niej świadczy. Gorzej o mnie, czyli tej, która jedyne, co czyni, to nieudolnie lawiruje. Żeby więc dalej się nie kompromitować, iść w zaparte, to się ośmieszać, podejmuję kolejną już próbę przekierowania dyskusji z mojej osoby na Lilianę:

– A ty... Z kimś się teraz w ogóle umawiasz, co? – Niewinnie łączę razem nóżki i równie niewinnie kręcę sobie loczek paluszkiem. Na szczęście, ku mojej niewymownej uldze, piegowata rudaska połyka haczyk:

– Ano znów prowadzam się z Cadenem – stwierdza bez przekonania, ostentacyjnie wzdychając. – Wiesz, żaden tam z niego ogier, już bardziej osioł. Ale on jest przynajmniej czysty. Nie ma nic wspólnego z gangiem, a przez to nie narzeka na kłopoty z federalnymi. W ten sposób dodatkowych kłopotów nie ściągnie też na mnie.

– Lucas również jest czysty – wtrącam. Następnie zastanawiam się, czemu naraz zachwalam kogoś, o kim raczej powinnam wypowiadać się z pogardą. Wnioski mi się nie za bardzo podobają.

Oto od dłuższego czasu każda myśl o Damonie wzbudza we mnie falę niepokoju i to zarówno o niego, jak i o moją osobę. Dla odmiany kontakt z niemającym problemów z prawem Lucasem wydaje się nagle taki bezpieczny. Moja perspektywa patrzenia na wspomnianych mężczyzn widać się trochę zmienia, co chyba także powinno mnie niepokoić.

– Hej, Angelina. Zasnęłaś, czy jak? – Do rzeczywistości na szkolnym korytarzu przywraca mnie skrzypliwy głos Liliany. – Czas iść na matkę. To na szczęście ostatnia lekcja. Potem mamy wolne.

Po lekcji matematyki, na której jestem kompletnie nieobecna duchem, samotnie idę przed szkołę na parking. Zasiadam na murku i czekam na Carterównę, która skoczyła jeszcze do toalety.

Obie stwierdziłyśmy bowiem, że skoro federalni i tak wiedzą już o naszej przyjaźni, to nie ma co się z nią kryć i wspólnie możemy wracać ze szkoły. Wcześniej jednak niż Carterówna podjeżdża do mnie ktoś inny:

– Hej, to ty jesteś Angelina Evans, prawda? – Nieznany mi chłopak szczerzy się z wozu.

– No... tak. To ja – przyznaję zdezorientowana.

– Jestem nowym graczem drużyny Pomo!

– Winszuję...

– Jestem z pierwszej klasy!

– Ja chodzę do... drugiej.

– Wiem! I słyszałem o tobie, że zostałam maskotką zespołu!

– Że niby co?

– Widzimy się pojutrze na meczu. Wygramy!

– Eee...

Pozostaję na murku więcej niż skonsternowana wyznaniem nowego gracza. W kolejności pojawia się koło mnie samochodem ktoś, kto jest mi chyba winien pewne wyjaśnienia:

– Lucas... – Załamuję ręce, patrząc na przesadnie szczerzącego się do mnie sportowca. – Czy byłbyś tak łaskawy wyjawić mi... – zagajam miękko, a kończę z chrypką w głosie: – o co, u diabła, chodzi z tą cholerną maskotką zespołu?! – Czynię gniewną minę i choć z oburzenia

przyzywam samego diabła, to kciukiem wskazuję na siebie, anioła. Wódz z kolei, jakby nigdy nic, rozbijając mi wyłuszcza:

– Jako rezerwowa raczej nie wybiegniesz na boisko, aby grać z facetami w twardą, męską grę, wiadomo. Za to trafisz na murawę w zastępstwie dotychczasowej maskotki zespołu, która zaniemogła.

– To jakieś kpiny?!

– Żadne kpiny. Przypominam ci o naszym układzie, którego jeden z punktów zamierzam właśnie wyegzekwować.

– Nie możesz mi czegoś takiego narzucać!

– Sama zgodziłaś się chodzić w koszulce z napisem rezerwowa.

– Rezerwowa, a nie jakaś pieprzona maskotka!

– Jesteś na tyle bystra, że powinno już do ciebie coś dotrzeć. Coś oczywistego.

– Niby co?!

– Bycie rezerwową drużyny Indian Pomo i potencjalnie maskotką tej drużyny jest ze sobą tożsame.

– Ty... – Sfrustrowana przebiegiem dyskusji zaciskam dłonie w pięści. W najmniejszym jednak stopniu nie robi to wrażenia na Wodzu. Ten patrzy z politowaniem na moją bojową postawę i lekceważąco oświadcza:

– Lepiej zachowaj siły na dopingowanie jutro naszej drużyny. Podskakiwanie w stroju maskotki to nie przelewki. Kostium sporo waży.

– Nawet nie ma mowy. Nie założę na siebie niczego dziwnego, by paradować w tym przed publiką!

– Założysz to, co już na ciebie czeka. Zrobisz to, jeśli chcesz wypełnić punkt umowy związany z byciem rezerwową. A tak przy okazji: – Lucas otwiera drzwi samochodu po stronie pasażera.

– Zgodnie z drugim punktem umowy zabieram cię właśnie na randkę. Wskakuj.

– A jak nie wskoczę?!

– Znasz konsekwencje. – Sportowiec wymownie spogląda na zaparkowany w pobliżu różowy kabriolet Sandry.

Psychicznie przyparta do muru, z samego murku na parkingu niemrawo zsuwam się na asfalt. Dociera już do mnie, że zgodziłam się na układ, którego punkty można dość szeroko interpretować. Ja natomiast nie mam prawa sprzeciwu. Skoro więc tak się sprawy mają to po

chwili wahania, i walce samej ze sobą, ulegam. W rezultacie sportowy wóz Lucasa, razem ze mną w roli pasażera, rusza ze szkolnego parkingu.

– Bawcie się dobrze! – rzuca ku nam wsiadająca akurat do własnego auta Liliana.

Ja tylko przysłaniam dłonią twarz, aby jak najmniej osób rozpoznało mnie w samochodzie Wodza. Niestety mój kamuflaż jest raczej miłkłej jakości, bo zanim opuszczam teren placówki szkolnej zostaję przez studentów wiele razy zdemaskowana:

– Patrzcie to Angelina!

– Nasza rezerwowa.

– Nowa maskotka.

– I to nie sama!

– Z jakim towarzystwem!

– Z naszym Wodzem!

Kiedy jedziemy już ulicami miasta, gdzieś na zachód, uzmysławiam sobie, że nie tak dawno na przesłuchaniu publicznie wyznałam miłość wobec Damona. Z boku wygląda to jednak tak, jakbym dodatkowo wdawała się w przygodne romanse.

Obawiam się, że moim zachowaniem coraz bardziej rujnuję mój miłosny związek, a w każdym razie poważnie naruszam jego fundamenty. Lecz nie potrafię temu przeciwdziałać, ponieważ z zaistniałych zależności, z ich trybów, za nic nie mogę się wyzwolić bez uszczerbku dla Mike'a.

IV. Tarot – Czterech Pucharów

Karta tarota Czterech Pucharów ukazuje osobę, która jest zamknięta na oferowane jej przez los możliwości. Zarówno w pozycji prostej, jak i odwróconej mamy tu do czynienia z negatywnymi sytuacjami, ze zubożeniem i rozczarowaniem. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest często głęboka tęsknota za stałym partnerem.

*

Trwa niedzielny ranek, podczas którego przebywam w domu państwa Nelson. Jestem w swoim pokoju i leniwie przeciągam się na łóżku.

W ogóle nie chce mi się z niego wstawać. Nie wiem, co dobrego mogłaby mi przynieść aktywność w ramach upływającego dnia. Nie mam ochoty nawet iść do kościoła, aby dzień święty święcić.

Najchętniej wcale nie wychodziłabym dziś z domu. Tak byłoby pewnie dla mnie najlepiej. Niestety pozostając w domowym zaciszu, nie stawiałabym się na dzisiejszym meczu. W konsekwencji złamałabym punkt umowy z Lucasem i zaszkodziła Damonowi.

Doprawdy momentami zaczyna mi ciężać bycie aniołem. Tę ciężkość z kolei tak mocno odczuwam, że właśnie nie mogę się zwlec z łóżka.

W stanie zawieszenia, marazmu, w jakim się pogrążam, odkrywam, że coraz bardziej staję się marionetką w rękach losu. Przez to zaczynam coraz obojętniej patrzeć na jego koleje, jakie tyczą się mojej osoby. Myślę sobie, że nieważne co się wydarzy, i tak nie przyniesie mi to nic przełomowego.

Obecnie uraczona zostaję dzwoniącym telefonem. W ostatnich minutach jest to trzecia próba połączenia się ze mną. Wreszcie daję więc za wygraną. Wyciągam dłoń po smartfon i nie zmieniając pozycji leżącej na łóżku, leniwie odbieram:

– Halo...

– Hej, Angelina! Ciężko się do ciebie dobić. Byłaś w łazience, czy jak?!

– Cześć... Liliana. Byłam... śpiąca. Właściwie to wciąż jestem – ziewam.

– To co ty robiłaś całą noc?!

– Na pewno nie to... co ty. I nie to co myślisz, że ja... robiłam.

– Komu ten kit, grzesznico-latawico?! – zaśmiewa się Carterówna.

Nieco poprawia mi ona nastrój, bo w wyrażanym przez nią żywiołowym jazgocie odnajduję jej naturalny, dawny sposób bycia. Dzięki temu przypomina mi się czas, gdy wszystko wokół mnie miało zupełnie inną aurę. By jakoś oprzytomnieć, próbuję się wczuć w przeszły klimat i w tym tonie, z lekko rozpaloną iskrą, sama zagaduję:

– Przyznaj się lepiej, jak tam twój... Caden. Co tam razem porabiacie?

– A co niby mamy robić w samochodzie, u mnie w domu, czy u niego? Jak myślisz? Mamy może czytać sobie Romea i Julię i maślanym wzrokiem patrzeć w oczy?

– Faktycznie, ten etap macie już za sobą... – drocę się, a Liliana się irytuje:

– Nigdy takiego etapu nie przerabialiśmy!

– To żałujcie... – Z nostalgią wspominam moje pierwsze korepetycje z Damonem. Wspomnienie tamtych cudownych chwil jest tak silne, że aż płacząco pociąggam nosem. Nie uchodzi to uwadze Carterówny:

– A ty co, chora? Masz jakąś nosówkę, czy jak?

Mam jedynie smutne, sflaczałe serce. Taka odpowiedź byłaby zgodna z prawdą. Zamiast tego markotnie pojękuję:

– Mam dziś jakiś taki... melancholijny nastrój.

– Naszły cię może wspominki?!

– Nie inaczej... – stwierdzam wisielczo. Domniemam, że obecnie to mój, powracający jak bumerang, kiepski humor może się udzielić Lilianie. Ale nic bardziej mylnego:

– Rety, Angelina. Ty w ogóle pamiętasz, jaka ty byłaś rok temu?!

– Byłam anielską... dziewicą. A teraz jestem...

– No kim?!

– Chyba... diabolicą.

– A może raczej...?

– No?

– Aniołkiem ze chcicą! – pieje Carterówna.

– Ech, Liliana... Chcicę to ja mam tylko na jednego takiego... demona. Przecież wiesz.

– No niby wiem... Ale, tak jak inni, wiem też o tobie i Lucasie.

Słyszac imię Wodza, zamieram. Przypominam sobie bowiem o moich przeklętych zobowiązaniach na ten dzień.

Paradoksalnie z niesmakiem spoglądam na piękny zegarek na rękę. Zdegustowana widzę, że przekłety czas, jak na złość, nie stanął w miejscu. Nieubłaganie zbliża się on do rozpoczęcia meczu. W nawiązaniu do niego zupełnie bez życia zagajam:

– Słuchaj... Liliana.

– Wal.

– Nie poszłabyś ze mną na...

– Randkę?!

– Zamknij się. Chodzi mi o pójście na... mecz.

– Jaki znowu mecz?

– No... futbolowy, Indian Pomo. Grają dzisiaj z drużyną Rakiet z Fresno. A tak się składa, że zostałam... zaproszona.

– Jako kibic?

– Jako... maskotka. – Po stronie mojej rozmówczynie następuje przedłużająca się chwila ciszy.

– Halo, Liliana, jesteś tam? Halo?

– Jestem.

– No i? Pójdiesz ze mną na ten mecz, aby dodać mi otuchy?

– Pewnie, że pójdę!

– To skąd była u ciebie ta... cisza? – pytam z rezerwą.

– Ojej, zwyczajnie mnie zaskoczyłaś, że znowu się przebierzesz za aniołka!

– Jakiego... aniołka? – dukam.

– No... indiańskiego, rzecz jasna. Maskotką Indian Pomo jest przecież taki jakby anioł!

Nagle gęste, ciemne chmury się rozstępują i wprost na mnie prześwitują czyste promienie słońca. Skąpana w anielskim blasku składam dziękczynnie ręce i zwracam oczy ku niebu. Myśląc, że los być może mi jednak znów sprzyja, jak natchniona szepczę:

– Dziękuję, Panie.

– Powiedziałaś... panie? Z kim tam rozmawiasz, Angelina? Masz tam może jakiegoś faceta? Przystojny jest chociaż?

*– Cicho, Liliana. – Po nowych rewelacjach dotyczących maskotki przemawiam z siłą w głosie.
– Dawaj tu, do mnie, i śmigamy na ten mecz!*

– A o której chłopaki grają? – ciekawi się Carterówna.

– O czternastej.

– Czternasta... czternasta. Dobra, podjadę do ciebie tak pół godzinki wcześniej!

– Będę czekać.

– To do zobaczenia, Angelino!

– Pa.

Już nie ziewam. Ostatnie, zbyt częste, bezwarunkowe odruchy związane z zasysaniem nadmiaru powietrza do płuc mam już definitywnie za sobą. Po cichu liczę nawet, że moją stagnację uda mi się przełamać na dobre.

Oto bowiem, jak zasłyszałam od Liliany, na powrót założę anielskie skrzydła. Ponownie poczuję się w pełnej krasie przepięknym, wyjątkowym aniołem.

Czy Lucas nie mógł od razu mi zdradzić, że chodzi o publiczne pozowanie na istotę doskonałą? Czy naprawdę musiał się aż tak ze mną droczyć?

Nic to, myślę sobie. Jako anielica w pełnej krasie tradycyjnie wybaczę wszystko i wszystkim. Albowiem podziwiana przez wszystkich, i samą siebie, znów będę w swoim żywiole.

By na stadionie wypaść istnie olśniewająco, siadam przed lustrem i robię się na bóstwo, przystępując do komponowania perfekcyjnego makijażu. W ruch idzie szminka, podkład, puder i kredki. Nie zapominam też oczywiście o ułożeniu blond fryzury oraz zapachu wyjątkowych perfum.

Podczas dekorowania siebie, jak na wykwintną galę, moje podekscytowanie robi swoje. Dlatego moje myśli nieustannie krążą wokół mającego się już wkrótce rozpocząć sportowego wydarzenia z moim udziałem.

Swoją drogą nigdy dotąd nie byłam na meczu futbolu amerykańskiego. Za bardzo nawet nie znam zasad tej gry. Jest mi wiadome jedynie tyle, że gracze z jednego krańca boiska na drugi przerzucają jajowatą piłkę. Po drodze zderzają się ze sobą i niemal walczą.

Na pewno nie przypomina to sielanki podczas zawodów krykieta, które kiedyś obserwowałam. Na ile zaś mecz futbolu mi rzeczywiście przypadnie do gustu, o tym się pewnie rychło przekonam.

Nagle przechodzi mnie ekstatyczny dreszcz. Ma to miejsce, gdy słyszę znany mi dźwięk klaksonu za oknem.

– Liliana! – wrywa mi się z piersi, gdzie moje serce zaczyna coraz szybciej trzepotać.

W pośpiechu kończę makijaż. Wrzucam na siebie ubranie o pastelowych barwach: koszulkę na ramiączka i spódniczkę mini. Na nogi zakładam sportowe tenisówki i już zbiegam na parter domu.

– Gdzie tak pędzisz?! – rzuca za mną zaskoczona Elizabeth.

– Do kościoła, ciociu! – kłamię jak z nut, ale co tam.

– Do kościoła w takim... stroju?

Drugie kłamstwo sobie daruję. W to miejsce udaję, że nic nie słyszę. Wybiegam z domu i gnam do zaparkowanego na podjeździe Chevroleta. Wskakuję do samochodu i promiennie się uśmiecham.

– A ty co taka odstawiona i... podjarana? – Liliana patrzy na mnie nieco zdziwiona, bo rzeczywiście prezentuję się o wiele dynamiczniej, niż podczas naszej rozmowy telefonicznej. Ja radośnie zauważam:

– Jestem podniecona... meczem! – Przecież nie przyznam się tak wprost, że napaliłam się na podziw tłumów. Prawda jednak przedstawia się tak, że po ostatniej gehennie związanej z przesłuchaniami, aresztowaniami i szykanami teraz te wszystkie trudności pragnę sobie z nawiązką powetować i je odreagować.

Po kilkunastu minutach jazdy zatrzymuję się z Carterówną przy stadionie, który mieści się na północnych obrzeżach miasta. Parking nie jest całkiem zapchany, a zaraz się przekonuję, że na trybunach także jest całkiem sporo wolnych miejsc.

Lecz ja zmierzam nie na trybuny, a w kierunku wskazanej mi przez Carterównę szatni. To tam bowiem czekać ma na mnie mój boski kostium anioła i to stamtąd wylecę, jak na skrzydłach, by bosko się widowni zaprezentować.

Na samym boisku z kolei podziwiam właśnie rozgrzewających się zawodników obu drużyn.

Widzę, że ekipa Rakiet z Fresno ma niebieskie stroje, a Pomo pstrokate, wręcz tęczowe. Przy czym same ubrania kojarzą mi się z rycerskimi zbrojami. Wzgląd na to ma fakt, że każdy z graczy posiada hełm, a ponadto potężne naramienniki. Przez te ostatnie zawodnicy wyglądają na niezwykle męskich, bo monstrualnie barczystych.

Muszę przyznać, że widok przygotowujących się do meczu mężczyzn robi na mnie wrażenie. Z powodu zakrytych kaskami głów nie mogę rozpoznać ich po twarzach. Ale każdy z nich ma swoje imię na koszulce. Dzięki temu ich identyfikuję:

– Lucas, Dylan, Adam... – czytam kolejne imiona, a jednocześnie już schodzę na okalającą boisko bieżnię.

Kierowana przez obeznaną z terenem Lilianę idę do zadaszonej części stadionu, skąd wychodzą co raz to nowi gracze drużyny Pomo. Przekroczenie napotkanych drzwi w drugą stronę okazuje się dla mnie jednak nie takie proste:

– Proszę wrócić na widownię. Kibice nie mają prawa wstępu do zawodników i na zaplecze do szatni – oświadcza surowo ochroniarz. Patrzę na niego z góry i dumnie zaznaczam:

– Ale ja nie jestem... kibicem.

– Więc kim?

– Jestem... maskotką zespołu.

– Za maskotkę przebiera się Laura.

– Podobno jest niedysponowana.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Ochroniarz nie daje za wygraną. Ja także:

– Proszę skontaktować się z kapitanem drużyny Pomo, Lucasem. Proszę powiedzieć mu, że przed drzwiami do szatni czeka maskotka... Angelina Evans.

Ochroniarz ciężko wzdycha, ale spełnia moją prośbę. Człapie do linii bocznej boiska i zamienia kilka zdań z kapitanem drużyny Pomo, wskazując na mnie.

Gdy Wódz mnie zauważa, macha do mnie ręką. W odpowiedzi czynię ku niemu taki sam gest dodatkowo okraszony szerokim uśmiechem. Zaraz potem powraca do mnie mężczyzna w służbie ochroniarza i otwiera mi drzwi:

– Proszę bardzo.... – sapie.

Podeksytowana skradam się z Lilianą pustym korytarzem. Idziemy w ślad za energicznym pokrzykiwaniem jakiegoś mężczyzny i odpowiadającym mu męskim pomrukem.

Przystajemy w progu szatni i zaglądamy do środka. Widzimy trenera, który strofuje otaczających go zawodników:

– Donald, pamiętaj, aby od początku grać więcej podaniem bocznym. Wy wszyscy, grajcie więcej przekazaniem piłki, rozciągajcie szyk naszych rywali! Mateo, odpuść podania do przodu, mają w obronie za wysokich goryli. I starajcie się grać głównie na Lucasa, tak jak w ostatnim meczu, to wygramy!

– Wygramy...

- *Wygramy.*
- *Wygramy – powtarzają zawodnicy. Ale tak jakoś bez przekonania, na co reaguje trener:*
- *Z życiem i z wiarą, chłopaki. Rakiety prowadzą w tabeli, ale nie są nie do ogrania. Poza tym rywalizujemy przed własną publiką. Musimy się dobrze pokazać. Nie możemy zawieść!*
- *Nie możemy...*
- *Nie możemy.*
- *Nie możemy!*
- *Czyli kto wygra mecz?!*
- *Pomo!*
- *Kto wygra?!*
- *Indianie Pomo!*
- *Nie słyszę. Kto?!*
- *Indianie Pomo!*
- *Pomo!*
- *Pomo!*
- *No, to do roboty, chłopaki. Skopcie tym draniom z Fresno tyłki! – Trener wskazuje zawodnikom drogę w kierunku wyjścia na boisko. Pobudzeni gracze biegną w tamtą stronę, klepani przez trenera właśnie we wspomniane tyłki. Kiedy to nagle popychana przez Lilianę tracę równowagę i zza zakrętu korytarza wypadam prosto przed zawodników.*

Upadam wprost na pupę.

Mężczyźni w sportowych strojach stają jak w ryci. Ja natomiast, na tyle na ile mnie stać, z gracją wstaję, zupełnie jakby mój upadek był zaplanowany, jako element układu choreograficznego. Następnie dźwięcznie szczebioczę:

- *Jestem nową... maskotką, nową maskotką zespołu. Gdzie znajdę mój... anielski kostium?*
- *Mateo. – Trener chrypi do jednego z zawodników. – Daj jej ciuszki do przebrania i widzimy się zaraz na boisku. Reszta, nie zatrzymywać się. Do ataku!*
- *Pomo!*
- *Pomo!*

– Pomo!

Niebawem na korytarzu milkną wojownicze pokrzykiwania zawodników, którzy wybiegają na murawę. Wśród powstałej w szatni ciszy pozostają tylko ja, Liliana i wytypowany nam do pomocy Mateo. Ten ostatni podchodzi do blaszanej szafki, a otwierając ją, zrzędzi:

– Znowu będę tylko rezerwowym. Co za porażka.

– Jeszcze będziesz miał swoją szansę, jak ja, zobaczysz. – Łapczywie wyciągam dłonie po kostium i równie łakomie wyglądam go wzrokiem. Do tego podekscytowana dodaję: – Do niedawna też miałam status jedynie rezerwowej, ale szybko udało mi się awansować na maskotkę.

– Gratuluję... sukcesu, naprawdę. – Spochmurniały zawodnik wyciąga z szafki jakiś pstrokaty, olbrzymi gałgan i nachalnie wciska mi go w ręce. Ja szybko reaguję:

– To nie to. To jakaś pomyłka. Ma być strój anioła. – Szeroki uśmiech nie schodzi z mej promiennej twarzy. Moje oczy ciągle się świecą, jak gwiazdy. – Ma być olśniewający strój przepięknego anioła ze skrzydłami – upieram się. Na co Mateo rozpościera przede mną przepastne wdzianko w kolorze tęczy i zobojętniałym głosem chyba próbuje mi coś udowodnić:

– Jest kostium? Jest. Są skrzydła? Są. Czyli masz tu skrzydlaty kostium anioła.

Z zastygłym na licu uśmiechem spoglądam pytająco na Lilianę. Ona, równie obojętnie, co gracz, zauważa:

– No są skrzydła. Jest kostium. Kostium... indiańskiego anioła.

– Kostium... indiańskiego anioła – powtarzam pustym głosem. Ponownie przenoszę spojrzenie na prezentowane mi wdzianko i na dobre zamieram, gdy cała moja piękna anielska wizja przeistacza się w karykaturalne kuriozum.

Oto zde gustowana patrzę na rozłożyste skrzydła, które składają się z piór mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. Czepek na głowę ma równie wielobarwny pióropusz, a środkowa część zawiera wystający kuper z kolorowym ogonem. Do tego pstrokate spodnie kończą się kaczymi płetwami.

– To... To jakiś koszmar – wyduszam z siebie na dobre już nawet nie zde gustowana, a przerażona.

– To indiański anioł – zaprzecza wyzuty z emocji Mateo, a wtóruje mu zdrajczyni Liliana:

– Indiański anioł, tak jak wspominałam.

– To... Toż to coś nie ma w sobie nic a nic z anioła! To już prędzej kolorowy diabeł, nie anioł! – Dramatycznie szarpię kostium z zamiarem jego podarcia, co ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu mi się nie udaje.

Tymczasem rezerwowy gracz do rezerwowej maskotki wyraźnie już traci cierpliwość:

– Wskakuj w to wdzianko i ruszaj paradować w tym na bieżnię przy boisku. Szybko, bo jak zawiodę trenera, to w ogóle nie uwzględni mnie w dalszych rozgrywkach.

– Sam to sobie załóż! – krzyczę płaczliwie.

– Włóż w te kolorowe szmaty albo sam cię w nie wcisnę!

– Nie odważysz się!

– Chcesz się może przekonać?!

– Ale draka... – Liliana beczelnie ziewa. – A meczyk pewnie już się zaczyna. – Spogląda tęsknie w kierunku wyjścia z szatni.

Ja w tej przeklętej szatni się właśnie przebieram w to coś, co na pewno nie jest kostiumem anioła, a co doszczętnie odziera mnie z mej anielskiej godności i niszczy mą anielską reputację. Pod presją Mateo, Lucasa, Sandry, i cholera wie kogo jeszcze, ulegam. Złamana godzę się zrobić z siebie pośmiewisko.

– I znów punkty Lucasa dla drużyny Indian Pomo. Brawa dla naszego czempiona. Oklaski dla naszego niezrównanego Wodza! – Podczas meczu spiker co raz wykrzykuje peany pochwalne na cześć Lucasa.

Ja, za to co mi zrobił, w co kazał mi się wcisnąć, gdzie i przed kim paradować, najchętniej utopiłabym go w szklance wody. Sama natomiast topię się akurat we własnych łzach.

Do głębi upokorzona snuję się w przepastnym kostiumie wokół boiska. Nawet nie ma o tym mowy, abym zagrzewała drużynę Pomo do boju, czy pozowała. Jedyne czego pragnę to zniknąć, stać się niewidzialną. Albo schować się tak, aby nikt mnie nie zauważył.

Nie mam na to niestety najmniejszych szans. Na otwartym terenie jestem co raz rozpoznawana i wyszydzana przez kibiców, którzy w większości stanowią uczniów mojej szkoły.

Jak ja im się teraz będę pokazywać na oczy? Jak sama będę spoglądać w lustro? Czy od teraz będą mnie dręczyć w nocy kolorowo-pierzaste koszmary?

W końcu psychicznie pękam. Nie wytrzymuję już bowiem osaczania mnie wzrokiem w upokarzającym stroju przez całą rzeszę studentów.

Niczym niezdarna kaczuśka człapię w za dużych na mnie płetwach na trybuny do Liliany. Zasiadam koło niej, kulę się w sobie i zastygam niczym przemieniona w wielobarwny słup soli.

– Ha, ha, ha! Ale śmiesznie się przewracają! – Dla odmiany podziwiająca zmagania sportowe Carterówna jest w iście szampańskim nastroju: – Ale go pięknie staranował. Normalnie posłał na głębę i jeszcze przeszedł po nim. Ha, ha, ha! Dobić tego, co leży! Dobić go!

Kiedy moja pseudo przyjaciółka, która wrobiła mnie w udawanie pstrokatego pseudo anioła, coraz głośniej oddaje się kibicowaniu, co znamienne, drużyny przeciwnej... ja nadal przeżywam mój życiowy dramat.

Wcale nie interesuję się meczem. Za nic mam ból znanych mi mężczyzn, gdy bezpardonowo zderzają się z przeciwnikami, koziółkują, lecą w powietrzu i upadają. Nie dopinguję ich, by pozbiali się i poturbowani wstali z zielonego boiska poprzedzianego białymi pasami. Myślę wyłącznie o sobie i doświadczanym koszmarze. Kiedy natomiast wydaje mi się, że już gorzej być nie może, robi się więcej niż tragicznie.

Oto podczas przerwy w grze na boisko wybiegają chilriderki z Sandrą na czele, która całkiem kradnie mi mój wyśniony show. Tańczące dziewczyny z pomponami w pełni skupiają na sobie uwagę widowni. W szczególności głośny podziw publiczności wywołuje właśnie Sandra.

– Sandra!

– Dawaj Sandra!

– No dawaj!

– Sandra!

Zatykam uszy, zamykam oczy. W kuriozalnym stroju, żywcem zżerana przez zazdrość i wstyd, prawie w męczarniach konam. Co by się jednak nie wydarzyło, choćby na ziemię miało spaść niebo, to w swej gehennie postanawiam wytrwać. Bo czego upadły anioł nie zrobi z miłości dla ukochanego demona...

Tak tęsknię za tobą i za naszym dawnym życiem. Tak bardzo tęsknię, Mike. Bez ciebie to wszystko nie ma sensu. Bez ciebie czeka mnie tylko marny los. Widzę, że bez ciebie nic dobrego w moim życiu nie może się stać. Nic dobrego mnie już bez ciebie nie spotka.

V. Tarot – Pięciu Pucharów

Karta tarota Pięciu Pucharów nawiązuje do okoliczności pełnych smutku, cierpienia i emocjonalnego bólu. Mamy tu do czynienia z tak trudnymi aspektami jak poczucie rozpadu dotychczasowego życia, depresja i głęboki żal. Jest to czas klęski, który musimy przetrwać, aby rzeczy znów miały się ku dobremu.

*

W poniedziałek nie idę do szkoły i nie odbieram telefonów. Zaszywam się w swoim pokoju, zagrzebuję w pościeli i nad sobą uzalam.

W moim życiu następuje punkt, po przekroczeniu którego odnoszę wrażenie, iż moja dotychczasowa egzystencja całkiem się rozpada. Czuję się do granic możliwości ośmieszona ostatnimi wydarzeniami, przez co momentami odbieram do siebie niemal wstręt. Jestem samotna, rozżalona i nie znajduję pociechy nawet w modlitwie.

Jestem jakby pozbawionym skrzydeł aniołem, który spadł do otchłani i nie ma już możliwości wzlecieć do nieba. Nie wiem, jak odnaleźć się w piekle, które po części sama sobie stworzyłam i które stanowi teraz moją normalną rzeczywistość. Jakoś jednak muszę dalej żyć.

We wtorek Elizabeth nie chce już słyszeć o tym, że mam migrenę i znowu nie wyjdę z domu. Każe mi iść do lekarza. W takim układzie decyduję się pójść na zajęcia do college'u.

Dociera do mnie, że jeśli nie odnajdę się w moim piekielku, to całkiem się wyalienuję. Wtedy czekać będzie mnie to, co ponad rok temu zanim poznałam Mike'a. Będę miała prosty wybór: dać się zgnoić w szkole albo tę szkołę opuścić. Niestety obecnie zarówno jedno jak i drugie rozwiązanie łączyłoby się z pogrążeniem Damona przez Sandrę i Lucasa, a na to przecież nie mogę pozwolić.

– Hej, Angelina! W końcu do nas wróciłaś, wagarowiczko.

– Cześć... Liliana. – Przed salą do biologii stawiam się w sportowej koszulce z odzierającym mnie z godności numerem sześćdziesiąt dziewięć i równie uwłaczającym mi napisem rezerwowa. Wrzucam na twarz sztuczny uśmiech i w ten sposób próbuję przykryć smutek. Moja przyjaciółka zaś dalej trajkocze:

– Jeszcze raz wielkie dzięki za to, że zabrałaś mnie na niedzielny mecz. Nie powiem, całkiem dobrze się bawiłam. Szczególnie że wygrała moja drużyna!

– To... kto właściwie odniósł zwycięstwo? – Zadaję kurtuazyjne pytanie w temacie, który mnie kompletnie nie interesuje, wspominając, że na przekór wszystkim Carterówna wspierała Rakiety. Ona z kolei macha niedbale ręką i się oburza:

– Pawie piórka z czepka ci padły na oczy podczas meczu, czy jak? Przecież byłaś tam ze mną, musiałaś widzieć, kto wygrał, kto przegrał!

– Więc... kto?

– Rakiety górą, rakiety górą jednym punktem! – Liliana głośno triumfuje, dopingując wrogą drużynę, czym ściągga na siebie gromy z oczu kilku okolicznych zawodników z Pomo.

Ci gracze zresztą podobne błyskawice ciskają w moją stronę. Nie dziwię im się, bo całkowita pasywność mojej maskotki podczas meczu raczej nie przyczyniła się do lepszej gry tutejszej drużyny.

– Tak właściwie to czemu trzymasz za Rakietami, a nie naszymi chłopakami? – Mimo woli ciągnę nieszczęsny dla mnie wątek, zwracając się do przyjaciółki. Ta wywała ku obserwującym ją graczom język, stroi paskudne miny i wyniośle stwierdza:

– Drużyna Pomo nie przyjęła w swoje szeregi mojego Cadena. Więc to nie jest moja drużyna, mimo że z mojego miasta. Jak dla mnie zasługuje tylko na przegrane. I jak przegrywa, to ja czuję, że wygrywam!

– Mściwa z ciebie bestia... – pomrukuję, będąc myślami już gdzie indziej. Mianowicie w miejscu, gdzie uzmysławiam sobie, że nieważne, która drużyna odnosi zwycięstwo czy porażkę, to ja, publicznie paradygując w kolorowym gałganie, i tak czuję się tą przegraną.

Oby tylko Laura, oryginalna maskotka, zdążyła na kolejny mecz dojechać do siebie i można było odstawić na boczny tor rezerwową. Dodaję już tylko w myślach, by dodać sobie otuchy i wchodzę do sali lekcyjnej, uwalniając się spod wzgardliwego wzroku graczy Pomo.

Na następnych przerwach między lekcjami snuję się po szkolnych korytarzach jak duch. Robię, co mogę, abym nie została wytropiona przez zawodników miejscowej drużyny, czując się nieco winna ich porażce.

Trzymać na uboczu udaje mi się do końca zajęć, kiedy to na parkingu drogę zajeżdża mi swoim samochodem Lucas.

Dłuższy czas z powagą mierzymy się surowymi spojrzeniami, aż Wódz uśmiecha się do mnie rozbrajająco i jakby nigdy nic zaprasza:

– Wskakuj. – Otwiera mi drzwi wozu. Ja z pewną obawą niepewnie pytam:

– Chcesz znowu zabrać mnie na... randkę?

– No chyba że nie na tortury do lochu. – Szeroki uśmiech nie schodzi z męskiej twarzy. Ja ciągle się waham i przez to zaraz słyszę: – Nie mów, że jednak wolisz tortury. – Kąciki ust wodza z wolna opadają. By nie dać po sobie poznać targających mną emocji, moje z kolei wargi układam w zwróconą ku górze podkówkę, po czym słodko szczebioczę:

– Kup mi lody śmietankowe, dużo śmietankowych lodów. I zawieź mnie gdzieś, gdzie jest... pięknie. Zawieź mnie na... randkę.

– A już zaczynałem poważnie brać ten wariant z lochem. – Wódz, jakby rozmarzony, wzdycha. Potem puszcza mi oko i rusza wozem z piskiem opon, kiedy już ma mnie u swego boku.

Wkrótce osobiście mam już na ustach słodycz z kupionych mi lodów. Podczas jazdy za miasto słodkości do tego stopnia koją moje zmysły, że nawet nie robię Lucasowi wyrzutów z powodu torturowania mnie przebieraniem w maskotkę.

W sumie to nie wiem, co dobrego mogłabym osiągnąć, wszczynając teraz kłótnię. Wydaje się to zupełnie bezproduktywne. Co innego uległość i pokora, które pozwalają mi właśnie beztrudnie smakować lody, relaksować się szybką jazdą i zmierzać gdzieś, gdzie z chęcią odpocznę od trosk i miasta.

Ostatecznie Wódz zatrzymuje wóz na plaży nad brzegiem oceanu. Jak najbardziej pochwalam wybór takiego pleneru, bo w Teksasie wychowałam się w głębi lądu na zachód od Dallas. Z tego powodu na morze ciągle nie mogę się napatrzeć i ma ono dla mnie w sobie coś magicznego.

Wspaniała jest dla mnie świadomość, że pod taflą wody znajduje się zupełnie inny świat, do którego ludzie prawie nie mają wstępu. Jest to jakby druga strona nieba o podobnej barwie i podobnie niedostępna. Sama chciałabym się nieraz w takim świecie skryć, aby odseparować się od mych ziemskich zmartwień.

Obecnie jednak mogę o tym tylko pomarzyć i w obecności Lucasa zjadać smutki lodami. Wszak folgowanie wyobraźni sprawia, że coraz bardziej oddaję się fantazjowaniu i zaczynam w nim szukać dla siebie nadziei. Przez to w pewnym momencie patrzę na milczącego od dłuższego czasu Wodza łaskawszym wzrokiem, po czym miękko mu sugeruję:

– Mógłbyś powiedzieć do mnie...

– Co?

– Nie co, tylko jak...

– To jak?

– Odezwij się do mnie, jak do... aniołka.

– Cześć, aniołku.

– No nie... Nie w ten sposób. – Robię się trochę zakłopotana, bo wyproszone przeze mnie słowo wypowiedziane zostaje nader sucho, kompletnie bez miłosnego ciepła. Czyli zupełnie inaczej niż zwykł czynić to Mike.

W rezultacie moja nadzieja, że z Lucasem mogłabym zaznać choć cienia tego co z Damonem, pryska jak bańka mydlana. O nic więc już Wódza nie proszę.

On zresztą też nie jest tego dnia ze mną zbyt rozmowny. Przez większość naszego pobytu na plaży rozmawia przez telefon. Dyskusje prowadzi ze sprzedawcami ze sklepu sportowego, to swoimi kumplami sportowcami. Ostatecznie zaś raczy mnie czułymi tekstami kierowanymi do Sandry.

Dopiero te ostatnie treści wzbudzają we mnie jakieś emocje. Z niechęcią odczytuję w sobie, że słuchanie miłosnych wyznań Lucasa do jego dziewczyny to może nie tortury, jak przypalanie ogniem, ale także dla mnie coś nieprzyjemnego.

Z jeszcze większą niechęcią dochodzę do wniosku, że zdecydowanie poprawiłoby mi nastrój, gdyby tak jak do Sandry, Wódz zwracał się do mnie. Zaraz jednak uzyskuję jasny dowód, że to się nigdy nie stanie:

– Rety, w końcu wydusiłaś to z siebie. Czyli będziemy mieli dziewczynkę! Jestem takim szczęściarzem. To takie wspaniałe. No co ty gadasz? Pewnie, że wspaniałe, najwspanialsze, kochanie!

– Czyli Sandra jest z tobą w ciąży... – mówię pustym głosem po skończonej przez Lucasa rozmowie. On, wielce uradowany, spogląda na mnie i potwierdza:

– Ano tak. Przypadkiem, ale udało nam się zmajstrować to i owo. – Zaraz kładzie sobie palec na ustach i przestrzega: – Tylko nikomu o tym ani mru-mru. To tajemnica.

– Rozumiem... Oczywiście. Ale... skoro będziesz miał ze swoją dziewczyną dziecko, to czy nie powinieneś być teraz razem z nią, a nie... ze mną? – Zerkam niepewnie na Wódza. Chyba po raz pierwszy zauważam u niego nieco kwaśną minę. Gładzi się on pewien czas po łysej czaszce, po czym z nutą wyrzutów sumienia w głosie tłumaczy:

– Widzisz... Sandra to piekielnie seksowna dziewczyna i sama diablica w łóżku. Z nią jest prawdziwy ogień, zupełnie jak na meczu futbolowym. Ale być cały czas przy niej, to znaczy się spalać. To bardzo intensywne doznanie, szczególnie teraz, jak buzują w niej te macierzyńskie hormony. Wiesz, co mam na myśli... Za to z tobą dla odmiany... – Lucas łagodzi głos i bawi się moimi włosami. – Z tobą jest tak jakoś... sielsko anielsko. Przy tobie nie jestem sam, a mimo to mogę dobrze odpocząć i się zrelaksować, odprężyć. To dobre uzupełnienie, ciekawa alternatywa. Podoba mi się to...

– Podoba ci się to, że masz pasującą ci charakterem rezerwową Sandry. – Smutno kiwam głową. Oczekiwanego pocieszenia słowem się nie doczekuję, ale próby niesienia mi pociechy w inny sposób już tak:

– Żebyś nie czuła się niedoceniana, jako rezerwowa możesz się też wykazać na innym polu. – Sportowiec nachyla się ku mnie. – Lubię tę twoją powściągliwość i to zgrywanie trudnej. Na swój sposób naprawdę mnie to kręci. Ale nie sądzisz, że może już czas, abyś nieco odpuściła i

pokazała mi, co jeszcze dla mnie masz poza swoją obecnością? – Mężczyzna niedwuznacznie kładzie mi swoją dłoń na udzie. – Daj sobie trochę na luz, a wtedy sama mogłabyś na tym bardziej skorzystać, odprężyć się, zrelaksować. – Męskie palce wsuwają się pod moją spódniczkę. – Namiętnego całusa mamy w końcu już za sobą. – Męskie usta przybliżają się do moich. – Jakby nie patrzeć, majtki też już swego czasu przede mną zdjęłaś. – Czuję pociągnięcie za bieliznę pod spódniczką. – Może nadszedł czas na dalsze kroki? Co ty na to?

Wypowiedź i ruchy Wodza trafiają do moich uszu niczym kuszenie samego szatana. Nie powiem, całkiem skuteczne jest to kuszenie. Ale nie taka była między nami umowa.

– Twoja propozycja przekracza punkty naszego układu – zauważam.

– Zawsze możemy dopisać nowe punkty, czy tam umowę renegotjować. Wystarczy, że się zgodzisz... – Czuję uścisk na udzie. Mobilizuje mnie to, abym zareagowała, nim może być na to za późno.

– Może jednak nie tym razem. – Chwytam obłapiającą mnie dłoń i powoli, ale stanowczo próbuję odciągnąć od siebie. Wódz najpierw się wzbrania, ale ostatecznie daje za wygraną:

– Ech... Twoja i... moja strata – wzdycha rozczarowany. Lecz finalnie, zgodnie z naszym układem, bierze na wstrzymanie.

*

Nadchodzi dla mnie czas, gdy zaczynam żyć zdecydowanie na ziemi, czyli między niedostępnym dla mnie niebem, a unikany piekłem. Niebo pozostaje dla mnie definitywnie zamknięte, nie mam już bowiem do niego wstępu, by doświadczać w nim radości i szczęścia. Na ziemi z kolei, wśród rówieśników, przywdziewam sztuczną maskę zadowolenia, to udaję obojętność. W ten sposób uciekam od piekła mego upokorzenia, depresyjnej nijakości, oceanu beznadziei, smutku i trosk.

Jak długo wytrwam rozczłonkowana, zanim moja zlepiana z różnych fragmentów osobowość rozleci się na kawałki? Jestem już na skraju załamania, aby moje jestestwo obróciło się w gruzy? Czy może raczej skutecznie ćwiczę się w przemykaniu między odmiennymi stanami świadomości, by prezentować sobą kameleona?

Sama już nie wiem, kim takim na ten czas jestem, kim się staję i kim przyjdzie mi być. Aczkolwiek jedno nie ulega wątpliwości. Każda z wersji nowej mnie samej, która przychodzi mi do głowy, ma coraz mniej wspólnego z aniołem.

Tymczasem obecnie znów przywdziewam maskę beztrudnej nastolatki. Kogoś dla kogo romansowanie na boku z takim ogierem, jak Lucas, stanowi spełnienie marzeń.

– Cześć, Wodzu. – Na szkolnym parkingu uśmiecham się promiennie, gdy kolejnego dnia wspomniany mężczyzna zajeżdża mi drogę swoim wozem. Następnie słyszę:

– Na weekend pojedziesz ze mną do Fresno. Bo widzisz, skumplowałem się z kapitanem drużyny Rakiet i zaprosił mnie do siebie na imprezę. Więc wypadałoby mi kogoś ze sobą wziąć.

– Nie wolisz zabrać... Sandry?

– Prawdę mówiąc nie. Dlatego pojedziesz jako rezerwowa, bo nie mam ochoty całą drogę słuchać o markowych pieluchach dla dziecka, czy o wyższości sztucznego mleka nad naturalnym, kobiecym.

– Wyższość sztucznego mleka nad naturalnym? – podchwytyję.

– Zgadza się. – Wódz patrzy na mój biust i z ciężkością w głosie mówi: – Gdy gadamy o przyszłości i porodzie, Sandra nie chce słyszeć o karmieniu piersią. Nie chce nawet ssaka do cycków. Twierdzi, że przez to sflaczałyby jej jądrne... pompony.

– Skoro zamierza tak dbać o wygląd w czasie macierzyństwa, to jak zniesie swój nowy rozmiar talii podczas ciąży?

– Nie będzie łatwo. Już nie jest. – Sportowiec przysłania dłonią twarz, zupełnie jakby chciał skryć się przed nadciągającymi na swe oblicze ciemnymi chmurami. – Sandra już zrzędzi o gorsecie wyszczuplającym na ciężowy brzuch – dodaje wisielczo, a już zawadiacko, i bez ręki na twarzy, pyta: – To co z tym naszym wyjazdem do Fresno? Wchodzisz w to?

– A mam wybór?

– Sama zdecyduj...

– Pomyślmy... Skoro sugerujesz wyjazd rezerwowej w ramach... randki, to chyba jest to kompatybilne z naszym układem. – Tamuję poszerzający mi się na licu uśmiech, choć dla kontrastu moje serce pozostaje zupełnie zimne. Lucas z kolei zdecydowanie potwierdza:

– Jak najbardziej. Wypad do innego miasta na super randkę. Czyli wszystko zgodnie z naszym układem.

– Niech będzie. – Zalotnie poprawiam falujące mi na ciepłym wietrze włosy, co dla mnie osobiście stanowi pusty gest. – Pojadę z tobą do tego Fresno, Wodzu. – Ostatecznie potwierdzam skorzystanie z otrzymanej oferty.

*

Zgodnie z zapowiedzią w sobotę jestem wieziona sportowym wozem do obcego mi miasta.

W połowie drogi robimy z Lucasem postój na pustkowiach. Pośród kaktusów i suchych krzewów zjadamy po zakupionym wcześniej hamburgerze i pijamy colę.

Posiliwszy się, wznawiamy jazdę do Fresno.

Samego miasta drużyny Rakiet nie mogę dobrze sobie obejrzeć, bo dojeżdżam do niego już w nocy. Zresztą od razu trafiam gdzieś na przedmieścia, przed okazałą rezydencją. Jest ona mocno rozświetlona, dochodzi z niej głośna muzyka dance i słychać śmiechy.

Po moim wyjściu z wozu mężczyzna, z którym tu przybywam, prowadzi mnie slalomem między innymi zaparkowanymi tu samochodami. Tak docieram tuż przed budynek, gdzie znajduje się imponujący swoim rozmiarem basen.

Widzę, że impreza w najlepsze trwa także tutaj. Piszczące dziewczyny w strojach kąpielowych skaczą do wody, bądź są do niej wrzucane przez atletycznie zbudowanych facetów. Oceniam, że uczestnicy zabawy są w moim wieku lub nieco starsi, czyli zapewne uczą się w miejscowym college'u.

– Samuel, ty bydlaku! – Przy basenie Lucas wita się z równie potężnym co on ciemnoskórym mężczyzną. Dwaj muskularni faceci śmieją się i przepychają, zupełnie jak w zwarciu podczas meczu. Potem odstepują od siebie.

– Polecam ci się popluskać. – Będący tylko w kąpielówkach Samuel wskazuje Wodzowi wodną przestrzeń. Choć jego ręka pokazuje mniej samą wodę, a bardziej kąpiące się dziewczyny. – Czy to jest może ta rezerwowa, o której wspominałeś? – Ręka kapitana drużyny Rakiet zostaje przekierowana na mnie.

– Tak, to ona. – Lucas potwierdza moją tożsamość.

Ja, by grzecznie się przedstawić i nie być tu bezosobowa, mówię:

– Nazywam się...

– Mniejsza z tym, jak się nazywasz. – Samuel beczelnie wchodzi mi w zdanie. Na tym jednak jego beczelność się nie kończy: – Zwyczajnie dołącz do pozostałych – dodaje.

Nagle zostaję pchnięta tak gwałtownie, że szybuję prosto do wody. Z donośnym pluskiem wpadam w głęboką toń. Zachłystuję się płynem i czuję, że tonę. Zamykam oczy i w szoku widzę obrazy z przeszłości – widzę ogień.

Będąc dłuższy czas pod wodą, w panice wypuszczam z ust pęcherze powietrza i desperacko wymachuję rękoma.

Na powierzchnię zostaję wyciągnięta równie raptownie, jak dałam w nią nura. Przestraszona otwieram oczy i dostrzegam, że jestem holowana na plecach na skraj basenu. Moim wybawicielem okazuje się Lucas, który cierpko zwraca się do nieobliczalnego gospodarza imprezy:

– Nie przeginaj, brachu.

– Kiedy to nie twoja dziewczyna. To tylko rezerwowa!

– Kim by nie była, jest tu pod moją opieką. Więc się zachowuj. – Wódz pomaga mi się wydostać z wody na brzeg basenu. Staję na nim caluteńka przemoczona.

– No proszę, chyba możemy już ogłosić dzisiejszą zwyciężczynię miss mokrego podkoszulka! – pieje z zachwytu Samuel, patrząc na mój biust wyraźnie odznaczający się pod mokrym materiałem białej koszulki.

Szok z powodu bezpardonowego wrzucenia mnie do wody zaczyna mi już mijać. W to miejsce czuję pogłębiające się zdegustowanie zachowaniem czarnoskórego sportowca, który względem mnie o wiele za dużo sobie pozwala. Co na to mój samozwańczy obrońca?

– Masz dla niej coś suchego do przebrania? – Równie przemoczony co ja Lucas obejmuje mnie ramieniem.

– Damskie ciuszki w mojej chacie? Coś chyba się znajdzie.... Jakie masz rozmiary, kotku, kochanie? – Gospodarz imprezy wodzi wzrokiem po moich krągłościach. Równocześnie słyszę skierowany do mojego ucha dyskretny szept Wodza:

– Wybacz mu, jest już... dobrze wstawiony.

– Nieważne, niech trzyma łapy przy sobie. Swój język zresztą też niech poskromi – odpowiadam także ściszym głosem.

– Jasne, zadbam o to.

– Oby.

– Lucas, to ty? Lucas?! – W tym momencie podchodzi do nas wysoki brunet w czerwonych kąpielówkach.

– Joe...? – Wódz zdaje się rozpoznawać przybysza. Ten już klepie go poufale po plecach i radośnie mówi:

– No pewnie, że to ja! Nie poznajesz dawnego kumpla?!

– Witaj, Joe.

– Chodź ze mną! Muszę cię pokazać chłopakom!

– Kiedy...

– No dawaj! W końcu już niedługo będziesz prawdziwą gwiazdą futbolu. Podpiszesz trochę autografów, co?!

– Samuel... – Rozchwytywany Lucas spogląda na gospodarza imprezy. – Zabierz ją. – Wskazuje na mnie. – Weź ją do jakiejś damskiej szafy. Niech się przebierze. I... rączki przy sobie. Masz być miły. Ja na jakiś czas się oddalę.

Wódz odchodzi w towarzystwie zachwyconego nim Joe. Ja zostaję w towarzystwie Samuela i wcale nie jestem tym zachwycona.

*– Damska szafa, damska szafa... – powtarza sobie czarnoskóry mężczyzna, a jednocześnie rozgląda się za miejscami, gdzie kręci się największa impreza. Aż odkrywczo do mnie wypala:
– Wiesz co, mokry koteczku? Poczekaj tutaj na mnie. Wrócę tu do ciebie z nowymi ciuszkami, jak tylko coś, kiciu, znajdę. I tylko mi nie wyschnij do tego czasu!*

Nie mija chwila, a na głośnym przyjęciu zostaję zupełnie sama. Czekam na suche ubranie, ale szybko sobie uświadamiam, że to daremne. Wkrótce bowiem ponownie widzę Samuela, ale z dala ode mnie, za to z kieliszkiem w dłoni i w towarzystwie dwóch pań w bikini.

Zrezygnowana postanawiam opuścić okolice basenu i na hucznej imprezie poszukać sobie nowego miejsca.

W moich poszukiwaniach trafiam na drugą stronę rezydencji. Nadziewam się na parkiet, gdzie studenci żywiołowo tańczą do skocznej muzyki. Obchodzę płąsający tłum i zatrzymuję się przy barze na świeżym powietrzu. Zasiadam na jednym z wysokich stołków, po czym krzyczę do barmana:

– Poproszę! Wodę... – Mój głos się załamuje, przez co w ogólnym tumultcie nie jestem dobrze słyszana. W rezultacie podany zostaje mi drink z plasterkiem cytryny nadzianym na szklanekę.

Krzywię się na twarzy, ale piję trunek. Pobudza mnie on, a zarazem pozwala się odprężyć. Na zajmowanym stołku przyjmuję wygodniejszą pozycję i już bardziej zrelaksowana rozglądam się po imprezie, jak dla mnie, z piekła rodem.

Uraczywszy się trzecim z rzędu ostro kwaśnym napojem, moja perspektywa się zmienia. Coraz bardziej akceptuję swoją obecność na krzykliwej zabawie, a nawet to, że ciągle jestem przemoczona. Widać alkohol robi swoje.

W pewnej chwili z roztańczonego tłumy wyłania się znany mi już Samuel i zasiada koło mnie. Zamawia piwo, a ja, nieco otumaniona, już bez większej urazy nawet z podziwem patrzę na imponującą muskulaturę kapitana Rakiet.

Jemu zajmuje trochę czasu, aby mnie rozpoznał. Wówczas w szerokim uśmiechu pokazuje mi garnitur swoich bielutkich zębów i odkrywczco rzuca:

– Maskotka Lucasa!

Podpita uśmiecham się frywolnie i kiwam twierdząco głową. Pochylam się ku rozmówcy i zataczając ręką koło, swobodnie pytam:

– Czyja jest ta posiadłość?

– Już moja – szczerzy się Samuel. – Dostałem ją od ojca na dwudzieste drugie urodziny!

- *A kim jest twój... bogaty ojciec?*
 - *Teraz już nikim szczególnym. Ale był koszykarzem. Grał w Los Angeles Lakers. Ja jednak wolę futbol amerykański. To bardziej kontaktowa gra. Coś dla prawdziwych facetów. – Sportowiec uderza się pięścią w nagi tors. Patrzę na ten tors i z nutą uznania przyznaję:*
 - *Fakt... Jesteś prawdziwym facetem.*
 - *Pewnie, że tak! A widziałaś, jak gram?*
 - *Byłam w Crestone na twoim meczu z Pomo. – Opużkiem wskazującego palca niespiesznie wodzę po krawędzi mojego kieliszka. – Kibicowałam... – wzdycham.*
 - *Cholera... wygraliśmy tam! Kocham, kurwa, wygrywać! Kocham wygrywać, jak nic innego na świecie! – Samuel nagle mnie obejmuje i silnie przyciska do siebie. Zanim zdążę zareagować, słyszę: – Ależ ty jesteś mokra!*
 - *Nie przypominasz sobie może... czemu? – Przewracam oczyma.*
 - *To z podniecenia na mój widok?!*
 - *Pudło... Ale strzelaj dalej.*
 - *Podpowiedz mi!*
 - *Basen...*
 - *He?!*
 - *Popchnięcie...*
 - *Hm...*
 - *Popchnięcie i basen. Chlup...*
 - *Aaa... No jasne! Przytopiłem cię i potem miałem ci znaleźć suchy ciuch. No widzisz, już sobie przypomniałem. Mięśnie mięśniami, to podstawa, ale główka też u mnie pracuje! – W alkoholowym zamroczeniu Samuel zyskuje w końcu prześwit czystej świadomości. Wstaje, ciągnie mnie za rękę i mówi: – Chodź, znajdziemy ci obiecane wdzianko.*
 - *W sumie to... nie odmówię – oznajmiam, czując na sobie nieprzyjemną wilgoć od przylegającego do mnie mokrego ubrania.*
- Wkrótce wchodzimy razem do budynku i dane mi jest podziwiać jego wnętrze. Przekonuję się, że jest równie ekskluzywne jak odrestaurowana posiadłość Mike'a pod Crestone, gdzie pomieszkiwałam przez ostatnie tygodnie wakacji.*

Rezydencja ma trzy kondygnacje, na które prowadzą wijące się spiralnie schody. Jest tu dużo bieli bijącej od ścian, ale też sporo zieleni od roślin doniczkowych i jasnego brązu, który swoim kolorem powleka drewniane meble. W oczy rzucają się także ekstrawaganckie obrazy ze sztuką nowoczesną przemieszane z plakatami koszykarzy i gwiazd futbolu.

Przez takie przestrzenie Samuel prowadzi mnie na pierwsze piętro, gdzie otwiera przede mną podwójne drzwi. Wchodzę do pokoju, w którym automatycznie zapala się czerwone światło. Następnie zaintrygowana przyglądam się pomieszczeniu, które jakoś tak nie do końca przypomina mi kobiecą garderobę, której się spodziewałam.

Centralnie stoi tu wysokie, podwójne łóżko nakryte śliskim, bordowym materiałem. Przy bocznych ścianach widzę metalowe, rubinowe szafy zamykane na ciężkie kłódki. Po przeciwległej zaś stronie względem drzwi rozstawiona jest jakby wielka sztaluga.

Po uważniejszym przyjrzeniu się ostatniemu elementowi wnioskuje, że nie mam tu do czynienia z akcesoriami do malowania obrazów. Na drewnianym rusztowaniu dostrzegam bowiem łańcuchy z obręczami. Wtedy odbieram w sobie chyba uzasadniony w tych okolicznościach niepokój i tak jak w pokoju pali się czerwone światło, tak mi zapala się w umyśle czerwona lampka.

– Rozbierz się – rzuca swobodnie Samuel.

– W której z szaf znajdę dla siebie... suche ubranie do przebrania? – pytam naiwnie.

– Ubranie suche, czy mokre, żadne nie będzie ci tu potrzebne. – Mężczyzna z hukiem zatrzaskuje za nami drzwi, po czym bezceremonialnie popycha mnie w kierunku łóżka.

Potykam się o własne nogi, ale udaje mi się zachować równowagę i nie upaść. Zwracam się przodem do właściciela posesji i wytykając go wskazującym palcem, jeszcze w opanowany sposób zgłaszam swoje zastrzeżenia:

– Nie wiem, co ci chodzi po głowie i po co tak naprawdę mnie tu przyprowadziłeś, ale chyba mi się to nie podoba.

– Nie udawaj głupszej niż jesteś. – Samuel podchodzi tuż przede mną. – Dobrze wiesz, po co tu jesteś, jak każda lala, która tu ze mną przychodzi. I tak jak innym, tobie też się tu spodoba. Spodoba ci się to, co ci zrobię.

Nagle sportowiec uderza mnie z taką siłą w klatkę piersiową, że lecę w powietrzu prosto na wielkie łożo. Sprężynuję na nim, niczym na trampolinie, a od siły otrzymanego ciosu z trudem łapię oddech.

Niemówność swobodnego nabrania powietrza do płuc czyni mnie niemal bezbronną na poczynania mężczyzny, który mnie tu zwabił. On chwyta kolejno moją jedną to drugą rękę i przykuwa je kajdankami do poręczy łóżka.

Po tej czynności sam gramoli się na posłanie. Klęka między moimi udami i tak łakomie na mnie patrzy, aż z kącika ust leci mu ślina.

W tym momencie na szczęście udaje mi się opanować oddech do tego stopnia, że jestem już w stanie ostro zareagować:

– Nawet mnie nie tknij, bo pożałujesz! Pożałujesz jak niczego na świecie!

– O, co ja widzę... Jest w tobie sporo życia. Bardzo dobrze, bo nie lubię, jak dziewczyna leży na łóżku jak kłoda.

– Będę krzyczeć! Ktoś tu po mnie przyjdzie!

– A możesz sobie krzyczeć. Na trwającej imprezie każdy wrzeszczy. Więc na jeszcze jeden wrzask nikt nie zwróci uwagi. Dlatego nikt tu nie przyjdzie. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zresztą sama się zaraz przekonasz. – Samuel wkłada mi ręce pod spódnicę i chwyta za majtki.

– Nie! Nie możesz! – drę się w niebogłosy.

– Kto niby mnie powstrzyma?

– Lukas!

– Chyba żartujesz. Stawiam, że jest teraz podobnie zajęty jak ja z tobą. – Ściągnięta mi z tyłka bielizna ląduje na podłodze. W odpowiedzi wiję się na łóżku, jak wąż i przerażona wyrzaskuję:

– Tknij mnie, a dopadnie cię Mike. Dopadnie cię Mike Damon!

– A co to znowu za koleś? Jakiś rezerwowy drużyny Pomo? – drwi Samuel. Ja błyskawicznie wyprowadzam go z błędu:

– Mój Mike to gangster, szef gangu Demonów! On cię zniszczy!

– Szef gangu... powiadasz?

– Tak!

– Skoro twój Mike... to taka szycha, to gdzie on teraz jest? Czemu nie przy tobie? – Wyszczerzony sportowiec wymownie rozkłada ręce na boki. Następnie to samo czyni z moimi udami.

– Przestań! – warczę wściekle. – Mojego Mike'a tu nie ma, bo został aresztowany. Zapuszkowali go za nielegalny hazard, kradzież samochodów, handel narkotykami, pobicia! Zatrzymał go agent federalny Mark Manson, który śledzi każdy mój krok. Więc na najbliższym przesłuchaniu bardzo chętnie mu opowiem, co mi zrobisz wbrew mojej woli. Na widzeniu z moim chłopakiem powiem to samo!

– Czy ty mi, kotku... grozisz?

– Nie, kurwa, jedynie się zastanawiam, który z wymienionych facetów cię pierwszy dopadnie! Gangster, do którego należę, czy glina, który za pomoc dla niego, chętnie wyświadczy mi przysługę i cię zapuszkuje. A wtedy żegnaj futbolowa kariero!

– Cięty masz języczek jak na.... rezerwową maskotkę, nie powiem. – Raptem skwaszony Samuel mnie puszcza. – Co mi też Lucas podesłał za kiepski towar. – Obdarzona zostaję więcej niż wzgardliwym spojrzeniem. – Zresztą czego ja się spodziewałem po przegranych szmaciarzach z Crestone. Wszyscy tam jesteście sobie tyle samo warci, czyli gówna. – W oczach zastraszonego mężczyzny zakwita nienawiść, która prowadzi do aktu zemsty w postaci rękoczynu. – Dziwka!

Otrzymuję tak silne uderzenie w twarz, aż trzeszczy mi w przekrzywionym gwałtownie karku. Nagle nie słyszę zupełnie niczego, a cały zatopiony w czerwieni pokój zasnuwa mi jakby mgła i wiruje on z zawrotną prędkością przed moimi oczyma.

Gdy odzyskuję zborność zmysłów, mojego niedoszętego oprawcy nie ma już w pomieszczeniu. Pozostaję tu przykuta do łóżka, będąc sama.

No może nie do końca sama, bo moimi towarzyszami na resztę nocy stają się dogłębne rozczarowanie, rozgoryczenie i smutek.

Oto przez moment wydawało mi się, że w obcym mieście znów będę mogła przypiąć anielskie skrzydła i stać się w pełni aniołem. Zamiast tego rzucona zostaję na samo dno piekielnej otchłani. Odnoszę wrażenie, iż niżej nic już nie ma. Bardziej nie da się upaść. Zawodzi mnie wszystko. Zawodzą mnie wszyscy, a najbardziej rozczarowana jestem sama sobą.

Od bezsilności i wstydu spływają mi po policzkach łzy. Za chwilę aż tryskają z oczu.

Kiedy zaś w pokoju gaśnie światło, gaśnie też moja nadzieja na to, że moje smutne życie nabierze jeszcze kiedyś blasku.

VI. Tarot - Sześciu Pucharów

Karta tarota Sześciu Pucharów jest symbolem równowagi emocjonalnej. Karta ta jest pozytywna zarówno w pozycji prostej, jak i odwróconej. Szczególnie w pozycji prostej mówi o sile dawnych znajomości i o mocy przyjaźni, która w każdej dziedzinie życia może okazać się dla nas nieocenionym wsparciem.

*

– Porąbało cię? Co ty jej zrobiłeś, skurwielu? I jeszcze zostawiłeś ją tak na noc?!

Rano Lucas odpina mnie z kajdan i pomaga mi usiąść na łóżku. Towarzyszący mu Samuel próbuje obrócić sprawę w błahostkę:

– Przecież to tylko głupia maskotka. Chciałem się nią tylko pobawić...

– Pobawić się tak, kurwa, tobą?! – Wódz odstępuję ode mnie i z rozpędu uderza torsem ciemnoskórego mężczyznę. Ten traci równowagę i zatacza się na ścianę.

– Uważaj, koleś. – Kapitan drużyny Rakiet przyjmuje obronną postawę. Na próżno, bo przez dziurawą gardę jego twarzy dosięga każąca pięść Wodza. Potężnie trafiony prawym sierpowym Samuel, jak rażony piorunem, pada i rozpląszcza się na parkiecie. Następnie charczy, sapie, pluje krwią i z trudem się czołga.

– Ostrzegałem cię, abyś był dla niej miły? Ostrzegałem. – Lucas wskazuje na mnie. Potem bierze moją rękę i zdegustowany się do mnie zwraca: – Jedźmy już stąd. Nic tu po nas. – Ociera mi zaschniętą krew z rozciętego kącika ust.

Tak kończy się moja niefortunna przygoda w Fresno i krótka znajomość z Samuelem. O ironio losu, nawet z ulgą myślę teraz o powrocie do Crestone i takimi tam atrakcjami jak choćby przesłuchanie przez Marka Mansona. Odkrywam, że przeżyte przykre doświadczenie mnie wewnętrznie hartuje, przez co na inne lęki patrzę już z mniejszą bojaźnią w sobie.

Ponadto, z powodu tego samego doświadczenia, w czasie drogi Lucas przepaszajaco się do mnie zwraca:

– Wybacz, Święta, nie miałem pojęcia, że Samuel jest takim dupkiem. Mogę ci za to obiecać, że jak znów spotkam go na boisku, to wgniotę go w glebę i urwę mu łeb.

– Zrób to. Trzymam za słowo – odpowiadam hardo wpatrzona przed siebie, gdzieś hen w bezkresny horyzont. Lucas z kolei nie kryje moją odpowiedzią zaskoczenia:

– Sądziłem, że powiesz raczej, że nic wielkiego się nie stało. Albo coś w ten deseń.

– Czemu miałabym bagatelizować sprawę?

– Bo... święta, za którą cię mam, chyba wstawiłaby się nawet za skurwielem grzesznikiem. To jest Samuelem.

– Może nie jestem już święta – rzucam w powietrze pustym głosem.

– Dlaczego miałabyś przestać nią być?

– Może za dużo przykrych doświadczeń sprawia, że nikim nie chcę mi się już być...

Słyszac mnie tak obojętną, a wręcz dekadencją, Wódz uśmiecha się kwaśno. Robi niefrasobliwą minę, zupełnie jak człowiek, którego raptem gryzą wyrzuty sumienia. Drapię się po brodzie i stwierdza:

– Wiesz... Ja bym ci nawet już odpuścił to całe noszenie tej głupiej koszulki w szkole czy przebieranie się za kretyńską maskotkę. Uważam nawet, że tak nie powinno dalej być, bo poznałem cię lepiej, polubiłem i nie sprawia mi już radochy cię gnoić. Ale widzisz... Sandra się na to uparła, a to cięta suka jest...

– Czym jej tak podpadłam?

– Nie wiesz?

– Zdradź mi.

Lucas ciężko wzdycha i z równą ciężkością w głosie przypomina mi pewien istotny fakt:

– To przecież ty odbiłaś Sandrze Mike'a. Trochę to biedactwo przeżyła, a nawet bardzo, że sama nie została aniołkiem. Teraz natomiast najzwyczajniej w świecie na tobie się mści...

– A ty jej na to pozwalasz i bierzesz w tym udział, bo obecnie to twoja dziewczyna, a niebawem pewnie i żona.

– Bingo – przyznaje Wódz. Potem na pocieszenie mówi: – Masz obecnie od losu złą kartę, nie da się ukryć. Ale zła passa nie będzie trwała przecież wiecznie. Twoje życie w końcu się zmieni na lepsze. – Zaraz dodaje: – Zauważ, że sprawa Mike'a też nie będzie prowadzona w nieskończoność. Mam wujka w policji. On twierdzi, że przeciw Damonowi zebrane są już pomniejszych materiały dowodowe. Ale nie ma jeszcze aktu oskarżenia, bo ktoś tam czeka z koronnym dowodem. Chodzi o znalezienie jakiejś tam zaginionej heroiny. W każdym razie, jak już będzie po procesie, to Sandra nie będzie miała na Mike'a haka i będziesz... wolna. Nikt już nie będzie ci kazał robić żadnych głupstw.

– To jeszcze... potrwa – zauważam.

– Fakt, trochę czasu pewnie zajdzie.

- *Ciekawe co będzie... później – szepczę melancholijnie.*
 - *To znaczy? Co masz konkretnie na myśli?*
 - *Jesteś na ostatnim roku college’u. Jakie masz dalej plany?*
 - *A, o to ci chodzi. – Wódz się raptem wyszczerza w samozadowoleniu. – Wiesz, prawdę powiedziawszy, to liczę na angaż w zawodowej lidze futbolowej. Nie chwaląc się, mam już nawet ciekawe oferty z Charlotte, Atlanty i Portland.*
 - *Wyjedziesz... – O dziwo dla siebie, słowo to wypowiadam z lekkim smutkiem.*
 - *Tak, wyjadę – potwierdza sportowiec. – Z całym szacunkiem dla Crestone, ale to dziura. Nie zamierzam w tej mieścinie spędzić reszty życia.*
 - *Ja chyba też... nie. – Spoglądam hen na horyzont naznaczony pasmem rdzawych wzgórz. Lucas zaś zapytuje:*
 - *Kim ty chcesz zostać?*
 - *Z zawodu?*
 - *No tak.*
 - *Chyba chcę być... żoną.*
 - *Żoną? Przecież to nie zawód! – parska Wódz. Przyciąga mnie ramieniem do siebie i proponuje: – Jakbyś jednak zmieniła zdanie, a ja będę już kurewsko dzianym graczem, to możesz też zostać...*
 - *No kim?*
 - *Moją... kochanką!*
 - *Faceci... Wy tylko o tym. – Przewracam oczyma. Ale czynię to zarażona przesadnie szerokim, męskim uśmiechem. Sugeruje on bowiem, że Lucas raczy sobie żartować. Albo i nie.*
- Tak czy inaczej po rozmowie z przyszłą gwiazdą futbolu jest mi już na sercu tak jakby lżej. Oto dowiaduję się, że w wymuszony sposób randkuje z mężczyzną, który wcale nie życzy mi źle. Zawistna jest jego dziewczyna. Do tego ostro obchodząc się z Samuelem Lucas dał dowód na to, że w jakimś zakresie mogę na niego liczyć.*
- To z kolei mi podpowiada, że być może nadchodzi już odpowiedni ku temu czas, aby odkurzyć też inne znajomości i w wyższym celu należycie je spożytkować. Szczególnie że podczas długiej jazdy samochodem w moim anielskim umyśle zakwita pewien perfidno-demoniczny plan.*

*

– Słuchaj... Liliana. Chcę z tobą poważnie o czymś pogadać. – Słowa te wypowiadam na szkolnym parkingu w samochodzie przyjaciółki i dodaję: – Pojedźmy do parku. Tam, na osobności, dyskretnie obgadamy pewną sprawę.

– Jaką...? – pyta podejrzliwie dziewczyna.

Zadzieram podbródek, czego już dawno nie czyniłam i z dumą oświadczam:

– Chyba wiem, jak odnaleźć tę zagubioną heroinę. Mam też chyba pomysł, jak z twoją pomocą, i Alexa, wyciągnąć na wolność... Mike'a.

– Angelina! – wrzeszczy rudaska i tłucze pięścią w klakson. – Myślałam, że już nigdy z tym tematem nie wyjedziesz! Ale super. Jestem gotowa do burzy mózgów z piorunami i sama podzielę się moimi ideami!

– No to w drogę...

– No to jazda!

Zgodnie z ustaleniami Liliana jedzie do cieszącego oczy zieleńca. Gdy opuszczamy samochód i zasiadamy na ławce, znajdujemy kojący chłód w cieniu liściastych drzew. Tutaj na początek dyskusji Carterówna zdaje mi sprawozdanie z pamiętnego dnia, kiedy to aresztowano herszta gangu Demonów:

– Więc to odbyło się tak... Na miejscu, gdzie miało dojść do przekazania prochów, było podobno pięć wozów i pięciu ich kierowców. Jeden wóz należał do Mike'a, a pozostałe do Huntera, Ziona, Liama i Oliviera. Teren został ponadto obstawiony przez obserwatorów, aby wyglądali zagrożenia. No i któryś z tych obserwatorów ostrzegł Damona, że ze wszystkich stron nadciągają gliny. Wtedy Mike podjął decyzję, że zostaje na stanowisku, aby skupić na sobie uwagę policji. Dzięki temu reszta ekipy miała dać dyla. No i dała, tylko nie wiadomo, kto podczas zaistniałego chaosu zabrał ze sobą narkotyki.

– To prawda... Taką samą wersję wydarzeń znam od prawnika, pana Alexandra Freeda – przyznaję. – A ty skąd masz te informacje?

– Od jednego z tych obserwatorów, którzy byli w terenie. Mój znajomy widział z ukrycia całą akcję i panikę przy wozach. Ale też nie wie, kto zachylił prochy.

– Tego właśnie trzeba się dowiedzieć – mówię twardo.

– Ale... jak chcesz to zrobić, Angelina?! – Moja przyjaciółka wyrzuca w górę ramiona. Ja poprawiam na lekkim wietrze moje złociste włosy i z dworską manierą w głosie oznajmiam:

– Użyję swego powabu i czaru, aby...

- No...?

- ...uwieść złodzieja prochów i zgubę odzyskam.

- Aha... - Liliana wodzi spojrzeniem między moimi ustami, biustem, a krocem. Chyba zastanawia się, jak daleko w swoim uwodzeniu gotowa jestem się posunąć. Ponadto zachowawczo pyta: - No ale kto jest według ciebie złodziejem? Którego z podejrzanej czwórki poderwiesz?

- Jak będzie trzeba to... wszystkich, bo nie wiem, kto jest winny. - Z damskiej torebki wyjmuję lusterko i czerwoną szminkę. Następnie poprawiam makijaż, zupełnie jakby randka z potencjalnym złodziejem czekała mnie już za chwilę. W dyskutowanym temacie nie omieszkam też odbić piłeczki: - A ty masz jakieś podejrzenia co do tego, który z kumpli Mike'a go okradł?

- Dobre pytanie... kluczowe pytanie. - Carterówna w zadumie rozgląda się po parku, jakby gdzieś między drzewami spodziewała się dojrzeć sprawcę rabunku.

- Daj mi jakiś trop - naciskam. - Od kogo twoim zdaniem powinnam zacząć poszukiwania?

- Może od... Huntera? - Dziewczyna patrzy na mnie, ale tak jakoś bez przekonania.

- Czemu od niego? - dopytuję.

- Przed całą sprawą z federalnymi podpadł Damonowi.

- Co zrobił?

- Jeździł skradzionym wozem i go... rozpiździł w drobny mak. Warte sto tysięcy dolarów autko przerobił na złom. Mike był wściekły i powiedział mu, że będzie spłacał skasowany wóz z własnej kasy.

- Ok... czyli mamy motyw.

- Taki sobie, ale jakiś tam jest.

- A co wiesz na temat relacji Damona z Zionem?

- Tu ci nie pomogę, Angelino. Ziona praktycznie nie znam.

- Co z pozostałymi dwoma gangsterami, Liamem i Olivierem?

- Tu chyba będę bardziej pomocna - szczyrzy się Carterówna. - Liama znam dość dobrze. To on nadzorował produkcję prochów w fabryce i... trochę się u niego zaopatrywałam.

- Miałaś już tego syfu... nie tykać. - Grozę przyjaciółce palcem.

– Oj tam. – Liliana szybkim ruchem zrywa liście z gałązki. Wyrzuca je w powietrze i rezerolucie stwierdza: – Czasem potrzebuję się odprężyć, popalić trochę trawy. Wiesz, jak jest.

– Ciągłe nie wiem, jak z tym Liamem. Daj mi na niego coś więcej.

– On to taki trochę samotnik, odludek jest. Mieszka na południu miasta nad rzeką. To w okolicy tej wypasionej chałupy Mike'a. Na handlu prochami w gangu ponoć się ładnie dorobił i miał też kręcić coś na boku. Ale za rączkę go nikt nie złapał.

– Ten trop brzmi obiecująco – zauważam. – A ten ostatni gość, Olivier?

– Olivier jest w porządku. – Liliana przeciąga się na ławce. – Dopóki nie zamknięto Płonącego Anioła, to w nim pracował jako ochroniarz. Przemykał oko na moje wpadki, jak brykałam w lokalu, będąc kelnerką. Ech... fajnie tam było być kelnerką. – Nagle rozmarzona dziewczyna spogląda w niemal bezchmurne niebo, którego błękit przykrywa raptem kilka białych chmur.

Osobiście koncentruję uwagę na przekazanych mi danych wywiadowczych. Przetrawiam zasłyszane informacje i na ich podstawie podejmuję decyzję:

– W takim układzie najpierw umówię się z Hunterem. Zaciągnięcie go przykładowo na plażę na spytki nie powinno stanowić większego wyzwania.

– Możesz iść z nim do łóżka. Nie musisz na piach – szczerzy się Carterówna i beztrasko oskubuje paznokciami beżowy lakier z ławki. Przyglądam się tej czynności, a do zasłyszanych słów, które chyba miały być żartem, przekornie, i zarazem prześmiewczo, zgłaszam zastrzeżenie:

– Nic z tego. Do własnego łóżka go nie wezmę, bo państwo Nelson spaliliby mnie na stosie. Z kolei swoje wyрко Hunter dzieli ze swoją żoną.

– No właśnie już nie dzieli, są w separacji. – Liliana przygląda się stanowiącej element ławki listewce, którą podważyła pazurem i markotnie dodaje: – Przez te akcje federalnych masa panien uciekła od facetów z gangu.

– Może to i lepiej. Spróbuję pocieszyć sobą męskie towarzystwo i ugram na tym to, co chcę...

– Uważaj, Angelina. – Carterówna demonstruje mi kawałek drewnianka wyłuskanego z ławki. – Pamiętaj, że będziesz miała do czynienia z mętami. Jak zwęszą, że ich sprawdzasz, mogą nie być dla ciebie zbyt delikatni. Do tego przez to twoje randkowanie z Lucasem nie przez każdego jesteś teraz postrzegana, jako aniołek Mike'a. – Listewka w dziewczęcych palcach zostaje złamana na pół. Faktycznie nie mam ochoty podzielić jej losu, dlatego potakuję:

– Będę ostrożna. I dzięki za troskę.

Siedzimy dłuższy czas w ciszy, aż słyszę skierowane ku sobie pytanie:

– Załóżmy, że uda ci się dowiedzieć, kto podwędził heroinę. Co wtedy?

- *Wtedy wezwę na pomoc mojego nowego... anioła stróża. – Lekko odchylam się od przyjaciółki. Wiem bowiem, że z powodu tego co powiem, nie będzie zadowolona.*
- *Masz na myśli... mojego brata?*
- *Zgadza się. Będzie miał okazję spłacić dług zaciągnięty wobec mnie i Mike'a.*
- *To twoje prawo, wezwać go w każdej chwili. – Słowa te Carterówna wypowiada niby obojętnie. Ale nie omieszka przy tym przywalić pięścią w Boga ducha winną ławkę. – To wszystko będzie trochę jechaniem po bandzie – marudzi. Ja jednak nawet nie myślę ustąpić, a nawet radykalizuję żądania:*
- *Wezwij Alexa już teraz – nakazuję.*
- *Po co tak szybko?*
- *Nie wiadomo co się wydarzy, jak przystąpię do akcji. Wolę go mieć pod ręką. Poza tym podpadło mi kilku... graczy Pomo.*
- *Co zrobili?*
- *Wyśmiewali się ze mnie jako sportowej maskotki...*
- *Chcesz, żeby mój braciszek poćwiczył na nich prawy i lewy sierpowy?*
- *Wspominałaś, że w więzieniu trenował boks.*
- *Ciągle trenuje... A od dziecka ćwiczy sztuki walki.*
- *To zorganizuję mu prawdziwą ustawkę, a co? – Patrzę wyzywająco na Lilianę. Ona coraz agresywniej walczy z ławką, obecnie próbując oderwać od oparcia całą dechę. Nie daje rady tego zrobić, więc odpuszcza. W taki też sposób, uległy, do mnie mówi:*
- *Będę się trochę martwić. Ale, jak już ci powiedziałam, korzystaj z usług Alexa. Wiadomo co by z nim było i... ze mną, gdyby nie twoje anielskie serce.*
- *Na ten trudny czas moje anielskie serce musi być trochę bardziej demoniczne. Sytuacja tego wymaga – wtrącam na swoje usprawiedliwienie. – Liczę, że to zrozumiesz.*
- *Wszystko racja, Angelino – wzdycha Liliana. Nieco podejrzliwie na mnie spogląda i w takim tonie jeszcze zagaduje: – To dajmy na to, że mamy już złodzieja prochów. Mamy też same prochy, które skurwielowi wyciągnie z gardła, czy tam z dupy, Alex. Co dalej?*
- *Żeby to wykorzystać najlepiej, jak można, uknułam istic... diabelski plan – oświadczam wielce tajemniczo.*
- *Zdradzisz mi go?*

- *Po części muszę...*
- *Czemu musisz? – Carterówna patrzy na mnie z dystansem.*
- *Żeby zrealizować ten plan, kogoś będę musiała wysłać do...*
- *Dokąd? – Dystans dziewczyny wobec mnie narasta.*
- *Ktoś pojedzie do kartelu narkotykowego w Meksyku.*
- *Kto...? – Pieguska odsuwa się ode mnie na skraj ławki.*
- *Ty pojedziesz – utwierdzam przyjaciółkę w jej domysłach.*

Ona tak mocno zsuwa się z zajmowanego miejsca, że nagle spada z niego na ziemię:

- *Kurwa... – posykuje, masując się po tyłku. Wyciągam ku niej pomocną dłoń. Liliana przygląda się mojej ręce z obawą. Aż głośno wypuszcza z ust powietrze: – Pfu... – Chwyta moją dłoń, wstaje i odważnie wypala: – Dobra, wchodzę w to. Prawdę mówiąc, już od dłuższego czasu nosiłam się z zamiarem wakacyjnej wyprawy do Tijuany.*
 - *Zapomnij o Tijuanie. Polecisz do...*
 - *No niby dokąd?*
 - *Kierunek lotu to Ciudad Juarez.*
 - *Kurwa... Chcesz mnie zabić meksykańskimi łapskami?!*
 - *Tylko perfidnie wykorzystać – uśmiecham się słodko, jak anioł. Składam dłonie, jak do modlitwy i niczym ksiądz na ambonie, z natchnieniem przemawiam: – Bądź silnej wiary. Pokładaj nadzieję w Bogu i naszej przyjaźni. Razem wykiwamy federalnych i załatwimy na cacy nawet agenta... Marka Mansona.*
 - *Kiedy... tego gościa nie da się załatwić. On jest jak... jak Terminator. – Liliana robi minę, jakby we wspomnianym Ciudad Juarez obudziła się na ciężkim kacu po wypiciu butelki tequili.*
- Ja dumnie zaznaczam:*
- *Nic się nie bój. Mam już odpowiednią przynętę na naszego agenta.*
 - *Chyba już domyślam się jaką... – Carterówna znów niedwuznacznie obcina mnie wzrokiem.*
 - *Nie inaczej. – Puszczam piegusce oko, po czym zaznaczam: – Postaram się, aby agent stracił dla mnie swą chłodną głowę i żeby się zagotował. Wówczas przejmę nad nim władanie i odpowiednio nim pokieruję.*
 - *Będziesz kierować za pomocą jego jaj i interesu, jak padem do konsoli? – cieszy się Liliana.*

– Coś w ten deseń. Choć aż tak daleko raczej nie zamierzam się posuwać.

– Za to on jak nic będzie chciał posunąć ciebie!

– Przestań już, przestań, wariatko. Lepiej poćwicz... meksykańskie słówka. – Po przyjacielsku szturcham dziewczynę łokciem w bok.

Ona bierze kilka głębszych oddechów. Rozgląda się po parku już pogodniej i kiwa głową. Wydaje się w duchu godzić z nakreśloną przeze mnie wizją. Choć nie byłaby sobą, gdyby nie pokazała swej mrocznej strony i czegoś jeszcze nie zmałstrowała:

– A ty, suko, tylko czekaj! – Zawzięcie kopie oskubywaną uprzednio ławkę. – Wrócę tu w nocy z siekierą i cię porąbię. Słyszysz? Porąbie cię, polakierowana szmato!

– Chodźmy już. – Obejmuję przyjaciółkę ramieniem. – Pokażesz mi, gdzie mieszkają chłopaki podejrzane o kradzież prochów. W nagrodę do Ciudad Juarez kupię ci bilet w klasie biznes.

– Obiecuj mi raczej, że kupisz też powrotny, z którego będę miała możliwość skorzystać...

– Kupię. – Całuję Lilianę w policzek.

Razem opuszczamy park i zaczynamy wcielać w życie plan, który na pewno przemodeluje moje własne życie. Sądzę jednak, że przez trud, który ostatnio przeszłam, do takiego wyzwania już dojrzałam.

Stwierdzam, że nie ma sensu dłużej się nad sobą użalać i załamywać rąk w obliczu nieprzychylnych zdarzeń. Muszę wziąć stery losu we własne ręce i odpowiednio nimi pokierować. To jedyna szansa, aby uratować przyszłość mojego ukochanego i zarazem mego najlepszego przyjaciela, ale też samą siebie. Nabieram wiary, że z pomocą mego seksapilu, oraz innych przyjaciół, temu karkołomnemu zadaniu podołam.

VII. Tarot - Siedmiu Pucharów

Karta tarota Siedmiu Pucharów pomaga nam w zdroworozsądkowy sposób spojrzeć na otaczające nas sprawy. W pozycji prostej mamy do czynienia z adekwatną oceną sytuacji i skutecznym działaniem. W pozycji odwróconej karta ta sugeruje, iż żyjemy iluzjami, dając się zwodzić na manowce.

*

– Alex...

– Angelino.

To dość niezwykle spotkanie w parku, gdzie pewnego wieczoru przychodzi mi spoglądać w oczy mordercy. Patrę na człowieka, który chciał zabić i mnie, a którego uratowałam przed śmiercią, by teraz to on ratował czyjeś życie.

Nie wytrzymuję jego lodowatego spojrzenia, przez co proszę na stronę towarzyszącą nam Lilianę. Przepraszam ją, że tym razem nie dam rady osobiście porozmawiać z jej bratem. Daję jej wytyczne, co do moich oczekiwań względem Alexa, po czym opuszczam rodzeństwo Carterów.

Nazajutrz w szkole jestem świadkiem tego, jak niektóre z moich próśb nader szybko doczekują się egzekutywy:

– Hej, Damian, ofiarno, ujeżdżałeś byka, czy raczej on ciebie?!

– Może bez spadochronu sprawdzałeś głębokość Wielkiego Kanionu?!

– Widzę, że udała ci się randka z Godzillą! No pochwal się, dobra była w łóżku?!

Damian, który podczas meczu futbolowego z Rakietami wyjątkowo ze mnie szydził, nie może odpowiedzieć na kpiny kolegów. Powód jest prozaiczny – ma zagipsowaną szczękę. Nie jest także w stanie skutecznie porozumiewać się na migi, ponieważ nosi rękę na temblaku.

Kolejnego dnia w podobnym stanie pojawia się w szkole drugi szyderca, Dylan.

– Tym razem Dylan kontra Godzilla! Kiedy to wchodzi na ekrany?!

– Dasz pojeździć na wózku inwalidzkim?!

Ten chłopak raczej nie da, bo sam go potrzebuje, mając połamane obie nogi. Lecz z powodu pękniętej zuchwy na swój los głośno się nie żali.

Ja za to, pod parasolem ochronnym Alexa, własny los coraz bardziej sobie chwalebę. Dzieję się tak z tego powodu, że pozostali gracze Pomo szybko zaczynają kojarzyć dość oczywiste fakty. Otóż ten, kto nadeptnie na odcisk nowej maskotce zespołu, ten nabywa bogatą kolekcję fizycznych urazów.

Skutkuje to tym, że na najbliższym meczu futbolowym, gdzie znów przebieram się za pstrokate straszdyło, zbieram jedynie podziw i oklaski. Do stóp rzucane są mi nawet kwiaty.

Prawda, jakie wszystko staje się proste, gdy zamiast wyłącznie anielskich aspiracji próbuję trochę demonicznej przemocy?

Nie chcę żyć jednak w iluzji, że teraz już zawsze będę bezpieczna pod opieką mrocznych skrzydeł Alexa. Nieprzerwanie myślę o tym, że muszę dążyć przede wszystkim do uwolnienia mojego prawdziwego opiekuna, Mike'a.

W tym celu dzwonię do Huntera. Niewinnie próbuję umówić się z nim na randkę, a ku memu zadowoleniu szybko i łatwo mi się to udaje.

– Wychodzę, ciociu! Jakby co to nie czekajcie na mnie z kolacją!

Elizabeth nic nie odpowiada. W drapanie paznokciami po blacie stołu Benjaminą nie zamierzam się wsłuchiwać. Wymykam się z domu, wypuszczam się za okalający go płot i wchodzę do samochodu mężczyzny, który po mnie przyjechał.

– Co to za wóz? – Wiercę się na niewygodnym siedzeniu, którego twarde wypukłości uwierają mnie w tyłek.

– To taki wózek, na jaki mnie teraz stać. Mamy kryzys, kochana. – Hunter walczy ze skrzynią biegów. Z pewnym trudem, ale wygrywa, dzięki czemu w oparach dymu z rury wydechowej ruszamy naprzód.

Na początku mojej pracy wywiadowczej stwierdzam, że to, iż były człowiek Mike'a odebrał mnie starym rękem, jest dla mnie w sumie żadną wskazówką. Dobrze się on bowiem kamufluje po wzbogaceniu się na ukradzonej heroinie, albo też nie jest złodziejem i zbiedniał odstawiony od gangsterskiego garnuszka. Wiem, że aby zweryfikować powyższe opcje, muszę się bardziej zbliżyć do Huntera. To właśnie czynię, skuteczniając kolejne prowokacje:

– Zabierzesz mnie na obiad do Casa Bonita? Zjadłabym coś drogiego... dobrze przyrządzonego.

– Casa Bonita?! Zapomnij... To znaczy. – Mężczyzna wzdycha sobie ciężko i się poprawia: – Może zabiorę cię tam... następnym razem. Może po wypłacie. Dzisiaj zapraszam na... pizzę.

– Niech będzie. – Poprawiam fryzurę, z ukosa zerkając na kierowcę. Uznaję, że jest świetnym aktorem albo naprawdę jest splukany i mu z tego powodu głupio. Delikatnie więc zapytuję: – Gdzie obecnie... pracujesz?

- Tu i tam – rzuca wymijająco.

- A jak ci się układa z... Sue?

- Rzuciła mnie... Patrz, kurwa, jak jedziesz, baranie! Co za skurwiel! Wybacz...

- W... porządku. – Niefrasobliwe zachowanie Huntera obserwuję z coraz większą rezerwą. W niczym bowiem nie przypomina sympatycznego luzaka z gangsterskich czasów.

Już niemal jestem gotowa skreślić go z listy osób podejrzanych o kradzież heroiny. Żeby jednak nabrać ku temu pewności, chcę jeszcze zobaczyć wewnątrz domu faceta, z którym się umówiłam. Dlatego ostrożnie sugeruję:

- Skoro nie jesteś już z Sue, a ja nie mam specjalnej ochoty na pizzę, to może pojedziemy do... ciebie?

- Chciałabyś? – Kierowca spogląda na mnie nagle rozbudzony.

- No... chciałabym – strzelam ulotnym uśmiechem.

- A... skąd właściwie u ciebie pomysł, aby się ze mną spotkać? – Hunter poprawia na głowie czapkę z daszkiem i patrzy na mnie nieco nieufnie.

Ja majstruję przy moim głębokim dekolcie, aby przekierować cudzą uwagę z mej twarzy, której mimika może mnie zdradzić, na mój biust. Następnie możliwie swobodnie mówię:

- Z Damonem to już u mnie wiesz, jak jest. Chyba każdy wie. To skończone. Zresztą w ogóle nie chcę o nim gadać. – Czynień pełną obrzydzenia minę. – Za to ciebie miło wspominać, nasze rozmowy. Dobrze nam się gadało, spędzało wspólny czas, a mi zwyczajnie brakuje fajnego... faceta. – Spódniczkę w kroku podciągam w taki sposób, aby na widoku pojawił się skrawek moich majtek. Prawdziwa diablina, a nie aniołek. Ale w duchu powtarzam sobie, że cel uświęca środki. Co do skuteczności takiej strategii się bynajmniej nie mylę...

Oto kierowca nic nie mówi. Jedynie kiwa głową i ostro dodaje gazu, a o to mi właśnie chodzi.

Niebawem Hunter zatrzymuje się na przedmieściach przed jednorodzinny domem. Patrzy na mnie z wyraźnie rozbudzonym apetytem i z nutą głodu w głosie oświadcza:

- Jesteśmy na miejscu. Tylko nie przestrasz się tego, co zobaczysz w środku. Jest tam trochę... burdel. Brakuje kobiecej ręki.

- Masz może nadzieję, że u ciebie... posprzątam? – uśmiecham się i wychodzę z wozu. Następnie kłapię skrzypiącymi drzwiami samochodu, których, mimo usilnych prób, nie mogę domknąć.

- Ja to zrobię! – Hunter kopniakiem zamyka krnąbrne drzwi i z przekornym uśmiechem na ustach dodaje: – Prawdę mówiąc, liczę, że zajmiesz się u mnie czymś bardziej porywającym

niż... sprzątanie. – Męski wzrok niedyskretnie wędruje tam, gdzie uprzednio napotkał skrawek mojej bielizny.

– Zabawny jesteś! – rzucam bezmyślny komplement, byle coś odpowiedzieć i nie wyprowadzać mężczyzny z błędu, że na niego lecę. Dzięki temu zostaję wpuszczona do domu, gdzie bez zawołowanej obietnicy seksu z mojej strony pewnie nie miałabym wstępu.

Prowadzona wąskim korytarzem ze wzmożoną czujnością rozglądam się na boki. Nie widzę jednak niczego, co mogłoby świadczyć o wzbogaceniu się właściciela tego przybytku. Muszę za to bacznie uważać, by nie potknąć się o pudła po pizzy, nie zaplątać w rozwleczone ubrania, czy nie wywinąć orła na plamach z bliżej nieokreślonej, oleistej substancji.

Uskuteczniając na podłodze slalom, udaje mi się szczęśliwie dojść do pomieszczenia z łóżkiem. Hunter błyskawicznie je ścieli, spychając z niego na podłogę starą pościel naszpikowaną męską bielizną. Na miejsce spoczynku zarzuca wyciągnięte z szafy prześcieradło i mnie na nie popycha.

– Tak długo pościłem, a tu mi się trafia taki kąsek. – Napalony facet wręcz pożera mnie wzrokiem. Zastanawiam się, jak nieuszczenięta wybrnąć z tej sytuacji z gracją, ale okazuje się, że sama robić niczego nie muszę.

Otóż rozgorączkowany mechanik tak szybko, i zarazem niezdarnie, przystępuje do ściągania swoich spodni, że zaplątuje się w ich nogawki. Potyka się o własne nogi, po czym z hukiem ląduje w stercie kartonowych pudeł.

– Szlag, chyba... coś sobie złamałem – jęczy żałośnie, gdy cierpiętniczo leży i ściska się boleśnie za krocze.

Wobec widoku takiego ogiera w takiej akcji tylko zrezygnowana wzdycham. Wnioskuje, że z domniemanej obietnicy seksu łatwo się wykpię. Ale również nabieram pewności, że bez wsparcia Mike'a Hunter jest zwykłym nieudacznikiem, bo każdym swoim krokiem mnie w tym tylko utwierdza. Autentycznie nie wierzę w to, że złodziej heroiny mógłby właśnie wić się po podłodze, kwiląc, że złamał sobie swojego...

Ech, co za komediodramat. Stwierdzam, że nic tu po mnie i zwyczajnie stąd wychodzę.

– To może wpadnę innym razem, jak będziesz bardziej dysponowany – rzucam oschle.

– Poczekaj...

– Pójdę wezwać karetkę.

– Angelino...

– Pa.

Tym samym ostatecznie skreśliłam Huntera z listy potencjalnych złodziei heroiny. Mimo jego usilnych próśb nie dają się też namówić na pozostanie u niego w domu. Jest tym zdruzgotany.

Za to dzięki wczesnemu powrotowi do własnego domu zyskuję w oczach państwa Nelson. Jem z nimi kolację, wspólnie się modlę. Choć w duchu już grzesznie planuję, jak poderwę kolejnych mężczyzn na mojej liście.

*

– Czekaliśmy na panią, pani Evans. Uprzejmie zapraszam. Agent Mark Manson już na panią czeka.

Wezwana na przesłuchanie zasiadam w znanym mi pomieszczeniu naprzeciw człowieka, który także nie jest mi już obcy. Na krześle przyjmuję sztywną pozę i spoglądam w piwne oczy kogoś, kto zamierza zrujnować życie memu ukochanemu. Choć również i mnie może oskarżyć o czyny karalne, jak udział w zorganizowanej grupie przestępczej, czy składanie fałszywych zeznań. Wiem już, że wobec tego mężczyzny muszą mieć się na baczności i być bardzo ostrożna. Szczególnie jeśli sama spróbowałabym przejąć inicjatywę, by tego ostrego jak brzytwa bruneta uwieść.

– Możemy zaczynać? – zwraca się do mnie Manson.

– Jestem gotowa – oznajmiam spokojnie. – Chociaż nie pogardziłabym... kawą.

– Oczywiście. – Agent zerka na własny kubek z ciemnym napojem, pstryka w górze palcami i pokrzykuje: – Frank!

– Co tam, szefie? – Do pokoju zagląda facet, który mnie do niego wpuścił. Ten, który tu od początku zasiada, mówi:

– Zaszczycający nas swą wizytą... biały anioł, zażyczył sobie czarną breję. – Manson spogląda na moją śnieżnobiałą koszulkę z wyjątkowo dużym dekoltem i dodaje: – Pociśnij tam z automatu jeszcze jeden kubek, Frank. Może też podrzucić dla naszej niebiańskiej istoty słodkie... ciasteczko.

– Robi się, szefie.

Niebawem uraczona zostaję kawą z ciastkiem. Usta wymalowane czerwoną szminką delikatnie maczam w kofeinowym napoju, a jednocześnie słyszę:

– Czyżby pan Alexander Freed był dziś niedysponowany? – Mężczyzna, który ma mnie przesłuchiwać, rozgląda się po pokoju. Ja odejmuję sobie kubek od ust i z udawanym przejściem mówię:

– Mój prawnik nic nie wie, że jestem dziś na przesłuchaniu.

– Pani prawnik i Mike'a Damona – uściśla agent.

- *Nigdy nie ukrywałam, że wiele mnie z Damonem łączy.*
- *Faktycznie, ostatnio wyznała mu tutaj pani miłość.*
- *To było jakiś czas temu... – Uciekam wzrokiem.*
- *Czyżby od tamtego wydarzenia coś się zmieniło? – podchwytuje Manson.*

Ja odkładam kubek z kawą na blat. Ujmuję materiał bluzeczki między piersiami i symulując atak gorąca, wachluję się koszulką. Tym ruchem cały mój biust wprawiam w falowanie i skutecznie skupiam na nim uwagę rozmówcy. Przez to dłuższy czas zapanowuje w pomieszczeniu cisza. Aż jakby zbudzony ze snu mężczyzna pyta:

- *O czym to ja mówiłem?*
- *Chyba coś o... miłości. I o prawniku.*
- *Prawnik i miłość, racja. Swoją drogą ciekawe połączenie, nie uważa pani? – Agent wznosi kubek z kawą, jak do toastu. Ja, niby obojętnie, odpowiadam:*
- *Prawnik i miłość. Czy też agent federalny i... miłość. – Trzepoczę rzęsami. – Co za różnica?*
- *Pewna jednak jest... – Manson uśmiecha się kąśliwie. Zaciera ręce i pokrzykuje: – Frank! Możesz podkreślić klimatyzację i przynieść mi kubek zimnej wody?!*
- *Po co ta woda, szefie? – Do pokoju zagląda ten sam mężczyzna co uprzednio. Z tą różnicą, że teraz jest zdezorientowany i patrzy na mnie z pewną obawą. Jego przełożony szybko wprowadza go z błędnych domysłów:*
- *Nie, Frank. Te wiadro wody to nie na naszego aniołka. Wobec aniołków zwykle nie stosujemy takich tortur. Więc, tym razem, nikogo nie będziemy przytapiać. Za to wspomniany kubek zimnej wody sam wylałbym sobie na głowę. Tak... dla ochłody. – Manson wymownie wbija spojrzenie w mój biust, przy którym co raz uporczywie majstruję. Potem czyni gest ręką do podwładnego, że ten nie jest już potrzebny.*

Gdy znów jesteśmy tylko we dwójkę, otwiera teczkę i przegląda dokumenty. Bierze kilka głębszych oddechów i w opanowany sposób pyta:

- *To czym zawdzięczamy sobie absencję pana Freeda przy naszym stoliku? Będzie mi pani łaskawa to zdradzić?*
- *On tylko przeszkadzał – rzucam niby od niechcienia.*
- *Przeszkadzał? W czym przeszkadzał? – Agent wachluje się dokumentami i spogląda na mnie podejrzliwie. Ja rezolutnie stwierdzam:*
- *Samodzielnie mogę odpowiadać na pytania.*

– Czyżby... nie miała pani już nic do ukrycia?

– Od początku naszych spotkań jestem skłonna mówić szczerze o wszystkim. Tylko... tylko. – Skutecznie udaję załamujący mi się głos. Manson zaś nachyla się ku mnie i dobroliwie zachęca:

– Proszę śmiało mówić. Jest tu pani zupełnie bezpieczna. Zaręczam też, że wszystko co powie tu pani zgodnego z prawdą, pani osobiście nie zagrozi.

– Jest pan... pewien? – Robię minę zbitego psa, czy tam niewinnej suczki.

– Tak, jestem pewien – potwierdza sztywno agent. Wobec jego narastającej pewności siebie, ja odgrywam tę coraz bardziej słabą i kruchą. Aż zakrywam twarz dłońmi i płacząco popiskuję:

– Kiedy ja... Ja się boję.

– Czego pani się boi?

– Ich...

– Kim oni są?

– Pan to... wie.

– Czy mogę usłyszeć nazwiska?

– Chciałabym powiedzieć, naprawdę. Ale oni mi... grożą.

– Kto? Kiedy, jak, czym?

– Nie, nie mogę, przepraszam. – Symuluję niemal załamanie nerwowe, szlochając. – Bardzo chciałam wszystko wyznać. Ale nie... Nie dam jednak rady, przepraszam. – Zakrywam twarz dłońmi.

W odpowiedzi Manson ciężko wzdycha. Prostuje się na krześle i nieco zde gustowany pyta:

– Może chce pani wsparcie naszego psychologa?

Wobec tych słów odejmuję ręce od lica. Patrząc mężczyźnie w oczy i błagalnie kwilę:

– Potrzebuję kogoś, kto się mną zaopiekuje. Czuję się taka samotna, bezbronna. – Z premedytacją wykonuję niedbały ruch ręką, zamiatając na siebie kubek z kawą. – Och, co ja zrobiłam, co ze mnie za niezdara! – Zalewam sobie ubranie ciemnym napojem. Rozpaczliwie próbuję jakby strzepnąć z siebie paskudną plamę, co oczywiście nie jest możliwe i wygląda nader żałośnie. Dlatego składam prośbę: – Czy mogłabym wyjść na chwilę do toalety?

Przemyję sobie koszulkę. – Masuję się po splamionym biuście. – Zrobiłabym też siusiu. – Drugą ręką obrazowo gładzę się po kroczu.

Reakcją mężczyzny na mój teatrzyk jest to, że znowu się na chwilę wyłącza. Jak zahipnotyzowany wpatruje się w moje krągłości. Aż potrząsa na otrzeźwienie głową i udziela mi pozwolenia:

– Proszę doprowadzić się do ładu. Poczekam tu na panią.

– Dziękuję... Jest pan dla mnie taki dobry, wyrozumiały. Bardzo dziękuję.

Kręcąc pupą, wychodzę z pokoju.

Po krótkiej wizycie w łazience powracam ubrana w koszulkę, która co prawda nie ma już czarnej plamy na biuście, ale ma brązową i jest prawie cała mokra. Ponadto nie mam już na sobie stanika, co zauważa agent:

– Gdzie podział się pani... biustonosz?

– Zdjęłam, jak czyściłam koszulkę, aby umyć też ciało. Wtedy stanik wpadł mi do umywalki, do której napuściłam wodę. Cały się zmoczył...

– Zaiste... tragedia. – Manson nie może oderwać wzroku od mego biustu oklejonego wilgotnym materiałem prześwitującej koszulki. – Czy widziała się pani... w lustrze? – wydusza z siebie.

– Coś nie tak z moimi włosami, makijażem? – Robię wielkie oczy, udając głupiutką.

W reakcji na moje infantylne, a równocześnie prowokujące, zachowanie mężczyzna długo i powoli wypuszcza powietrze z płuc. Do tego znów wachluje się dokumentami. Wreszcie zbiera się w sobie, z widocznym trudem unika patrzenia na mnie, jak na miss mokrego podkoszulka i próbuje kontynuować przesłuchanie:

– Rozpoznaje pani tę parę osób? – rzuca na blat zdjęcie. Biorę je do ręki i potwierdzam:

– Tak, rozpoznaję.

– Ma pani na oczach soczewki kontaktowe?

– Założyłam.

– Więc proszę mi powiedzieć kogo, i w jakich okolicznościach, widzi pani na fotografii.

– To ja i... Hunter Moore. Jesteśmy w jego samochodzie.

– Wie pani, kiedy zostało zrobione to zdjęcie?

– Chyba tak...

- Kiedy?
 - Kilka dni temu.
 - Czemu nagle spotkała się pani z tym mężczyzną?
 - Umówiłam się z... nim.
 - Na co?
 - Na... randkę – stwierdzam niewinnie. Agent patrzy na mnie badawczo i dopytuje:
 - Co robiła pani u Huntera w domu?
 - To co się robi na... randce.
 - Czyli?
 - Rozmawialiśmy i... trafiliśmy do sypialni.
 - Czy uprawialiście seks?
 - Seks...? – pytam zdumiona, zupełnie jakby to słowo było mi obce i szybko zaprzeczam: – Nie kochaliśmy się, nawet się nie pocałowaliśmy. Hunter to potwierdzi.
 - Więc co to za randka nawet bez pocałunku?
 - Kiepska... – przyznaję naraz skwaszona, wzruszając ramionami, po czym żywiołowo zaznaczam: – Zwykle nie całuję się na pierwszej randce. Mam swoje zasady! – Pozuję na cnotliwą.
- Mężczyzna kolejny już raz uważnie przygląda się moim kobiecym kształtom.
- Czy aby wszystko w porządku? – zagaduję po dłuższej chwili ciszy.
 - Oczywiście, wszystko jest w największym porządku. – Manson strzela szybkim uśmiechem i ponownie przechodzi do rzeczy: – Od kogo wyszła propozycja, aby spotkać się na wspomnianej... randce?
 - Ode mnie.
 - Co panią kierowało?
 - Już... mówiłam. Czuję się samotna, bezradna. Dlatego poszukiwałam męskiego... wsparcia.
 - Znalazła je pani w osobie Huntera?

– Raczej... nie – stwierdzam z niesmakiem. Za to z podziwem spoglądam na mężczyznę przed sobą.

On, widząc to, odchrząka w dłoń. Poprawia ułożenie spodni w kroku, po czym na blat kładzie jeszcze kilka zdjęć. Ustawia je koło siebie w rzędzie, jak karty podczas wróżby tarota i zauważa:

– Te fotografie zostały wykonane w ciągu ostatniego miesiąca. Na każdej z nich towarzyszy pani w samochodzie pewien mężczyzna i nie jest to Hunter, o którym rozmawialiśmy. Czy może mi zatem pani zdradzić, co łączy panią z tym z kolei mężczyzną z tych oto zdjęć?

Spoglądam na fotki moje i Lucasa, zrobione nam w różnych sceneriach, i swobodnie stwierdzam:

– Z tym mężczyzną to też były tylko... randki.

– Bez seksu?

– Bez seksu i bez pocałunków. Pana fotograf to niewątpliwie potwierdzi – zaznaczam dumnie.

– Czy często umawia się pani z mężczyznami na intymne spotkania, prowokując ich i nie dając od siebie nic w zamian?

Chwilę zajmuje mi przetrwanie zasłyszanego pytania, aż oburzona wybucham:

– Przepraszam bardzo, ale nie czuję się zobowiązana uprawiać seksu za to, że ktoś łaskawie zabiera mnie na przejażdżkę. Nie muszę sobą płacić. Nie jestem... dziwką!

– Niczego takiego nie insynuuję. Oczekuję jedynie szczerych wyjaśnień, czemu umawia się pani na randki, które nigdy na takie nie wyglądają.

– To na co wyglądają?! – W porywie nagłych emocji, które obecnie już nie do końca są udawane, krzyczę.

– Mam być z panią szczerą?

– Tak, poproszę!

– Według mnie bierze pani udział w spotkaniach biznesowych. Zawiera układy, wymienia cenne informacje.

– Po co miałabym to robić?!

– Po aresztowaniu Mike'a ktoś mógł przejąć kierownictwo nad jego gangiem. Ktoś mu bliski i zaufany.

– Że niby ja?! – Zbulwersowana wskazuję na siebie. Agent sztywno potwierdza:

- Obecnie wszystkie tropy wskazują na panią. Nie da się tego ukryć.
- Nie... To nieporozumienie. - Spuszczam z tonu. Przyjmuję pozycję obronną, zaplatając ręce na mokrym biuście i przecząco kręcąc głową. - To jest kompletnie niedorzeczne - podkreślam.
- To może powie mi pani, o czym takim rozmawia pani na niby randkach z mężczyznami?
- Przepraszam, ale... nie. Nie mogę panu udzielić odpowiedzi.
- Co stoi na przeszkodzie?
- Już wspominałam.
- Proszę mi przypomnieć.
- To... strach. To on zakazuje mi mówić otwarcie, chociaż bym chciała.
- Czy jest pani szantażowana?
- Nie mogę powiedzieć.
- Czy Hunter Moore panią szantażował?
- Niech pan już... przestanie.
- Czy także Lucas Lee pani grozi?
- Dość! - Uderzam piąstką w stół. - Nie chcę już słyszeć nic na ten temat. - Grożę palcem.
- Ciekawi mnie również, dlaczego nie chce pani przyjąć mojej pomocy?
- Mówiłam panu, już nie wiem ile razy, że chodzi o to, iż... się lękam.
- Rozumiem. Zatem zapraszam do mnie ponownie, gdy nabierze pani odwagi. I... przyjdzie do mnie w bardziej stonowanym stroju. - Agent wskazuje ręką drzwi.
- Do widzenia... panu.
- Do zobaczenia, pani Evans. Oby jak najszybciej dla pani własnego dobra.

Z posterunku policji wychodzę mocno poddenerwowana i niestety mam ku temu powody.

Oto dowiaduję się, że ciągle jestem śledzona i fotografowane są wszystkie moje spotkania.

Z kolei co do bieżącego spotkania z agentem, to nie potrafię zweryfikować, kto z nas dwojga kogo bardziej urabiał. Jakby nie patrzeć, moja seksowna prezencja niewątpliwie zrobiła na Marku odpowiednie wrażenie i był przez to momentami rozkojarzony. Lecz jego kuszenie mnie, abym oddała się pod skrzydła prawa, też było dość skuteczne.

Uderza mnie myśl, że powiedzieć o wszystkim prawdę, byłaby to dla mnie najłatwiejsza droga, aby znów mieć normalne życie. Równocześnie odsunęłabym od siebie realną groźbę, że w końcu zostanę aresztowana i sama skończę z wyrokiem w więzieniu.

Czy zatem czynię właściwie, za wszelką cenę próbując wyciągnąć Mike'a z kłopotów? Czy może żyję w iluzji, że mogę mu pomóc, a tak naprawdę tylko coraz bardziej samą siebie pogrążam?

Są to raptem kluczowe dla mnie pytania. Po niepokojącym spotkaniu z Markiem Mansonem mam na nie bardzo niejednoznaczne odpowiedzi i żadna z nich mnie nie zadowala.

VIII. Tarot - Ośmiu Pucharów

Karta tarota Ośmiu Pucharów odnosi się do możliwości osiągnięcia wyznaczonych celów w toku postępujących zmian. W pozycji prostej karta ta daje nam możliwość uwolnienia się z toksycznego związku. W pozycji odwróconej utrzymuje nas w toksycznej relacji, którą napędza strach.

*

- Na dzisiaj to koniec, moi drodzy historycy. Na następnej lekcji omówimy wielki kryzys gospodarczy trzeciej i czwartej dekady dwudziestego wieku, który podważył fundamenty kapitalistycznego świata. Do zobaczenia.

Studenci wychodzą z sali lekcyjnej, a z nimi także i ja, spoglądająca nisko na podłogę.

Po chwilowym rozłożeniu skrzydeł, i nabraniu w nie wiatru, mój nastrój znów niebezpiecznie pikuje w dół. Może nie dotyka mnie jeszcze wielki kryzys, o którym wspominał historyk, ale mam jego pewne symptomy.

Ostatnia rozmowa z Markiem Mansonem przypomniła mi bowiem, jak wiele jest w moim życiu lęków i niezdrowych relacji. Znów silnie poczułam ich brzemień. Dopóki jednak pod tym brzemieniem się nie ugnę, nadal wytrwale działam. Czyli robię dokładnie tak, jak sobie solennie obiecałam:

- Cześć... Zion.

- Angelina...? To ty dzwonicz?

- No tak, to ja.

- Coś się stało?

- Ostatnio właśnie... nic się nie dzieje, zupełnie nic. Nudzę się jak mops. Więc pomyślałam o kimś, kto dostarczał mi kiedyś sporo rozrywki...

- Ruletka w kasynie. To były czasy i... całkiem dobrze grałaś.

- Nadal bym w coś z kimś... pograła.

- Chciałabyś gdzieś może wyskoczyć?

- Zaproponowałbyś... coś?

- Co powiesz na bilard?

- *Bilard jest w porządku.*
- *No to zapraszam.*
- *To kiedy możemy się... umówić, Zion?*
- *Ten wieczór mam wolny, jakby ci pasowało, Angelino.*
- *Kiedy byś po mnie podjechał?*
- *Dziewiętnasta będzie ok?*
- *Wolałabym... pół godzinki wcześniej.*
- *Dobra, postaram się zdążyć.*
- *Wiesz, gdzie mieszkam?*
- *Prześlij mi adres.*
- *To do zobaczenia, Zion.*
- *No cześć.*

Umówienie się na randkę z byłym krupierem poszło mi łatwo jak z płatka. Mam tylko nadzieję, że w równie prosty sposób zweryfikuję, czy mężczyzna, z którym pojedę na bilard, jest złodziejem heroiny.

Przebiega mi przez głowę myśl, że nawet bym chciała, aby to Zion był winny i w ogóle, aby sam się od razu przyznał. Wówczas nie musiałabym się umawiać z gangsterami, których wcale nie znam: Liamem i Olivierem, którzy także są potencjalnymi złodziejami prochów.

Wiem, że takie myślenie jest dość egoistyczne i nie przystoi aniołkowi, ale obecnie na me oklapłe anielskie skrzydła nic nie poradzę. Zwyczajnie pragnę, aby coś mi się wreszcie udało i żebym w jakiejś sprawie to ja była górą. Czy to osiągnę, czas niebawem pokaże.

Tymczasem były krupier przyjeżdża po mnie o umówionej porze. Jego wóz, w którym zasiadam, nie wydaje mi się ani specjalnie drogi, ani tani. Podobnie kierowca ubrany jest schludnie, bo w marynarkę i elegancką koszulę, ale też nie afiszuje się z bogactwem. Nie ma bowiem przykładowo na palcach złotych pierścieni.

Zawozi mnie on do nieznanego mi klubu gdzieś na północy miasta. Zamawia nam stolik do gry w bilard, a dodatkowo po drinku.

Nie chcę Ziona spłoszyć. Z tego powodu czekam, aż sam mnie zagada, bym już osobiście pociągnęła dyskusję w pożądaną przeze mnie stronę. Ten dość filigranowy mężczyzna jednak

zupełnie nic nie mówi. Wyłącznie uśmiecha się do mnie. Odwzajemniam więc uśmiechy i gram:

– I znowu, cholercia... pudło – komentuję w końcu swoją niefrasobliwość przy stole. Z wyciągniętym przed siebie kijem pozostaję na zielonym blacie w pozycji półleżącej, z tylko jedną nogą na podłodze, i patrzę na reakcję partnera do gry.

On znajduje się na przeciwległym krańcu stołu. Znów się uśmiecha, a ponadto korzysta z okazji i zagląda mi w dekolt.

Poczytuję to sobie za mój sukces i jeszcze bardziej się prężę, aby wyglądać jeszcze mocniej pociągająco i skuteczniej uwodzić.

Zion niestety nie gra pod moje dyktando. Tłumi rozkoszny grymas na twarzy i ucieka spojrzeniem. Za chwilę głośno rechoce, ale ciągle na mnie nie spogląda. Wydaje się nieco zawstydzony.

Nie znam go tak dobrze jak przykładowo Huntera. Po jego zachowaniu zaś wnioskuję, że jest chyba dość nieśmiały i zachowawczy. Stwierdzam, że trochę utrudnia mi to sprawę, bo zamiast być podrywana, sama muszę silić się na podryw:

– Pomógłbyś mi może z kolejnym uderzeniem? – Wskazuję na siebie i mój kij, aby Zion mi go odpowiednio ustawił.

– Czemu nie. – Mężczyzna zachodzi mnie od tyłu i obejmuje moją osobę, a zarazem mój przyrząd do gry. – Gotowa? – pyta.

– Jeszcze... moment. – Pragnę przedłużyć chwilę, podczas której stykamy się ciałami. Nawet ocieram się o faceta, a niemal łaszę. On wypala:

– I... poszło! – Razem ze mną wykonuje pchnięcie drzewcem w bilę i ku mojemu rozczarowaniu od razu ode mnie odstępuje. Nie mam więc na niego innego pomysłu, jak go spić, by uczynić łatwiejszym. Ponownie jestem jak zwykła diablina, nie anioł. Ale ponownie nie mam, jak temu sensownie zaradzić:

– Zamówisz nam jeszcze po drinku? – sugeruję.

– Pewnie. Masz jakieś preferencje?

– Chcę... najdroższy, jaki mają w tym lokalu. Jestem ciekawa, na co tę budę stać. – Usatysfakcjonowana uśmiecham się głównie z tego powodu, że wreszcie mogę sprawdzić, czy Zion będzie szastał kasą.

On się waha, zastanawia, ale idzie do baru. Wraca z dwoma drinkami i wyraźnie z siebie zadowolony oświadcza:

– Dla ciebie najdroższy trunek. Dla mnie, tak dla równowagi, najtańszy. Proszę.

– Kurwa...

– Co powiedziałaś?

– Nie, nic. – Raptem zmieszana nerwowo poprawiam włosy. Niestety moje „sprawdzam”, jak w pokerze w odniesieniu do drinków, okazało się nic niewarte. Stąd słowna artykulacja mego rozczarowania. Szybko się jednak ogarniam: – Chciałam powiedzieć, że to kurewsko miłe z twojej strony, że wykosztowałaś się dla mnie na takiego drinka.

– Czasem... mam gest. – Zion kolejny już raz odpowiada w sposób, którym się w ogóle nie zdradza.

Gramy jeszcze pewien czas. Wymieniamy uśmiechy i zdawkowe uwagi. Przy każdej mojej próbie wyciągnięcia czegoś więcej z byłego krupiera ten jest jak piskorz, który mi się wymyka. Aż wreszcie o dwudziestej drugiej uprzejmie oświadcza:

– Było cudownie, Angelino, ale na mnie już pora. Muszę jutro wczesnie wstać.

– Do pracy?

– No tak.

– A gdzie teraz pracujesz?

– Obecnie zapierdzielam jako sprzedawca w sklepie.

– W jakim?

– W sportowym u pana Lee.

– Czyli pracujesz u ojca Lucasa – podchwytyję. – To jest... ciekawe.

– Takie sobie, ale nie narzekam. – Zion odkłada kij do gry. Nie dopija drinka i wskazuje mi wyjście z lokalu.

Opuszczam go więc w męskim towarzystwie. Choć samego, męskiego towarzystwa nie chcę jeszcze się pozbawiać. W tym momencie kompletnie bowiem nie potrafię stwierdzić, czy mam do czynienia ze złodziejem heroiny.

Ponadto odkrywam, że jest też inny powód, iż nie pragnę jeszcze wracać do domu. Otóż facet, z którym spędzam wieczór, nagle wydaje mi się całkiem przyzwoity. To gentelman pełną gębą, który niczego względem mnie nie próbuje. Jest uprzejmy, stonowany, z nienaganną prezencją. W innych okolicznościach powiedziałabym, że to świetny materiał na męża. Ale i w obecnej sytuacji jakoś ciężko mi się z nim rozstać. Dlatego, gdy zasiadamy już w samochodzie, zgodnie z prawdą, markotnie mówię:

– Nie za bardzo chcę wracać do siebie...

– Odwieść cię do... koleżanki albo do hotelu?

Słyszając to, spoglądam na Ziona już mniej jak na gentelmana, a bardziej jak na kosmitę. Uznaję, że ze swoją wstrzemięźliwością trochę jednak przesadza.

Czyżby więc to on stał za kradzieżą heroiny, bo nie chce mnie zabrać do swojego domu, który obecnie tonie w złocie? W sytuacji, kiedy nabieram ku temu zasadnych podejrzeń, bez wahania odrzucam anielskie skrzydła i zakładam różki diablicy:

– Czemu nie mielibyśmy pojechać do... ciebie? – Oblizuję ze smakiem wargi i bawię się guzikiem koszuli pod gardłem mężczyzny.

On w tym gardle z trudem przetyka ślinę. Ale nic nie odpowiada. Nie pozostawia mi więc innej opcji, jak dalej wychodzić z inicjatywą i to coraz bardziej odważną:

– Chciałabym do ciebie... pojechać. Bardzo bym chciała... – szepczę namiętnie i począwszy od góry, rozpinam kolejne guziki ubrania pod szyją Ziona, by pomasować nagi tors. – To jak będzie? Zaprosisz mnie... do siebie?

Widzę, że zamiast powiedzieć proste „tak”, mężczyzna prowadzi ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu mi proponuje:

– Pojedźmy do motelu.

– Czemu nie do ciebie? – wyrażam zdziwienie.

– Czemu musimy jechać do mnie? – Zion odbija piłeczkę.

– Po co masz... płacić za motel?

– Znam takie miejsce, w którym się nie wykosztuję.

– Sama nie wiem... – Mój entuzjazm nagle opada.

– W porządku, odwiozę cię do twojego domu.

– Nie, czekaj! – Łapię za męską rękę, która właśnie spoczęła na drążku skrzyni biegów. – Powiedz mi, dlaczego nie możemy jechać do ciebie? Masz... kogoś?

– Niezupełnie...

– No to... masz, czy nie? – W głowie robi mi się mętlik. W podobny sposób, pomieszany, spoglądam na Ziona.

Ten coraz bardziej się spina. Aż po kulminacyjnym momencie spinki raptem wygląda, jak przebity balon, z którego spuszczone powietrze. W taki też sposób, sflaczały, do mnie przemawia, wyjaśniając mi wszystko:

– *Widzisz... mieszkam z osobą, która jest chora, bardzo chora. Ścisłej to mam u siebie matkę, która cierpi na... silną demencję. Właściwie to ma zdiagnozowanego Alzheimera. Potrafi w środku nocy wejść do mojego pokoju, obudzić mnie i wyganiać z domu, jako obcego człowieka. Raz nawet wezwała policję, skarżąc się, że ktoś włamał jej się do mieszkania i śpi w łóżku jej syna. Tym kimś byłem ja. Więc... wolałbym ci oszczędzić takich wątpliwych atrakcji.*

– *Nie miałam pojęcia...*

– *Teraz już wiesz.*

– *Nic nie wspominałeś...*

– *Czym tu się chwalić?*

– *Dlaczego nie oddasz matki do... zakładu?*

– *To moja matka.*

– *Przepraszam, palnęłam...*

– *Nie szkodzi. Odwiozę cię już do twojego domu.*

– *Dobrze, ale chcę, żebyś coś wiedział.*

– *Co takiego?*

– *Podziwiam cię za to, co robisz dla matki. – Będąc już w zupełnie innym nastroju, całuję wzorowego syna w policzek. On rusza z wolna wozem. Jedziemy kilka ulic dalej i niebawem się rozstajemy.*

Pozostawiona zostaję w doprawdy dziwnym dla siebie stanie, w którym się nie poznaję i nagle nie do końca rozumiem moje sercowe wybory. Zastanawiam się, co takiego właściwie w moim życiu się wydarzyło, że związałam się z kimś tak niebezpiecznym i groźnym jak Mike, a nie opiekuńczym i czułym jak Zion.

Z kolei zreflektowawszy się w moich życiowych wyborach, czy mogłabym raptem stracić dla Ziona głowę? Mogłabym się w nim zakochać i tym samym wejść w nowy związek, a w to miejsce zakończyć swoje być może toksyczne relacje?

Czy z własnej woli byłabym w stanie zerwać z Damonem? Chciałabym tego? Może już od dawna chcę, tylko powstrzymuje mnie jakiś rodzaj lęku?

Nie, chyba nie. Przecież ciągle kocham Mike'a i to właśnie miłość zdecydowała, że staliśmy się parą. Choć momentami, wystawiana na pokuszenie, gubię się i sama już nie wiem, dla kogo mam otwarte serce i kogo tak naprawdę pragnę w nim gościć.

Podobnie nie potrafię jednoznacznie stwierdzić czy mężczyzna, który mnie akurat zauroczył, jest złodziejem. Chociaż, prawdę powiedziawszy, obecnie wydaje mi się to więcej niż nieprawdopodobne. Takimi też wnioskami dzielę się w parku z najbliższą przyjaciółką:

- To nie może być Zion. On nie ukradł prochów. Niczym się nie zdradził.*
- Ale do swojego domciu cię nie wpuścił – zauważa Carterówna.*
- Powiedziała ci przecież, czemu mnie do siebie nie zaprosił.*
- Może kłamał z tą niedołązną mamusią?*
- Sprawdziłam to, mówił prawdę.*
- Jak sprawdziłaś?*
- Dziś rano dyskretnie zaczęłam się koło domu Ziona. Widziałam, jak przed domem na ganku żegnał się z zagubioną staruszką. Ona go nie poznawała...*
- Ha! Czyli była podstawiona, skoro własnego syna nie poznała!*
- Przestań, mówiłam ci już, że ta kobieta ma demencję. – Spoglądam na przyjaciółkę karcącym wzrokiem i zaznaczam: – Moim zdaniem trop z Zionem jest fałszywy i tyle.*
- Bo opiekuje się chorą mamusią i romantycznie cię zauroczył? To od razu jest niewinny?*
- No... tak. – Robię nieco zafrasowaną minę, bowiem argumenty przemawiające na korzyść byłego krupiera rzeczywiście nie są miażdżące. Liliana natomiast już podpytuje mnie o drugiego z podejrzanych:*
- A jak było z Hunterem?*
- Poza tym, że on też nie jest złodziejem heroiny, to było... beznadziejnie. – Przyjmuję minę jak po degustacji wielce niezjadliwego dania. Carterówna patrzy na mnie zaskoczona i zauważa:*
- No co ty gadasz. Przecież kiedyś wspominałaś, że on jest całkiem w porządku.*
- To było... kiedyś. Obecnie Hunter...*
- No?*
- On chyba się stacza. Wydaje mi się, że nigdzie nie pracuje i ledwo wiąże koniec z końcem.*
- Aż tak z nim źle?*
- No mówię ci. Zanim dojechaliśmy do niego, to jego rozklekotany wóz się prawie rozleciał. Za to w chałupie miał taki syf, jakiego w życiu u nikogo nie widziałam. O sposobie, w jaki się do mnie dobierał, już nie wspomnę. Żenada...*

– Czyli nasz mechanik się wysypał bez swojej Sue i naszego Mike'a...

– Mojego... Mike'a. – Stukam Lilianę łokciem w bok i próbuję się zadziornie uśmiechnąć. Ale wychodzi mi nader kwaśno. Carterówna to zauważa i pyta:

– Coś nie tak z twoim... prawdziwym ukochanym, tym najprawdziwszym z prawdziwych?

W głosie przyjaciółki wyczuwam zasadną nutę drwiny. Nie uciekam od swoich odczuć i decyduję się zwierzyć:

– Przez to całe randkowanie z innymi facetami, gdzie ich jeszcze sama podrywam, czuję, że... oddalam się od Damona. Bo bywa, że to randkowanie czasem mi się nawet podoba. I... ci faceci czasem mi się podobają.

– Masz na myśli Ziona.

– No... tak.

– To dlaczego używasz liczby mnogiej?

– Sama nie wiem. Tak... jakoś. – Nie wiedzieć czemu, w wyobraźni pojawia mi się obraz przystojniaka Marka Mansona. Chociaż szybko sobie przypominam, że jest ku temu zasadny, a nawet bardzo zasadny, powód: – Tylko zobacz, co dzisiaj otrzymałam i od kogo: – Pokazuję przyjaciółce wiadomość tekstową na moim telefonie.

– Spotkajmy się prywatnie, nalegam – czyta Liliana, a patrząc na nadawcę, aż pokrzykuje: – Mark Manson!

– Ciszej, wariatko, bo nas zdekonspirujesz. – Zastaniam piegusce usta, śmiejąc się.

– Udało ci się go poderwać? No nie wierzę!

– Chyba wpadłam mu w oko...

– Wpadając do niego na przesłuchanie z niemal gołym cycem!

– Nie zaprzeczę.

– I co? Umówisz się z nim?!

– Już się... umówiłam. Przyjedzie po mnie samochodem – stwierdzam niewinnie.

Słyszając to, Carterówna wstaje z ławki w parku. Robi pełen piruet, a do tego wielkie oczy. Następnie łakomie pyta:

– To jak zamierzasz to wykorzystać?

– Będę ostrożna. Zobaczę najpierw, co on sam kombinuje.

– Super. Normalnie jak w filmie sensacyjnym. Aż żałuję, że nie będzie mnie z wami w samochodzie. Nawet do bagażnika bym wam wlaża! Ale, ale... – Naraz siostra Alexa poważnie. Grozi mi palcem i przestrzega: – Tylko swoje serducho to trzymaj przed tym agentem na wodzy. No tylko tego by brakowało, żebyś dała się też federalnemu zauroczyć!

– Postaram się... nad sobą panować. – Zalotnie trzepoczę rzęsami.

– Kiedy macie tę randkę?

– Jutro wieczorem.

– A zdradzisz mi wreszcie, co sama chcesz uzyskać od Mansona?

– Jeszcze nie, Liliana, wybac. Ale jak to wypali, to, tak jak ci obiecałam, polecisz do Meksyku.

– No... dobra. To udanego randkowania. A przy okazji...

– Tak?

– Alex się rozsmakował w niszczeniu zawodników drużyny Pomo. Poprosił o kolejne nazwiska.

– Nie będzie kolejnych nazwisk.

– A to czemu?

Widzę, że moja przyjaciółka jest wyraźnie rozczarowana. Ja w sumie też jestem i powód mego rozczarowania wyjawiam:

– Miałam rozmowę wychowawczą z... Lucasem.

– Ajć...

– Przejrzał mnie. Powiedział, że nie mogę odsyłać do szpitala więcej graczy, bo nie ma kto grać na meczach i je przegrywa.

– Bardzo dobrze, że je przegrywa i jego Pomosi!

– Nie dla niego.

– No... fakt. – Liliana przyjmuje skapcianiłą minę i jeszcze markotnie wzmiankuje: – Za Wodza to się Alex raczej nie weźmie. Wódz jest za duży, no wręcz ogromny jest.

– Nie namawiam do tego, bo z Lucasem już sobie ułożyłam całkiem poprawne relacje. Dlatego twój brat ma obecnie wolne od mordobicia na moje zlecenie.

– Rozumiem...

– Ale niech ciągle będzie w pobliżu, zanim nie zbadam pozostałych gangsterów podejrzanych o kradzież prochów.

– Dobra, dam mu cynk, aby posiedział jeszcze w Crestone.

– Mieszka u ciebie w domu?

– Zgadza się.

– I jak wam się razem... żyje?

– Pytasz, czy wyrabiam pod jednym dachem z mordercą? – Liliana robi drwiący uśmiezek. Już chcę sprostować swoje słowa, ale wcześniej słyszę: – Ja z Alexem nie mam problemów, nigdy nie miałam. Teraz co najwyżej mam z nim takie przyjemności, że ten drań pali jeszcze więcej cygar i koszmarnie kopci. – Carterówna szczyrzy się od ucha do ucha.

Ja też się uśmiecham. W takim też, dobrym nastroju, obgadawszy sporo spraw, opuszczamy miejski park, czyli stałe miejsce naszych konspiracyjnych spotkań.

IX. Tarot - Dziewięciu Pucharów

Karta tarota Dziewięciu Pucharów pokazuje na dobry okres w życiu, który ma podstawy rozwinąć się w poczucie spełnienia i szczęścia. W pozycji prostej karta ta podpowiada nam, że nasze życzenia się spełnią, jeżeli tylko wyciągniemy po nie rękę. W pozycji odwróconej mamy do czynienia z oczekiwaniem na szczęście w sposób bierny, czyli z założonymi rękoma.

*

W sobotę wieczorem, czyli dziś, mam prywatnie spotkać się z Markiem Mansonem. Skłamałabym, twierdząc, że na myśl o tym spotkaniu, poza oczywistym niepokojem, nie czuję też ekscytacji. Nie mogę przed sobą ukryć, że przesłuchujący mnie regularnie agent federalny jest dla mnie zagrożeniem, ale również atrakcyjnym mężczyzną. Ponadto z powodu wyższych pobudek sama próbuję go od pewnego czasu uwieść i gdybym odniosła w tym sukces, postrzegabym to niewątpliwie, jako jedno z mogących się spełnić moich życzeń.

Z kolei wśród innych moich pragnień, bardziej skrytych, jest takie, aby odezwał się do mnie Zion. On jednak, co mnie dziwi, ciągle milczy, zupełnie jakby nic między nami nie zaszło.

Nie do końca rozumiem jego zachowanie, bo przecież widziałam po nim, że jemu także było dobrze w moim towarzystwie. Dałam też wyraz temu, że w pełni szanuję jego oddanie dla matki.

Czemu więc nie próbuje wznowić ze mną kontaktu? Czy może taką samą lojalność, co w odniesieniu do rodzicielki, wyraża wobec Mike'a, przez co nie chce podrywać jego aniołka? Jeżeli tak, to tym bardziej wart jest mojego podziwu i uwagi.

Lecz już postanawiam, że musi sam wykazać się większą inicjatywą, jeśli się przełamie i uzna, że warta jestem dla niego pewnych poświęceń. Dlatego też sama ponownie pierwsza do niego nie zadzwonię.

Tymczasem słyszę na dole dzwonek do drzwi. Wyglądam ukradkiem przez okno mojego pokoju i widzę zaparkowany przed domem czarny, terenowy wóz. Stwierdzam, że taki samochód pasuje do Marka Mansona i temu ostatniemu już spieszę na spotkanie. Nie mam bowiem wątpliwości, że to on dzwoni o umówionej porze.

– To do mnie. Sama otworzę! – rzucam w przelocie przez korytarz do mego wujostwa. Nie czekam na odpowiedź, tylko w pośpiechu otwieram wejście do domu.

– Pani Angelino.

– Agencie...

– Pozwoli pani?

– Oczywiście.

Wobec gestu męską ręką wskazującego czarny wóz idę w jego kierunku. Towarzyszy mi dystyngowany brunet, który otwiera przede mną drzwi terenówki. Sam zasiada z drugiej strony samochodu na siedzeniu kierowcy, po czym, ze mną w roli pasażera, rusza.

– Proszę nakierować mnie na atrakcyjną dla pani okolicę – sugeruje Manson, czyniąc to w sztywny, służbowy sposób, mimo że nasze spotkanie ma mieć prywatny charakter.

– Może pojedziemy nad ocean, za miasto? – rzucam dla odmiany całkiem swobodnie.

– Bardzo chętnie. – Mężczyzna w ciemnym garniturze skręca wozem na zachód.

Dłuższy czas jedziemy w ślad za krwawym zachodem słońca ginącym gdzieś w oddali. Nie rozmawiamy.

Trwa to tak długo, aż witamy na horyzoncie morski krajobraz. Tutaj agent zatrzymuje samochód na poboczu w taki sposób, abyśmy mieli na widoku niezmierzone wody Pacyfiku. Włącza też radio i ustawia kanał z romantycznymi piosenkami.

Muszę przyznać, że atmosfera robi się bardzo zmysłowa. Wieczorową porą zasiadam bowiem koło przystojnego bruneta, który na co dzień para się łapaniem przestępców. Ponadto dał mi już się poznać, jako mężczyzna o ponadprzeciętnej inteligencji oraz ktoś kto wyjątkowo dobrze potrafi prowadzić rozmowę. Czekam zatem, co na wstępie powie.

On w pewnym momencie nieco przycisza radio. Wciąż patrzy w bezkres oceanu, po czym, z nutą melancholii w głosie, odkrywa przede mną karty ze swej historii:

– Urodziłem się i wychowałem w Powell. To miścina w sercu kontynentu w stanie Wyoming u podnóża Gór Skalistych niedaleko od Yellowstone. Do dwudziestego roku życia nie wyściubiłem stamtąd nosa, przez co nie widziałem żadnego oceanu. Ani tego przed nami, ani tego na wschodnim wybrzeżu. Jedyne morza, jakie było mi dane oglądać, to morza traw, czyli trawiaste łąki pod wypas dla bydła. – Agent robi pauzę, wzdycha i zadziornie mnie pyta: – Wiesz, czemu jako szczeniak nigdy nie byłem na wakacjach, przykładowo nad morzem?

– Nie wiem... proszę pana.

– Otóż kilku innym szczeniakom w moim mieście, starszym, by się wzbogacić, zamarzyło się pójść tą łatwiejszą drogą. Założyli gang i parali się nielegalnym biznesem. Mój ojciec był szeryfem i ścigał tych gnojków. Tak ich usilnie ścigał, że nie zauważał poza swoją powinnością nic innego. Nie miał więc czasu zabrać syna na wakacje. W ogóle nie miał dla niego czasu, bo ciągle brał nadgodziny w pracy. Mojej matce jej mąż też nie poświęcał dość uwagi, więc znalazła sobie kochanka. W naszym rodzinnym domu na moich oczach pieprzyła się z jednym, to drugim kochaniem, aż z kolejnym uciekła do Philadelphii i założyła sobie nową rodzinę. To tylko rozsierdziło ojca, który nie znał już umiaru w uprzykrzaniu życia

członkom gangu. Skutkowało to tym, że gangsterzy się zemścili. Porwali moją jedyną siostrę i ją zbiorowo zgwałcili. Harper miała piętnaście lat. Nie zniosła tego dobrze. Po kilku miesiącach miała pierwszą próbę samobójczą, podcięła sobie żyły. Rok później w ostatniej chwili odciąłem ją ze sznura, gdy chciała się powiesić. Od tamtego czasu, a minęło go sporo, moja siostra przebywa w zakładzie psychiatrycznym. Odwiedzam ją tam raz na rok na bożonarodzeniowe święta. Ojca już nie odwiedzam. Po rodzinnych dramatach popadł w alkoholizm. Wcześniej przesiedział dziesięć lat w więzieniu za śmiertelne pobicie jednego z gangsterów. Trochę go poniosło podczas przesłuchania. Miał zły dzień. Tak powiedział sędziemu...

W samochodzie zapanowuje ponura cisza, która jest mącona tylko rzewną melodią kobiecego śpiewu płynącego z radia. Obecnie te dźwięki w ogóle już mi się nie kojarzą z romantycznymi, a raczej żalobnymi. W takim też tonie wkrótce mówię:

– Szczerze współczuję rodzinnym tragedii. Nie wiem, jak pan je zniósł. Mi w podobnej sytuacji pomógł Bóg. Bez niego nie poradziłabym sobie w żaden sposób.

– Mi pomogło to. – Agent wyjmuje z kabury pistolet i mi go demonstruje. – Pomogła mi zemsta – zaznacza.

– Zabił pan któregoś z... gangsterów z pańskiego miasta? – pytam z przejęciem, ale i obawą. Manson zaś chłodno potwierdza:

– Nikt nie brał pod uwagę, że szefów gangu w moim mieście mógł zastrzelić raptem czternastoletni chłopak. Choć właściwie to nie on strzelał. Za niego kilkanaście razy na spust nacisnęły nienawiść i gniew. Użyłem nierejestrowanej broni ojca, którą trzymał na strychu. Załatwiłem skurwieli na cacy.

– Poczuli się pan po tym... lepiej?

– Zdecydowanie lepiej. Wiedziałem już bowiem, jak wiele zła może wyrządzić zorganizowana przestępczość. Poznałem też na przykładzie własnej rodziny, że ludzie słabi duchem ponoszą porażkę. Kruszą się pod nawałą przeciwności losu. Lecz istnieje antidotum. Jest to bezwzględność i siła, jaką stosują właśnie gangi. Zrozumiałem, że ogień niekoniecznie trzeba gasić wodą. Ogień można, a nawet należy, zwalczać samym ogniem. – Uzbrojony mężczyzna kieruje lufę pistoletu wprost na moje serce. Zamieram i trwożnie pytam:

– Co pan... zamierza?

– Zamierzam zrobić wszystko, aby do cna rozwalić gang skurwieli z Crestone. Chcę, aby to do ciebie dobitnie dotarło. Tak mocno, że bardziej się już nie da.

– Nie musi pan w tym celu do mnie... celować.

– Jak myślisz? Ile razy znani ci gangsterzy celowali do swoich ofiar? Jak sądzisz, co czuły wtedy ich ofiary?

- Myślę, że to samo, co ja teraz...

- Czyli?

- Bardzo się bały. Bo i... ja się boję.

- Nie jest to dobre uczucie, prawda?

- Nie, nie jest...

- Możesz sprawić, że w tym mieście taki strach będzie wielu osobom oszczędzony. Ty i ja możemy to razem uczynić. Wystarczy, że przełamięs swój podrzędny lęk i z wymiarem sprawiedliwości pójdziesz na pełną współpracę.

- Rozumiem... to. Ale czy mógłby pan już do mnie nie mierzyć z broni? To uczucie jest nie do zniesienia...

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem, pani Evans. – Agent chowa broń, po czym dodaje: – Proszę wybaczyć, ale będę jednak musiał nieco naruszyć pani cielesną nietykalność.

Momentami przerażający mnie, a zarazem pociągający, mężczyzna wyciąga rękę ku moim piersiom. Ja zaś poddenerwowana szepczę:

- Co pan... robi?

- Proszę się nie lękać. To będzie z mojej strony standardowa procedura, a mianowicie kontrola osobista.

- Po co coś... takiego?

- Powiedziałem w tym samochodzie trochę dużo na temat swojej przeszłości. Wolałbym, aby jej fragmenty nie trafiły, jako nagranie, na biurko moich przełożonych.

- Nie mam na sobie podsłuchu. – Składam na sercu ręce. Manson mi je zdejmuję z biustu i spokojnie oznajmia:

- Zaraz się przekonamy.

Zastygam, podczas gdy męska dłoń powoli zagłębia mi się pod koszulkę, a za chwilę także pod stanik. Czuję silne palce przeslizgujące mi się po jednej i drugiej piersi. Przy czym doświadczam dotyku na moich krągłościach przez zdecydowanie więcej czasu niż potrzeba go, aby sprawdzić, czy nie przyczepiłam do klatki piersiowej mikrofonu. Nie reaguję jednak.

Także bierna pozostaję wtedy, gdy ręka Mansona zjeżdża na moje łono i mnie tam masuje. Kiedy zaś drugą rękę mężczyzna wsuwa pod moją spódniczkę, dokładnie obmacane zostaje moje jedno, a potem drugie udo oraz pośladki.

Ciągle nie reaguję. Jedynie przymykam oczy i jak do pocałunku rozchylam usta.

Skąd taka moja pasywna postawa? Otóż odbieram w sobie niepokojącą myśl, że ewidentne naruszenie mojej intymności, które powinno mnie zbulwersować, wydaje się być coraz bardziej pociągające. Pragnę zganić się za to, ale jeszcze bardziej ulegam. Ta niespodziewana uległość prowadzi z kolei do tego, że jestem coraz bardziej otwarta na to, co robi ze mną agent. Aż ośmielona sama wychodzę z inicjatywą:

– Mogę je... zdjąć. Będzie panu łatwiej mnie... przeszukiwać – szepczę.

– Co miałybyś zdjąć?

– Majtki...

– Zrobisz to dla mnie?

– Tak... – Nie wierzę, że to słowo pada z moich ust, podobnie jak sama propozycja. Jeszcze bardziej jest dla mnie niewiarygodny fakt, że pozbywam się dolnej części bielizny. Wtedy dotknięta zostaję tam, gdzie nie dotykał mnie jeszcze nikt poza moim chłopakiem, a jest to musnięcie, od którego przez całe me ciało przechodzi ekstatyczny dreszcz.

Na jak wiele jestem w stanie agentowi jeszcze pozwolić? Jak daleko zamierza się on jeszcze posunąć?

– Gotowe. – Nagle zostaję jakby wyrwana z erotycznego snu, gdy Mark przestaje mnie dotykać, czy może raczej już pieścić. Zasiada on sztywno na swoim miejscu i służbowym tonem dodaje: – Rzeczywiście nie ma pani na sobie podsłuchu. Ma pani za to ciało, które aż trudno jest przestać przeszukiwać. Nawet żałuję, że sam nie miałem okazji czegoś z pani zdjąć. Być może nadarzy się taka okazja innym razem. Obecnie pozwoli pani, że odstawię panią całą i nietkniętą do domu.

Samochód rusza z powrotem w kierunku miasta. Ja zaś na swoim miejscu długo jeszcze stygnę z rozbudzonego we mnie podniecenia.

Nie mam też pojęcia, czemu Manson nie skorzystał ze sposobności i nie posunął się względem mnie dalej. Nie rozumiem, co go powstrzymało.

Rozumiem za to teraz doskonale jego motywacje i determinację w dążeniu do łapania przestępców. On się przed niczym nie cofnie, aby dopaść Mike'a. Być może właśnie mi zademonstrował, że nadchodzi już czas, kiedy to nie mogę przed nim dłużej lawirować. Muszę zdecydowanie opowiedzieć się po którejś stronie.

*

Dzień po budzącym wiele emocji spotkaniu z agentem federalnym, nieco bardziej wbrew sobie, ale ciągle działam na rzecz Damona. W tym celu dzwonię do Liliany, aby dowiedzieć się, gdzie mogę spotkać byłego gangstera zwanego Liamem. Dowiaduję się, że w weekendy

regularnie odwiedza on pewien nocny klub na wschodzie miasta. Zatem odpowiednią porą, czyli nocną, się tam zameldowuję.

Wnętrze tego przybytku przypomina mi skromniejszą wersję lokalu Pod Płonącym Aniołem. Nie ma tu bowiem tronów u szczytu sali ani wyższego piętra. Parkiet pośrodku dla erotycznych tancerek jest krótszy. Zamiast dwóch barów jest jeden i to właśnie przy nim zasiadam na wysokim stołku.

Długo męczę zamówionego drinka, a sama jestem męczona męskimi propozycjami zawiązania bliższej znajomości. Otrzymuję nawet ofertę dwustu dolarów za seks na parkingu. Oczywiście odmawiam. Czekam cierpliwie na pojawienie się tu jedyne go faceta, którego pragnę poznać, a rozpoznać go mogę na podstawie przesłanego mi przez Lilianę zdjęcia.

Wreszcie przed godziną dwudziestą trzecią niejaki Liam zasiada przy barze i zamawia drinka. Pije go zwrócony w kierunku rozneglizowanych tancerek. Nie omieszka również omiatać wzrokiem mojej, ubranej na biało, osoby. Dłużej nie zatrzymuje jednak na mnie wzroku. Świadczy to o tym, że mnie raczej nie kojarzy z widzenia, tak samo zresztą jak ja jego. Postanawiam to wykorzystać w taki sposób, że w ogóle nie zdradzę swej tożsamości. Będzie to według mnie najskuteczniejszy sposób prześwietlenia tego jegomościa pod względem jego uwikłania w kradzież prochów.

– No... cześć. – Dosiadam się do upatrzonego mężczyzny. Dłuższy czas jakby nie mogę wygodnie usadowić się na miejscu, przez co na siedzeniu mocno kręcę pupą.

Przy okazji upewniam się, że mam do czynienia z facetem, o którego mi chodzi. Jest on około czterdziestoletnim szatynem. Ma jakby wilczą twarz, bo z blisko siebie osadzonymi oczyma, długim nosem i nieco wystającymi kłami. Nadaje mu to dość drapieżny wizerunek, ale mnie nie zraża.

Pewną urazę czuję za to z tego powodu, że mimo zaczepki z mojej strony jestem ignorowana. Skoro więc moje kobiece wdzięki nie wystarczą do tego, aby mężczyzna na mnie zareagował, to uruchamiam plan awaryjny:

– Ty jesteś Liam, prawda? – uśmiecham się anielsko. Spotykam się z wielce podejrzliwym spojrzeniem, a wtedy ciągnę dalej: – Chyba mnie nie znasz?

– Chyba nie – odburkuje ponury typ, ale nie gasi tym mego uśmiechu. Sprawia, że jeszcze go poszerzam i się przedstawiam:

– Nazywam się... Amelia.

– Co z tego?

– Tyle, że Amelia ma do Liama... interes.

– Jaki?

Słyszając to zapytanie, niby dyskretnie rozglądam się po lokalu i ściszym głosem mówię:

– Koleżanka wspominała, że możesz mi załatwić trochę... towaru.

– Jaka koleżanka?

– Liliana Carter...

– Siostra Alexa?

– Zdaje się, że tak...

– O jaki towar ci chodzi?

Ku mojemu zadowoleniu nareszcie zaszczycona zostaję wzmożoną uwagą pary wilczych oczu. Uciekam przed tym spojrzeniem w bok i ciągle się szczerząc, szepczę:

– Potrzebuję wciągnąć noskiem coś, po czym znowu nabiorę mocy. Potrzebuję ponownie stać się... bohaterką. – Prężę biceps. Potem chwytam mężczyznę za udo i nachylam się ku niemu, jak do pocałunku.

Facet dłuższy czas mierzy mnie surowym wzrokiem, aż nieufnie pyta:

– Czekaj... Czy ja cię jednak skądś nie znam?

– Nie... wiem. – Udaję rozkojarzoną, bo ogarnia mnie obawa, że zostanę zdemaskowana.

– Czy nie widziałem cię przypadkiem w... Płonącym Aniele?

– Ach, Płonący Anioł, no jasne. – Macham niedbale ręką. – Mogłeś mnie tam widzieć, bo trochę tam pracowałam...

– Na górze czy na dole?

Wobec tego pytania zastygam. Dociera do mnie, że mężczyzna, którego wciąż trzymam za udo, pyta mnie, czy byłam erotyczną tancerką czy raczej prostytutką. Nie jestem pewna, co w drodze do mego celu bardziej przemawia na moją korzyść, ale domyślam się, że nie mogę zbyt długo zwlekać z udzieleniem odpowiedzi, aby zabrzmiała wiarygodnie. Dlatego rezolutnie wypalam:

– Pracowałam trochę tu, trochę tam. Trochę na dole, trochę na... górze. Wiesz, jak jest... Trzeba zarabiać. – Chowam się za pitym drinkiem. Za chwilę odejmuję go sobie od ust i już z większą pewnością dodaję: – Czasem trzeba popracować ciałkiem na dwa etaty, aby zarobić na przyjemności, o które cię proszę... – Mocniej zaciskam dłoń na udzie Liama. On oschle rzuca:

– Ile potrzebujesz?

– A... ile masz? Bo chętnie zaopatrzyłabym się w większą ilość. Tak na zapas...

– To kosztuje.

– Mogę... odpracować. – Mizdrzę się na stołku, w zawołowany sposób obiecując facetowi seks.

Przy okazji kątem oka zauważam swoje lustrzane odbicie na tle butelek z trunkami. Wtedy krzywo uśmiecham się do samej siebie, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie wyprawiam. Miłość do ukochanego jednak zobowiązuje, przez co dalej zgrywam puszczałską narkomankę:

– To jak będzie, ogierze? Dogadamy się jakoś? – kuszę, bardziej nachylając się ku mężczyźnie, aby poczuł mnie mocniej i nie mógł mi się oprzeć.

– Pojedziemy do mnie – pada odpowiedź, która nie brzmi dla mnie komfortowo, a budzi moje szczere obawy.

Szybko analizuję za i przeciw przedstawionej mi opcji. Waham się, ale ostatecznie postanawiam skorzystać z oferty. Jeżeli bowiem naocznie zobaczę dużą ilość heroiny, to na bank zdemaskuję złodzieja. Wtedy natomiast nie pozostanie mi nic innego, jak z domu Liama wezwać telefonicznie na odsiecz Alexa. W związku z powyższym usatysfakcjonowana potwierdzam:

– Pojedziemy do ciebie. Tam dasz mi towar, dużo towaru i będę twoja, kiedy tylko będziesz chciał. Będę na każde twoje wezwanie. Wspaniale.

Liam płaci za swojego drinka i za mojego. Wychodzi ze mną z lokalu, a na parkingu otwiera mi drzwi do wozu z górnej półki.

Z wnętrza wartego sporo samochodu przyglądam mu się podejrzliwie. Stwierdzam jednak, że w odniesieniu do kradzieży prochów, obserwowany przeze mnie przepych jeszcze o niczym nie świadczy, bo Liliana wspominała, że mam do czynienia z gościem, który na dilerce zdążył się już dorobić. Z tego samego powodu ma on prawo mieć pewną ilość heroiny. Moim zadaniem jest się więc przekonać, jak dużo ma na składzie towaru. Jeżeli okaże się, że przynajmniej kilka funtów, to, tak jak postanowiłam, wezwę Alexa.

Obecnie dojeżdżamy już na miejsce i jestem wezwana do opuszczenia wozu:

– Wyłaź – posykuje Liam, który nie grzeszy uprzejmością i z bratem Liliany mógłby rywalizować o to, który z nich jest większym gburem.

Ja jestem niezmiennie słodziutka, co podyktowane jest odgrywaną przeze mnie rolą:

– Niesamowicie mieszkaasz! – szczebioczę z podziwem.

W mroku nocy widzę nad rzeką samotny, duży dom. Ma obszerną werandę, wysokie okna i dwie kondygnacje. Ponadto stoi przy nim młyńskie koło naszpikowane zapalonymi lampkami.

Obraca się ono, młócąc wodę i porusza światłami. Z kolei w drodze do samej rezydencji mijam podświetlone stawy z różnobarwnymi rybami.

– Wchodź. – Mężczyzna wpuszcza mnie do siebie i tutaj też jestem pełna wrażenia dla tego, jak mieszka. Zauważam, że jest fanem akwarystyki, bo na korytarzu mijam szereg portretów egzotycznych ryb.

W końcu zostaję wprowadzona do pomieszczenia, którego wszystkie ściany zastawione są akwariami z morską fauną i florą. Tym widokiem jestem wręcz urzeczona i dłuższy czas nie mogę wyjść z oszołomienia.

Z tego powodu początkowo nawet nie zauważam, że trafiam zarazem do sypialni. Zdaję sobie z tego sprawę, gdy Liam siada na znajdującym się pomiędzy zbiornikami wodnymi łóżku. Po tym zaś, jak pod wpływem ciężaru męskiego ciała łóżko faluje, domyślam się, że jest ono wodne.

– Rozbierz się – otrzymuję polecenie, które już w pełni przywraca mnie do przytomności. – Rozbierz się i tańcz. Tańcz, jakbyś robiła striptiz w klubie.

– Ale... nie ma muzyki – mówię cokolwiek, aby zyskać na czasie.

– To zanuć coś sobie.

– Dobrze, tylko najpierw daj mi działkę. Muszę ją mieć wcześniej, bo jestem na głodzie i... i trzęsą mi się ręce. Tylko popatrz. – Wyciągam przed siebie ramiona, które rzeczywiście mi drżą, lecz od nagłego przestachu, a nie narkotykowego głodu.

Tak czy inaczej Liam decyduje się spełnić moją prośbę. Sięga pod łóżko, odrywa z parkietu klepkę i ze skrytki wyjmuję małe zawiniątko. Z torebeczki wyciąga szklany pojemnik z białym proszkiem. Wysypuje go trochę na przegub swojej dłoni i palcami formuje w drózkę.

– Wciągaj kreskę. Potem tańcz – powarkuje.

Ja najbardziej żałuję w tej chwili tego, że facet przede mną nie wyciągnął spod łóżka kilku funtów heroiny. Wówczas bym stąd zwyczajnie uciekła i zakapowała go Alexowi. A tak nie widzę dla siebie innej alternatywy, niż dalej brnąć w narkotykowe bagienko, w którym na własne życzenie się pogrążam:

– Ale... obiecałeś mi więcej towaru – zauważam nieśmiało.

– Dostaniesz więcej, jak się spiszesz.

– A... na pewno masz więcej? Może tylko tak się chwalisz? – Próbuję się figlarnie uśmiechnąć, ale z powodu stresu raczej mi nie wychodzi. Poza tym po wyjątkowo zaciętej minie Liama widzę, że droczenie się z nim mogę sobie darować. Jeszcze dobitniej podkreślają to jego ostro wypowiedziane słowa:

– Nie po to cię tu przywiozłem, żeby z tobą gadać. Bierz działkę i tańcz, kurwa. – Mężczyzna wstaje z łóżka. Podchodzi do mnie i dłońmi zasłania mi usta. Przegub drugiej dłoni podsuwa mi pod nos i zmusza tym samym, abym wciągnęła biały proszek.

Za nic w świecie nie chcę przyjąć narkotyku, ale muszę oddychać. Co gorsze, po dłuższym wstrzymaniu oddechu, obecnie przez dziurki nosa powietrze zasysam wyjątkowo silnie, a wraz z nim heroinę.

Przerażona swym czynem we własnym mniemaniu właśnie kasuję bilet do samego piekła. O dziwo dla mnie okazuje się, że zamiast do piekielnej czeluści trafiam błyskawicznie do nieba, bo nagle dostaję niesamowitych, anielskich skrzydeł.

– Kurwa! – Wraz ze świdrowaniem w nozdrzach czuję w sobie potężne doładowanie mocy. Raptem jestem niczym sam archanioł Gabriel z płonącym mieczem. Odbieram siebie wręcz jako wszechmocnego Boga, który może wszystko. Poza tym jestem taka szczęśliwa!

W stanie nieznaney mi dotąd euforii już z własnej inicjatywy zaczynam w wyuzdany sposób tańczyć. Na pewno nie sprawiam już wrażenia cnotliwej, nieśmiałej dziewczyny.

Coraz mocniej kołyszę biodrami, zupełnie jak poruszana przez morskie fale. Coraz silniej pląsam i podskakuję niczym boja na wzburzonym oceanie. Wyginam się w lubieżny sposób, jak zwykły czynić tancerki w Płonącym Aniele i staram się naśladować ich ruchy.

We własnym mniemaniu jestem istną prima baleriną. Inne zapatrywanie ma chyba na moje popisy Liam, bo w pewnym momencie znów podtyka mi pod nos białą kreskę:

– Weź więcej. Tańcz lepiej – rozkazuje.

Będąc na haju i już siebie zupełnie nie kontrolując, tym razem bez oporów przyjmuję drugą działkę towaru. Do tego wciśnięta zostaje mi do ręki butelka, z której biorę duży haust ostrego alkoholu.

Odtąd czuję się wręcz przeszczęśliwa, ale tylko urywkami, gdy nie rwie mi się świadomość, bo coraz słabiej kontaktuję. Rejestruję chwile, kiedy to tańczę samotnie, to z kimś, wstaję, to się przewracam. Widzę siebie taką, jaką tu przyszłam, to w niekompletnym ubraniu.

Mieszanka przyjętego alkoholu i narkotyków sprawia, że nie wiem, jak się nazywam ani kim, czy raczej czym, jestem. Mój zwichrowany umysł płata mi figle. Dostrzegam w akwarystycznym otoczeniu karykaturalne obrazy, słyszę nienaturalne dźwięki. Nie potrafię też stwierdzić, jaki dokładnie jest finał mojego narkotykowego uniesienia, ponieważ w końcu całkiem urywa mi się kolorowy film.

X. Tarot - Dziesięciu Pucharów

Karta tarota Dziesięciu Pucharów stanowi z reguły dobry omen. Czasem może jednak świadczyć o pogoni za rzeczami nierealnymi, które są poza naszym zasięgiem. W pozycji prostej tej karty mamy do czynienia z bezpieczeństwem emocjonalnym i poczuciem spełnienia. Pozycja odwrócona ukazuje życie przepełnione złudnymi ideami, z powodu których doznaje się ciągłej frustracji.

*

Pobudka po narkotycznym śnie jest dla mnie niemałym szokiem. Nawet przez myśl by mi bowiem wcześniej nie przeszło, że zamiłowanie Liama do akwarystyki może skutkować tym, że obudzę się w wielkim... akwarium.

Znajduje się ono w nieznanym mi pomieszczeniu, do którego musiałam zostać przeniesiona, i jest po prostu olbrzymie. Wewnątrz mieszczą się pewnie tysiące galonów wody. Pływają w niej różnorodne ryby, a nie brak też roślinności w postaci wodorostów.

Osobiście spoczywam na wysepce ze złocistego piasku. Jestem naga, wyczerpana, ale też moją obecną sytuacją przerażona. Oto zdaje sobie sprawę, że zostałam tu uwięziona.

– Ratunku... – popiskuję, by zaraz już wniebogłoso wrzeszczeć: – Ratunku, pomocy!

Niestety moje krzyki rozpaczają się daremnie. Wspominam, że dom Liama jest zupełnie na uboczu. Ponadto, jak ostatnia idiotka, za którą się teraz uznaję, nikomu nie zdradziłam, gdzie zamierzam się udać. Nawet Liliany nie wtajemniczyłam dokładnie w moje plany, które właśnie oceniam jako żałośnie głupie. Trudno jednak inaczej spojrzeć na moje poczynania, skoro zaprowadziły mnie prosto do przyjęcia narkotyków oraz do wnętrza... akwarium.

– Kurwa... – szepczę do siebie załamana własną naiwnością.

Nagle wszystkie moje plany szlachetnego niesienia pomocy ukochanemu jawią mi się, jako kompletnie nierealne. Postrzegam je teraz, jako marzenia ściętej głowy. W to miejsce wszystko, czego pragnę, to znów zaznać poczucia bezpieczeństwa, które zostało mi brutalnie odebrane. Próbuję też lepiej rozeznać się w przestrzeni, gdzie w ogóle nie powinno mnie być.

Jak na kraty więzienia spoglądam na przezroczyste ściany akwarium, które sięgają aż do sufitu. Ich szkło wydaje się bardzo grube, a jedyne wyjście, jakie zauważam, to zamknięte, szklane drzwiczki w moim więzieniu.

Przenoszę spojrzenie na wodę. Jej głębokość oceniam na około pięciu stóp. Ale bardziej interesuje mnie w tej chwili jej smak, ponieważ mnie suszy.

Nabieram w dłonie trochę cieczy i piję. W moim mniemaniu smakuje normalnie, więc tego płynu sobie nie żałuję.

Potem siedzę, czekam, czekam i... czekam.

Po nie wiem jak długim czasie coraz bardziej łakomie wpatruję się w pływające ryby. Szczególnie wpada mi w oko taka tłusta o karmazynowym kolorze. Nie bez powodu zresztą:

– Mam cię! – Gwałtownym wymachem dłoni udaje mi się wyrzucić moją ofiarę na brzeg.

Czując w sobie narastający głód, zastanawiam się, jak najlepiej dobrać się do jeszcze żywego sushi.

Ostatecznie jednak górę bierze we mnie obrzydzenie, a może jeszcze bardziej litość. Jakoś nie mam serca zabić bezbronnej ryby. W rezultacie zde gustowana swoim połowem, a jeszcze bardziej własnym losem, oddaję żywe stworzenie z powrotem wodzie. Następnie zasiadam w kucki, obejmuję ramionami kolana i użalając się nad sobą, pochlipuję.

Moje słone łzy zasilają słodką wodę w akwarium tak długo, aż słyszę przybliżającą się do mnie, męską rozmowę. Jak na komendę przestaję płakać i jak króliczek bacznie nastawiam uszy.

Za chwilę witam w pomieszczeniu parę mężczyzn. Jednym z nich jest znany mi już Liam, a drugim nieznany mi ciemnoskóry osobnik nazywany przez gospodarza domu Jacob. Ci faceci, jakby nigdy nic, swobodnie między sobą na mój temat rozmawiają:

– Nazywa się Amelia, tak? – pyta zaciekawiony Jakob.

– Jakoś tak się przedstawiła – potwierdza Liam.

– I dobra jest w solo tango?

– Całkiem niezła, jak jest na haju.

– Wzięła w żyłę czy coś wciągnęła?

– Dostała krótką, cienką kreskę. Właściwie to dwie.

– Tylko tańczyła, czy jeszcze ją zaliczyłeś?

– Zaliczyć jeszcze nie dałem rady, bo przed wieczorem miałem inne panienki.

– A skąd ją właściwie wzięłeś?

– Sama przylazła. Znasz takie, jak ona.

– Zwykła suka na głodzie?

– Raczej tak.

– To może zostanie z nami na dłużej?

– Po to właśnie ją wrzuciłem do akwarium.

– Słusznie, Liam, dobra decyzja. Z tego co mówisz i tak jak sobie na nią patrzę, to szykuje się niezła zabawa. – Wyszczierzony Jacob klepie kompana po plecach, po czym prześmiewczo zwraca się do mnie:

– Hej, nimfo wodna, rybeńko, syrenko! Pokażesz nam swoje gąbki morskie? A pokażesz różową muszelkę?!

Osobiście na piaskowej wysepce siedzę ze skrzyżowanymi nogami i jedną ręką zasłaniam krocze, a drugą piersi. W tej pozycji zamierzam pozostać i moim porywaczom niczego pożądanego przez nich nie pokazywać.

Poza tym, biorąc pod uwagę mój status więźnia, być może powinien obecnie przeważać we mnie strach. Cała ta sytuacja wydaje mi się jednak nagle tak nierealna, tak surrealistyczna, że tylko głupkowato się uśmiecham.

Uzmysławiam też sobie, że ciągle posiadam niezaprzeczalny atut, który może skutkować moim szybkim uwolnieniem i którego przez to aż szkoda nie wykorzystać. Zatem robię to, co w tych okolicznościach po prostu muszę zrobić. Mianowicie demaskuję przed porywaczami swoją osobę:

– Słuchajcie! – oświadczam w opanowany sposób.

– O, to rybca cipcia umie mówić! – cieszy się Jacob.

– To jej wada. Jak nie jest na haju, za dużo gada. – Dla kontrastu pomrukuje posepnie Liam.

Ja nie zwracam uwagi na te nic nieznaczące dla mnie wzmianki na mój temat, tylko mówię swoje:

– Nie nazywam się żadna Amelia. To była z mojej strony ściema. Moje prawdziwe imię i nazwisko to Angelina Evans. Jestem aniołkiem... aniołkiem Mike'a Damona.

Tym wyznaniem skutecznie przykuwam uwagę mężczyzn. O ile jednak Jacob nadal pozostaje we frywolnym nastroju, to Liam śmiertelnie poważnieje. Mruży ślepią, zupełnie jak wilk wyostrający spojrzenie po namierzeniu ofiary i do mnie chrypi:

– To niby stamtąd cię kojarzę? Z... tronu w Płonącym Aniele?

– Właśnie tak! – potwierdzam z entuzjazmem.

– Kto to jest ten... Damonek? – rechoce ciemnoskóry facet.

– Zamknij się – gasi go ponury typ o jasnej karnacji. Spogląda na mnie z coraz większym niesmakiem, po czym telefonem robi mi zdjęcie. – Fotka poszła do Alexa. Jak potwierdzi, że jesteś dziewczyną Mike’a, to cię wypuszcze. Jak zaprzeczy, to za te zgrywy, dziwko, nakarmię tobą moje piranie.

Po zawziętej minie Liama wnioskuje, że jego groźba jest szczerą. Nastaje przez to dla mnie przykry okres oczekiwania. Oto o moim życiu ma zdecydować morderca, który już chciał mnie zabić. Liczę, że nie skorzysta ze sposobności, a w podzięce za to, iż sama go już kiedyś uratowałam, się za mną wstawi.

W tym momencie błogosławię tamten straszny dla mnie dzień, gdy moje istnienie znalazło się na szali. Może się bowiem okazać, że moja ówczesna dobroć mnie samą teraz ocali.

Raptem przesywa mnie dreszcz wraz z dzwonkiem w telefonie, który obwieszcza nadejście wiadomości tekstowej.

Liam patrzy na smartfon i uśmiecha się drwiąco. Nie podoba mi się ten jego uśmieszek. Następnie właściciel telefonu dzwoni:

– Alex? Słuchaj... Jesteś pewien, że to ona? Spokojnie, nie twierdzą, że jesteś ślepy. Ale powiedz tylko... Nie mogę jej zatrzymać? Przecież Mike jest skończony. Każdy to wie. A ciebie w sumie też zapraszam na tarło do naszej nowej rybeńki. Wystarczy jej dla wszystkich. Do tego pogadamy, popijemy. Że co, spalisz mnie? Zajebiesz, jak jej nie wypuszczę? Pierdol się, koleś!

Liam kończy połączenie. Obnaża gniewnie kły i nerwowo patrzy na Jacoba. Ten rozumie już powagę sytuacji, przez co się więcej nie szczerzy.

– Co ty odpierdalałaś z tą całą... Amelią, kurwa? – powarkuje do mnie były gangster. Widzę po nim, że wobec twardego stanowiska Alexa chyba kapituluje: – Nie mogłaś od razu powiedzieć, kim jesteś? Dostałabyś działkę za ekstra cenę i wszyscy byliby szczęśliwi. A tak... – Liam przenosi spojrzenie na kompana i żałośnie kwili: – Alex powiedział, że za wrzucenie do akwarium tej dziwki spali mi chałupę...

– Kto to jest Alex? – pyta coraz bardziej przejęty Jacob.

– Alex to psychol. On nie gada, byle gadać. To co mówi, zwyczajnie robi.

– O kurwa... To żeśmy się z nią wjebali.

– Cisza! – pokrzykuję jak kapitan na statku do zastrachanych sztormową pogodą majtków. Ich lęk biorę za dobry omen, co pozwala mi z siłą w głosie przemówić: – Jak będziecie grzeczni i zrobicie to, co chcę, to pogadam z Alexem i niczego wam nie spali.

– To czego ty chcesz? – chrypi Liam.

– Przede wszystkim macie mnie wypuścić.

- No jasne.

- Poza tym... pokażcie mi całą heroinę, jaką macie. Nie mówię, że kupię od was wszystko, ale może tak. Na początek chcę ocenić towar.

- Mamy umowę.

Triumfuję! Oto nie dość, że zostanę oswobodzona, to przekonam się, że to obmierzły cham Liam jest podłym złodziejem dragów. Wtedy pewnie zmienię zdanie i każę Alexowi tę przeklętą budę z akwariami spalić! W tej materii spotyka mnie jednak srogie rozczarowanie:

- Co tak... skromnie? - Po wyjściu z akwarium, i wcześniejszym otrzymaniu białego szlafroka, patrzę na rozłożone przede mną szklane pojemniki z białym proszkiem. Szacuję, że w sumie uzbiera się tego może pół funta, nie więcej. Po prostu dramat.

- Tyle uratowałem przed nalotem przez federalnych na fabrykę - wtrąca na swoje usprawiedliwienie Liam

Patrzę na niego wręcz rozgoryczona i w jego domu wypowiadam już tylko jedno zdanie:

- Zamów mi, i opłać, taksówkę, koleś.

*

Kolejnego dnia jestem w szkole, ale dobrego humoru bynajmniej nie odzyskuję. Na przerwie między lekcjami podpieram ścianę na szkolnym korytarzu i ze swojej strony prowadzę smętną rozmowę z Lilianą. Ona przejawia zdecydowanie większą niż ja żywotność i z podziwem mówi:

- Ale super. Normalnie ci zazdrozczę. Nawalili cię prochami i wrzucili do akwarium. Nie powiem, ci goście mają fantazję!

- Gorzej, że nie mają dość prochów. To znaczy, na pewno mają, tylko mi nie pokazali.

- Co przez to rozumiesz?

- Tyle że to na bank Liam jest złodziejem i kłamał, że nie ma więcej towaru.

- Kłamał, bo nie przypadł ci do gustu jego numerek z akwarium i chciał tobą nakarmić piranie?

- No... tak - stwierdzam bez przekonania, zdając sobie sprawę z miałkości moich oskarżeń. Ogólnie jestem już zrezygnowana. Co innego Carterówna, która ucieszenie świergocze:

- Nic się nie martw. Został ci do zaliczenia już tylko Olivier. Ciekawe czy on się nie okaże złodziejem i ciekawe, czy też będzie chciał cię bzyknąć?

– Może sama dasz mu się bzyknąć? – rzucam z wyrzutem.

– Nic z tego. Ja od bzykania mam swojego ośła Cadena.

– Ja za to mam już... dość. Serdecznie dość – oświadczam zamierającym głosem.

– Co znaczy, że masz dość? Czego niby masz dość?

– Tego... wszystkiego. – Czynię zamaszysty ruch ręką, po czym pretensjonalnie wyliczam: – Nie trawię już tych głupich randek, z których nie wynika dla mnie nic dobrego, a nieraz sporo ryzykuję. Nie chcę już takich chorych akcji, jak zamykania mnie w akwarium. Nie chcę też złudnych nadziei, że zakocha się we mnie taki przyzwoity facet jak Zion. Dość mam już próżnej wiary, że znajdę ukradzioną heroinę i pomogę Damonowi. Dość mam już cholernych... rozczarowań. Dość.

– To czego ty właściwie chcesz, Angelina? – Liliana śledzi wzrokiem zbliżającego się do nas Cadena i oblizaną dłonią poprawia sobie rudą grzywkę. Ja zaś, z nutą smutku w głosie, odpowiadam nie tylko przyjaciółce, ale też samej sobie:

– Pragnę spokoju, spełnienia i poczucia... bezpieczeństwa. Chcę dla siebie ułożonego, dobrego życia. Każdy na to zasługuje, ja również.

– E... tam. – Carterówna macha niedbale ręką, lekceważąc moje słowa. – Wiesz, czego moim zdaniem tak naprawdę ci trzeba, abyś odżyła? – pyta z wyższością. Ja uniżenie dopytuję:

– No niby czego...?

– Chłopa ci trzeba! – wypala ucieszenie Liliana. – Zwyczajnie trzeba ci faceta. Ale tak wiesz, do końca. Czyli jednak powinnaś się z kimś dobrze pobzykać.

Osoba, która właśnie przedstawiła mi swoją prawdę objawioną i receptę na życiowe szczęście, odchodzi w towarzystwie własnego chłopaka. Tym samym pozostaję sama, co naprawdę coraz bardziej mnie już uwiera.

Zmarkotniała daruję sobie ostatnią lekcję. Obieram kierunek na szkolny parking, a potem pieszo idę do domu.

Po drodze patrzę na przemierzane przeze mnie miasto. Sama już nie wiem, co o nim myśleć. Jest ono moim Edenem, gdzie znowu mogłabym odnaleźć miłość, łącząc się z ukochanym? Czy może ta miejscina, to raczej coś jak więzące mnie akwarium? Miotam się tu, jak ryba złapana na haczyk tęsknot, z których nie mogę się wyzwolić. Nie zauważam również tego, że poza ścianami mojego więzienia mogłabym zapewne odnaleźć wolność.

Myśląc o niej, spoglądam z nadzieją w bezchmurne niebo. Koję się złocistymi promieniami słońca, które ku pokrzepieniu serca i duszy są mi szczerze prezentowane. Tchnie to we mnie wiarę, że gdzieś musi istnieć dla mnie bezpieczna przystań i aby do niej zawinąć, być może wypada już wyruszyć w nowy rejs.

Ale, ale, cóż za niespodzianka. Czyżbym czekający na mnie już okręt, i kapitana, spotkała właśnie przed moim domem?

Zaskoczona rozpoznaję terenowy wóz Marka Mansona. Na mój widok wychodzi on z samochodu i macha mi przed nosem jakąś kartką. Uśmiecham się przymilnie, wspominając nasze ostatnie spotkanie tak przesycone erotyzmem. Ale mój uśmiech błyskawicznie niknie, gdy słyszę gaszące mój rozpalający się entuzjazm słowa:

– Koniec gierek. To sądowy nakaz przeszukania pani pokoju. Ze względu na to, że panią szanuję, postanowiłem na panią poczekać, aby nie wystraszyć policję domowników. Liczę też, że stanie pani na wysokości zadania i całą sprawę załatwimy bez zbędnych emocji.

– Zapraszam... tylnym wejściem. – Kompletnie zmarnowana prowadzę agenta na zaplecze domu.

W miarę stawianych kroków już nie myślę o mojej zgryzocie związanej z trawiącą mnie samotnością. Mam w tej chwili nowe, potencjalne problemy. Dlatego coraz bardziej gorączkowo się zastanawiam, czy mam w swoim pokoju coś do ukrycia? Dochodzę do wniosku, że chyba nie.

Zatem dumam, czym uzasadnię przed państwem Nelson to, że przyprawdzam do siebie obcego faceta, jeśli go zauważy? Do czegoś takiego bowiem jeszcze się tutaj nie posunęłam od czasu nakrycia mnie z Damonem w niedwuznacznej sytuacji. Przez to nie wiem, jak teraz byłoby to przyjęte.

Ku mej wielkiej uldze moje wujostwo akurat ogląda w salonie serial. Dzięki temu na piętro udaje mi się wprowadzić agenta dyskretnie.

Pokazuję mu mój pokój, który pod względem wystroju od dawna nic się nie zmienił, przez co ciągle pełen jest dewocjonaliów. Następnie możliwie opanowanym głosem mówię:

– Nie powiem, aby czuł się pan tu jak u siebie, bo nie sądzę, by miał pan we własnym domu podobną kolekcję świętych obrazów. Ale proszę... Nie mam tu nic do ukrycia. Może się pan swobodnie rozejrzeć.

– Dziękuję. Szczególnie za wyrozumiałość. – Mężczyzna wymija mnie w progu. Zakłada na dłonie białe rękawiczki, po czym beczelnie myszkuje po moim lokum.

Czuję się wyjątkowo niezręcznie, gdy spogląda na święte obrazy, a w międzyczasie przegrzebuje moją skąpą i prześwitującą bieliznę, którą mam od Mike'a.

W pewnym momencie w jego ręku gości wibrator. Wtedy wstydliwie rzucam:

– Dostałam to na dziewiętnaste urodziny od koleżanki. Ale nie używałam.

Manson włącza brzęczące urządzenie i spogląda na moje krocze. Nie powinnam już nic na ten temat mówić, ale mi się wymyka:

- No dobra. Może raz użyłam... Tak z ciekawości. - Oblewam się pąsowym rumieńcem.
- Wciąż ma pani problem z mówieniem pełnej prawdy. Szkoda - zauważa krytycznie agent. Trzyma w ręku erotyczny gadżet, patrzy na obraz przedstawiający promieniste oko w trójkącie i z dezaprobatą kręci głową.

Robię się całkiem zażenowana. Zdaję sobie sprawę, że wychodzę już nie tylko na ostatnią dewotkę, ale jeszcze bardziej na hipokrytkę. Ta uwłaczająca mej godności łaska bardzo mi się nie podoba, zupełnie jak paskudna naszywka na markowych ciuchach. Dlatego, by zachować dla siebie resztki szacunku, przyjmuję dumną pozę i odważnie proponuję:

- Jeżeli ciągle tak interesuje pana moje życie seksualne, to śmiało, proszę. Niech pan pyta. Pyta o cokolwiek.

Manson mierzy mnie uważnym spojrzeniem. Podchodzi do mnie i z najbliższej odległości oświadcza:

- Bardzo chętnie usłyszę od pani prawdę na jakikolwiek temat. Może wtedy doceni pani jej smak i dostanę wreszcie coś szczerego także w kwestii mojego śledztwa.
- Szczerść... - To słowo wypowiadam nad wyraz kpiąco, w tej chwili nie wierząc w jego zbawczą siłę. Myślę sobie też jednak, że jeśli rzeczywiście miałyby być w tym słowie zaklęta jakaś moc doświadczenia katharsis to co mi tam zależy, spróbuję. W związku z tym, już nie szyderczo, mówię: - Prawda w pewnym temacie przedstawia się tak, że nie interesują mnie zabawy wibratorem. Podobnie straciłam ostatnio zainteresowanie świętymi obrazami. Za to bardzo, ale to bardzo, brakuje mi prawdziwego... mężczyzny. Takiego, który by mnie obronił i przy którym czułabym się bezpieczna.

Po moim wyznaniu, jak najbardziej szczerem, Manson dłużej mi się przygląda i zauważa:

- Na pani miejscu na temat Damona obrońcy bym już nie fantazjował. On jest skończony i sam potrzebuje obrońcy. Więc ma pani jakiegoś innego faceta na widoku?
- Być może.
- Proszę kontynuować mówienie prawdy. Doskonale pani idzie. Proszę tego nie zepsuć.

Wiem, że wbrew sugestiom agenta, wyznaniem, które mam na końcu języka, mogę wręcz wszystko w swoim życiu zepsuć. Ale też być może naprawić.

Nagle znajduję się między młotem, a kowadłem. Odnoszę wrażenie, że mam w ręku kartę, która w zależności od tego, którą stroną zostanie położona na stole, może oznaczać moje przyszłe niebo lub piekło, szczęście lub rozpacz, nic pomiędzy.

Od dylematów nie do zniesienia robi mi się słabo, wiruje w głowie. Coraz bardziej przestaję się kontrolować. Aż tracę nad sobą panowanie i prawdómównie wypowiadam znamienne zdanie:

– A gdybyś to był ty, Mark? Gdybyś to ty został moim nowym facetem, obrońcą?

Raptem zostaję rzucona na łóżko.

– Och! – krzyczę zarówno od nagłego podniecenia, jak i przestachu.

Kurczowo obejmuję za plecy mężczyznę, który kładzie się na mnie. Jeszcze niczego więcej on nie próbuje. Jedynie ostrym spojrzeniem spogląda mi w oczy, jakby pragnąc przeniknąć na wskroś moje intencje. Wydaje się szukać jakiejś luki, która podpowiedziała by mu, że ciągle w coś z nim pogrywam. Ale nie znajduje u mnie takiego, słabego punktu. Jestem teraz z nim na wskroś szczerą, a on, tak mocno i długo szkolony w tropieniu prawdy, widzi, że go nie okłamuję.

Efekt tego jest iście magnetyczny, bo mężczyzna mocniej przylega do mnie. Odgarnia mi z twarzy kosmyk złocistych włosów i przybliża własne usta do moich, szykując się do pocałunku.

Ja, w oczekiwaniu na przyzywane nowe szczęście, pozostaję bierna. Moja uprzednia inicjatywa kosztowała mnie bowiem ogrom psychicznych sił. Obecnie więc, będąc w nowych, męskich ramionach, czekam już tylko na zasłużoną dla siebie nagrodę.

Gdy wtem otwarte zostają drzwi pokoju. W progu staje Elizabeth i zszokowana przygląda się temu, jak leżę na pościeli z facetem. Moim uprzednim krzykiem, kiedy to rzucona zostałam na łóżko, zwabiony zostaje tu także Benjamin, który wygląda ponad ramieniem żony.

Nastaje chwila przedłużającej się konsternacji, dotykającej chyba wszystkich uczestników nowej sytuacji. Poza dojmującą niezręcznością w moim pokoju trwa także niezmqcona cisza.

Pośród niej Mark z wolna podźwiga się ze mnie i staje na podłodze. Względem moich krewnych nie próbuje żadnych wymówek, żadnych wybiegów. Wyłącznie co czyni, to kłania się z szacunkiem zszokowanym staruszkom. Wymija ich, po czym kieruje się na dół i wychodzi z domu.

Państwo Nelson po części idą w jego ślady. Także im oglądane wydarzenie odbiera jakby zdolność mowy. Milczący nie opuszczają jednak domostwa, a powracają do salonu.

Gdy w moim lokum odzyskuję prywatność, przebiega mi przez głowę myśl, że świat chyba oszalał, a ja razem z nim. Wszystko się pozmieniało i zapewne nic już nie będzie takie samo. O tym zaś, czy w nowym rozdaniu kart przez los rzeczywiście odnajdę dla siebie prawdziwe szczęście, zapewne się nader szybko przekonam.

XI. Tarot - Paź Pucharów

Karta tarota Paź Pucharów zapowiada nowe rozdanie w sferze emocjonalnej. W pozycji prostej może odnosić się do rozwoju uczuciowej relacji. W pozycji odwróconej karta ta sugeruje, że zaproszenie do związku jest raczej pomyłką, bo ma na celu uwodzenie dla innych celów niż miłość.

*

Zgodnie z moim przewidywaniem państwo Nelson nie znieśli zbyt dobrze widoku bezwstydnej nierządniczy, leżącej w łóżku z obcym mężczyzną. Moje usilne zapewnienia, domniemane życzenia czy też bezczelne kłamstwa, że mężczyzna ten zostanie moim mężem, a tak właściwie to jesteśmy już zaręczeni, na niewiele się zdały.

Bogu dzięki wyrobiłam sobie już taką pozycję u krewnych, że za moje grzechy nie wystawili mnie od razu za drzwi. Benjamin oświadczył, że daje mi kolejną już ostatnią szansę. Solennie zapowiedział, że jeszcze raz zobaczy w domu przyprowadzonego tu obcego faceta, a nałoży na mnie coś jak ekskomunikę, czyli zostaną definitywnie eksmitowana bez prawa powrotu.

Na taką łaskę mogę zaś liczyć tylko dlatego, że swego czasu zachowałam się przyzwoicie, bo w przeszłości, podczas pożaru, nie myślałam tylko o sobie, a zaalarmowałam krzykiem moje wujostwo. Obecnie państwo Nelson są jednak na moje krzyki szczególnie wyczuleni i to właśnie stąd ich szybka reakcja oraz niespodziewane pojawienie się w moim pokoju o najbardziej przeze mnie niepożądanym czasie.

Tak czy inaczej werdykt krewnych przyjmuję z pokorą. Ale nie powiem, że z jakąś szczególną ulgą. Czuję bowiem, zupełnie jakbym wstępowała akurat na nową drogę życia. W związku z tym nie mam w sobie wzmożonej potrzeby trzymania się tego co stare. Przekonuję samą siebie, że być może z własnej woli powinnam już opuścić pielesze dalekiej rodziny, u której mieszkam. Z jednej strony nie gorszyłabym już krewnych swoim zachowaniem, a z drugiej uzyskałabym coraz cenniejszą dla mnie wolność.

Chociaż, tak prawdę powiedziawszy, to w moich kalkulacjach jest jeszcze jakby trzecia strona. Tyczy się ona przełomu w relacji z Markiem Mansonem, przez którego być może właśnie pragnęłabym zostać zniewolona. Mógłby mnie nawet więzić w swym domu, w którym bym zamieszkała. Tym samym całkiem już porzuciłabym mój dawny świat i wkroczyła do nowego.

Czy jednak mogę rzeczywiście liczyć na to, że coraz bliższy mi agent zainteresuje się mną na tyle, aby związać ze mną swój los? Chciałabym, ale raczej nie mogę jeszcze wysnuwać tak dalece idących wniosków. Przecież kilka niewinnych flirtów raczej niczego nie przesądza. Lecz wewnątrz czuję, że ta relacja nie rozejdzie się tak zwyczajnie po kościach, a pisane jest jej coś więcej.

Żeby nie pozostać w tym temacie bierną i samej nakierować los na pożądane przeze mnie tory, wreszcie podejmuję śmiałą decyzję, która już od pewnego czasu nade mną wisiała. Mianowicie postanawiam stać się godną nowego mężczyzny. Przez to nawet nie ma już mowy o tym, abym, jak dotąd, była podporządkowana dyktatowi kapitana miejscowej drużyny futbolowej.

– Hej, Angelina. – Carterówna zaczepia mnie na szkolnym korytarzu. Przygląda mi się ze wzmożoną uwagą, zupełnie jakby pierwszy raz widziała mnie na oczy i głupkowato pyta: – A gdzie się podziała twoja zajefajna koszulka z super numerem i jeszcze bardziej superanckim napisem rezerwowa?

– Spaliłam ją i na jej miejsce założyłam coś nowego, nowiuteńkiego, godnego mnie. – Dumnie wypinam biust okryty nieskazitelnie białym materiałem pięknej sukni, bez żadnych uwłaczających mi czerwonych cyfr, czy napisów. – W moim życiu dokonałam obecnie wielu zmian. Zmian na lepsze – zaznaczam wyniosłe, chełpiąc się moją nową prezencją w szkole, a właściwie to powracając do starej, czysto anielskiej.

– Zawarłaś z Lucasem jakiś nowy... układ? Stąd ta twoja zmiana? – zaciekawia się Liliana.

– Jednostronnie zerwałam stary układzik, bo mi już wadził. – Uśmiecham się ni to anielsko ni demonicznie.

Moja przyjaciółka niefrasobliwie drapie się po głowie, rozgarniając na boki rude pasemka, aż odkrywczco stwierdza:

– Coś tam wspominałaś, że masz już... dość. Ale ty chyba naprawdę masz... dość. Czyli odpuszczasz ratowanie gangu Demonów?

– Jego nie da się uratować! – rzucam z wyrzutem. – Każdy powtarza, że Mike jest już skończony. Każdy to mówi. Każdy! Postanowiłam więc ułożyć sobie życie na nowo już bez... bez. – Dopowiedzenie zdania na temat porzucenia Mike'a nie może mi przejść przez gardło. Mimo że w myślach zdążyłam już trzykrotnie wyrzec się Damona dla Marka, to w ten sposób całkiem nie wygoniłam go z serca. To tak nie działa. Dlatego nagle szklą mi się oczy. Ale moje łzy nie będą miały wpływu na zmianę mojej decyzji. Tak już postanowiłam. Liliana zaś rozczarowana kwili:

– Cholera... Już się normalnie napaliłam na ten Meksyk i nawet nauczyłam się trochę latynoskich słówek. No i zapowiedziałam u siebie na jutro imprezę, na którą zaprosiłam Oliviera, abyś mogła go u mnie przesłuchać. Imprezy już raczej nie odwołam. To... wpadniesz przynajmniej?

– Może i wpadnę – mówię z dobroci serca na otarcie łez rozczarowanej przyjaciółki.

– No... dobra. To znaczy, kurwa, beznadzieja! – pokrzykuje gniewnie Carterówna, dając upust swemu już nawet nie rozczarowaniu, a rozgoryczeniu. Wobec takiej jej reakcji nie pozostaję jej dłużna i także podnoszę głos:

– Czyli co, zabawniejsza byłam dla ciebie, jak z każdym, na lewo i prawo, randkowałam, tak? Miałaś z tego radochę i chciałybyś, aby taki stan pozostał?!

– No podobało mi się. To był ogień! – szczerzy się płomienna z urody dziewczyna. Ja ją bezwzględnie gaszę:

– Ten ogień wyuzdania wygasł we mnie na dobre. Nie ma go, koniec. Zostały już tylko zgliszczka, popioły. Rozumiesz?!

– Ja tu czegoś... nie rozumiem – mówi zdziwiona Sandra. Pochłonięta dyskusją z Lilianą nawet nie zauważyłam, jak ta ciężarna chilriderka się do mnie zdradliwie podkradła.

Teraz obcina mnie pełnym niesmaku wzrokiem, spoglądając wielce krytycznie na moje nowe ubranie. Aż zmanierowanym tonem, niczym sama udzielna księżna na tronie, łaskawie oświadcza:

– Będzie cię czekać rozmowa wychowawcza z Lucasem, ty... rezerwowa. Będzie cię też czekać stosowna... kara.

– A idź ty w cholerę! Możesz sobie iść na skargę nawet do samego papieża. Ja za to, jakby co, mogę iść do agenta federalnego. To mój nowy chłopak, któremu twój na pewno nie podskoczy!

– Po ostrzejszej wymianie zdań z Lilianą nie zdążyłam ostygnąć i właśnie jestem w pełnym natarciu. Jak najbardziej skutecznym, bo moje asertywne zachowanie, poparte groźbą, skutkuje tym, że Sandra obronnie obejmuje swój wypukły brzuch i cofa się o krok. Za chwilę już jej tu w ogóle nie ma.

– W mordę... ale jej przygadałaś. Prawie na korytarzu poroniła. No nie poznaję cię, Angelina.

– Carterówna przygląda mi się z bojaźnią i podziwem jak samemu aniołowi zniszczenia. Następnie podejrzliwie zagaja: – Ale, ale... to kto teraz niby jest twoim nowym chłopakiem? Czy ja aby dobrze słyszałam?

– Związałam się z Markiem Mansonem – odpowiadam warkliwie.

– Rety... – Dłoń mojej przyjaciółki z płaskiem ląduje na jej piegowatej twarzy. – To kiedy... ślub?

– Najpierw muszą być... zaręczyny. – Wyznając tę prawdę, piekę na policzkach raka. Do mojej świadomości wstydliwie przebija się bowiem taka prawda, że na obecnym etapie głębia mojej relacji z agentem federalnym jest właściwie prawie żadna.

Siostra Alexa dalej coś do mnie nawija, coś komentuje z sarkazmem. Ja jednak już jej nie słucham. W to miejsce usilnie zastanawiam się, jak mogę szybko i skutecznie wzmocnić relację z facetem, którego pragnę mieć teraz na piedestale.

Wychodzi mi na to, że z mojej strony idealnym prezentem, może jeszcze nie ślubnym i nie zaręczynowym, ale mimo wszystko, byłoby wypowiedzenie się ze wszystkiego, co wiem na temat gangu Demonów.

Łapię się na tym, że wszystkiego nie mogę powiedzieć, aby nie pogrążyć też samej siebie i wielu moich znajomych. Najbardziej zaś ucierpiałby na moich szczerych zeznaniach Mike.

Lecz coś istotnego muszę Markowi dać, jeśli pragnę wkupić się w jego łaski. Nie mam innego wyboru. Z tego powodu po szkole stawiam się na posterunku policji.

W tym złowrogim dla mnie miejscu z mojej odwagi i determinacji niewiele pozostaje. Coś jak ubrań na striptizerce po ukończonym już przez nią pokazie.

W umyśle przeprowadzam naprędce symulację, wizualizując siebie, jako kapuchę. W wyobraźni podziwiam swoją osobę, jak załamuje mi się judaszowy głos, a potem duszę się swymi wyznaniem na śmierć.

Świadomość, że w budynku, w którym przebywam, jest więziony Mike, już całkiem podcina mi konfidenckie skrzydła. W rezultacie, kiedy podchodzi do mnie na policyjnym korytarzu Manson, jestem kompletnie rozkojarzona:

– Witaj... – szepczę potulnie.

– Co tutaj robisz? – Znajomy brunet przygląda mi się z uwagą. Ja okręcam na palcu pasemko włosów, krzyżuję niewinnie nóżki i równie niewinnie mówię:

– Przechodziłam akurat w pobliżu i pomyślałam, że może... wpadnę.

– Do pokoju przesłuchań, aby wyznać prawdę?

– Do ciebie... Mark. Przyszłam tutaj do i dla... ciebie. – Zaborczo wyciągam rękę ku mężczyźnie. On robi zdecydowany krok w tył i ściszym głosem mnie karci:

– Nie tutaj.

– Przepraszam... – kajam się.

– Na pewno nie dasz się namówić na zeznanie?

– Jeszcze... nie. – Smutno pochylam głowę. Zaraz ją podnoszę i z nadzieją w głosie dodaję: – Ale już niedługo, Mark. Muszę jeszcze tylko zebrać w sobie trochę odwagi...

– To ją zbieraj, powodzenia.

– Kiedy... najlepiej wychodzi mi to przy tobie.

– Co ty nie powiesz? – Agent, który jest wobec mnie dość szorstki, ogląda mnie sobie caluteńką. Dłuższą chwilę się zastanawia, aż proponuje:

– Co powiesz na wspólną kolację dziś wieczorem?

– Och... Mark.

- Czyli się zgadzasz.
- No pewnie...
- To jesteśmy umówieni. A teraz już zmykaj. Ja tu pracuję.
- Dobrze i... będę czekać z utęsknieniem na kolację, Mark.

Jestem uszczęśliwiona, bo w sumie dostaję to, po co tu przyszłam. Zanim wyjdę z posterunku, mocno kręcąc pupą, kieruję się jeszcze do toalety. Z kolei zanim tam dotrę, na korytarzu słyszę jeszcze gorączkowo wypowiedane, choć nie do mnie, słowa Mansona:

- Masz sądowy nakaz przeszukania tej chałupy z akwariami!? Wspaniałe wieści, Frank. Daj mi pięć... trzy minuty. Zaraz tam jedziemy!

Będąc już w toalecie, stoję przed lustrem i swój wygląd poddaję wnikliwej analizie. Zastanawiam się przy tym, jak postrzega moją prezencję Mark. Wyglądam dla niego, tak jak dla Mike'a, niczym anioł? Mam chyba solidne podstawy sądzić, że właśnie tak – podziwiam nieskazitelny wizerunek blond dziewczęcia w bieli.

Następnie zdejmuję ramiączka swej sukni i odpinam stanik, by ocenić swoją półnogą prezencję. Czy bez ubrania okazałabym się dla Marka równie anielska i atrakcyjna, co dla Damona? – dumam.

Ponadto na myśl o pełnym zbliżeniu z nowym mężczyzną odczuwam w sobie wybuchową mieszaninę pożądania i wstydu. Nagle wewnętrznie płonę i to coraz bardziej. Co więcej nie widzę dla siebie większych szans, aby choć trochę ugasić we mnie ten wzrastający ogień.

Wkrótce ciągle gorąca, podniecona, i nadal zawstydzona, a także w ponownie skompletowanym ubraniu, wychodzę na skwierczące od słońca ulice miasta Crestone.

Zmierzając w kierunku swojego domu, fantazjuję na temat wieczornej kolacji. Snuję przypuszczenia, że wtedy mój Mark niewątpliwie pokaże się ze swojej najlepszej strony i mnie sobą już całkiem zauroczy. Zdecydowanie oczekuję od tego mężczyzny, że stanie się dla mnie nie demonem, a raczej wybawieniem z demonicznych kłopotów. Na zawsze stanie się moją opoką i prawdziwym obrońcą, jak również niezrównanie płomiennym kochankiem.

*

Będąc już w domu, późnym popołudniem nieustannie myślę o Marku. Czekam na romantyczną z nim randkę. Wręcz przyzywam ją w myślach, aby, niczym cudowny prezent, nadeszła jak najszybciej.

Mężczyzna, który mnie na nią zaprosił, spóźnia się pół godziny. Nie robię mu jednak z tego tytułu żadnych wyrzutów. Wspominam, że dużo i ciężko pracuje. Tym też wyrozumiale brak punktualności Marka usprawiedliwiam.

Zabiera mnie on do bardzo przyzwoitej, czterogwiazdkowej restauracji o nazwie La Caverna. Zasiadamy przy zarezerwowanym stoliku obok szumiącej fontanny i składamy u kelnera zamówienie. W oczekiwaniu na dania raczymy się białym winem i kulturalnie dyskutujemy:

– Jak ci się podoba w Crestone? – zapytuję, wodząc zwieńczeniem kieliszka po dolnej wardze. Mark trzyma swoje naczynie do picia w powietrzu i mocno wychylony na krześle leniwie stwierdza:

– Miasto jak miasto. Nie za duże, nie za małe. Znam takich mnóstwo.

– Gdzie masz swój własny dom?

– Daleko stąd. Ale nie mieszkam w nim wiele. Właściwie to prawie wcale.

– Dużo pracujesz w terenie – zauważam.

– Zgadza się. – Mężczyzna bierze łyk trunku. Ja więcej bawię się kieliszkiem przy ustach, niż rzeczywiście piję. Bardziej niż wino interesuje mnie mój rozmówca, dlatego dalej go zagaduję:

– Czasem masz jednak wolne od pracy.

– Fakt, każdy czasem ma.

– To gdzie wtedy siedzisz w domu? Jakie to miasto?

– Mieścina w Wirginii. Nie ma o czym gadać.

– A masz tam z kim... gadać? – Przyszpilam Mansona ostrzejszym spojrzeniem. On odwzajemnił mi się tłumionym uśmiechem. Wyciąga ku mnie kieliszek i obojętnie rzuca:

– Mam w domu... przyjaciółkę.

– Kochankę czy... żonę? – zamieram. Agent z kolei przyjmuje minę pokerzysty i sztywno odpowiada:

– Mam kochankę.

– Macie... dzieci? – Moja dłoń obejmująca szklane naczynie zaczyna drżeć.

– Mamy trójkę naszych... pociech.

Słyszac to, tak silnie zaciskam palce na kieliszku, że prawie miażdżę szkło. Nie potrafię też utrzymać neutralnego wyrazu twarzy, która mi jakby obwisa, a w szczególności kąciki ust. Ponadto mi się wisielczo wymyka:

– No to pięknie... Moje gratulacje.

– Nie są potrzebne. Mam z przyjaciółką trójkę wrednych bachorów i powiem ci, że istne utrapienie z nimi.

– Jak to z dziećmi... – Rozglądam się po restauracji ozdobionej tropikalną roślinnością. Ostatecznie mój wzrok spoczywa na pobliskiej fontannie. Uznaję, że w jej wodzie mam chyba ochotę się utopić. Wtedy Mark niespodziewanie rzuca mi koło ratunkowe:

– Trójka naszych rozwydrzonych bachorów to Atos, Portos i Aramis. Moja przyjaciółka miała fantazję, aby nasze koty syjamskie nazwać imionami z powieści Trzej muszkietierowie.

– Żartujesz! – wybucham, a wręcz eksploduję, niekłamany entuzjazmem, bo nagle świat znów jest piękny i pełen żywych barw. Ja zaś cieszę się, że jestem niedoszłą topielicą, a nie taką prawdziwą. Mark natomiast na luzie kontynuuje:

– Nie żartuję, a te imiona nie wzięły się znikąd. Te kociaki od początku były zadziorne i pazurami cięły wszystko, zupełnie jak muszkietierowie szpadami.

– Zabawne!

– Nie do końca, kiedy każde moje spodnie od garnituru przerabiały na szorty.

– Zdrowie twoich Trzech muszkietierów ze... szpadami, to jest pazurami, a nie muszkietami... Przepraszam, wszystko mi się poplątało!

– Nic nie szkodzi. – Mark uśmiecha się naprawdę uroczo.

Widzę w nim dojrzałego mężczyznę, który potrafi prowadzić zabawną rozmowę i to na poziomie. No i ta jego prezencja w czarnym garniturze oraz białej koszuli. Kolejny raz utwierdzam się w przekonaniu, że znani mi gangsterzy z Crestone w ogóle nie mają do niego podejścia. Szykiem, inteligencją i elokwentnym językiem mógłby go pewnie pokonać jedynie Mike. O nim jednak nie chcę teraz myśleć. Za to co innego chodzi mi raptem po głowie:

– Skoro nie masz z przyjaciółką prawdziwych dzieci, chłopców i dziewczynek – pomrukuje. – I większość czasu... nie mieszkacie razem. To wasz związek jest chyba dość luźny?

– Można tak powiedzieć – przyznaje agent.

– Więc nie jest to żadna wielka miłość?

– Raczej partnerski układ.

– A nie myślałeś, aby założyć prawdziwą rodzinę? No wiesz... mieć żonę i dzieci inne niż... koty. – Oblizuję usta, nachylając się ku mężczyźnie. On z lekka kiwa głową i rezolutnie stwierdza:

– Kusząca myśl, szczególnie jak się patrzy na ciebie.

– Jako... kandydatkę na żonę i... matkę? – podchwytyję.

– Masz mnie. – Mark pstryka w górze palcami.

Odnoszę wrażenie, że zaraz mi się oświadczy! Albo, co pewnie bardziej prawdopodobne, ja jemu. Ale akurat w tym momencie kelner znosi dania na stół. Koło mnie na pstrokatym obrusie ląduje pieczona ryba tonąca w gotowanych warzywach. Mark dostaje lekko przysmażony stek i również okazały bukiet zieleniny.

Żałuję, że to nie zaręczynowy bukiet kwiatów, które zostałyby mi wręczone razem ze złotym pierścieniem! Lecz na to się tym razem niestety nie zanoszą, bo oboje zajmujemy się już głównie naszymi posiłkami. Oczywiście w trakcie ich spożywania nadal rozmawiamy. Ale już bardziej zdawkowo. Niemniej, do końca naszego spotkania w restauracji atmosfera jest między nami harmonijna, ugodowa i bardzo przyjemna.

Kiedy zastanawiam się, czemu jest tak dobrze, wychodzi mi na to, że powodem jest nieporuszanie tematu śledztwa przeciw gangowi Demonów. Stąd natomiast płynie prosty wniosek, że to sprawa Mike'a jest jedynym elementem, który kładzie się cieniem w mojej relacji z Mansonem. Gdyby nie ta kwestia, nie mielibyśmy żadnych punktów spornych i wówczas zapewne w pełni zostałabym doceniona przez agenta, jako jego potencjalna żona. A tak, siedzę momentami jak na szpilkach w obawie, że Mark zagai coś o śledztwie, a ja znów będę musiała lawirować, lub kłamać, co zapewne zostałyby przejrzone. Na szczęście mój kompan przy biesiadnym stole wykazuje się taktem, za co mu chwala, i nie próbuje na randce dyskutować ze mną na niezręczne dla mnie tematy.

Po kolacji jest już prawie godzina dwudziesta druga i otrzymuję sugestię, że zostanę odwieziona do własnego domu.

Łapię się na tym, że wolałabym raczej spędzić noc z agentem. Ale nie sprzeciwiam się jego woli. Ponadto jutro jest dzień powszedni, więc powinnam iść do szkoły, a Mark do pracy. Pewna powściągliwość więc nam obojgu w sumie przystoi.

Po kwadransie spędzonej w milczeniu jazdy jesteśmy pod moim domem. Oszołomiona randką słownie nawet się nie żegnam, tylko na pożegnanie szeroko uśmiecham i puszczam słodkiego całusa.

Zadaję sobie przy tym pytanie, jak szybko nasza wzajemna relacja przerodzi się w typowo sercową? Oczywiście życzę sobie, aby nastąpiło to jak najszybciej. Podejrzewam też, że kiedy to już się stanie, bez wahania skłonna będę powiedzieć sakramentalne... tak.

XII. Tarot - Rycerz Pucharów

Karta tarota Rycerz Pucharów zapowiada wzmocnienie więzi z osobą, którą odbieramy jako iście rycerską i to zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru. W pozycji prostej mamy do czynienia z zaproszeniem do nowego związku z atrakcyjnym partnerem. W pozycji odwróconej dajemy się zwieść pozorom, ulegamy kłamstwu i manipulacji.

*

Mark jest zapracowany, bo nie dzwoni. Ja jestem chyba zakochana, bo myślę tylko o nim. Żeby zaś niejako przewietrzyć umysł i wnieść do niego wreszcie coś nowego, niż tylko wzdychanie do agenta federalnego, przyjmuję zaprosiny Liliany. Mianowicie w piątek wieczorem udaję się na zorganizowaną przez nią imprezę.

Na miejscu się przekonuję, że w domu państwa Carterów nie ma akurat rodziców mojej przyjaciółki, którzy wyjechali z miasta. Jest za to masa byłych gangsterów, co mi się nie do końca podoba. Już bowiem widzę, jak przy następnej okazji Manson mnie wzywa na dywanik, abym się tłumaczyła ze spotkania z różnymi mętami. Nie jest przecież już dla mnie tajemnicą, że jestem śledzona. Ale też nie będę jak grzeczny aniołek tylko czekać na pstryknięcie Marka, aż łaskawie mnie znów zaprosi na randkę. Wykazuję się asertywnością, w której już zagustowałam i stawiam czoła nowym wyzwaniom.

Owe czoło na imprezie u Liliany niemal cały czas dumnie unoszę razem z zadzieraną głową. Dzieje się tak, bo nie utożsamiam się już z przestępczą bracią, nieważne, że byłą. Czuję się przez to w jakiś sposób lepsza od otaczającego mnie towarzystwa.

Siedzę więc na kanapie w salonie, jak na tronie. Patrzą pobłażliwie na przekrzykujących muzykę imprezowiczów popijających alkohol, a sama raczę się lemoniadą.

W pewnym momencie czuję coraz intensywniejszy zapach charakterystycznego odoru z palonego cygara. Nachodzą mnie same złe skojarzenia. Chwilę potem dosiada się do mnie osoba, która je sprokurowała:

– Nie panikuj, zaraz spadam. – Nie kto inny jak Alex wydycha na mnie kłęby tytoniowego dymu, po czym ochryple pyta: – Powiedz mi, czy mam jeszcze siedzieć w Crestone? Właściwie to lepiej powiedz, że już mnie nie potrzebujesz albo wskaż kogoś, komu mam sprasować mordę.

– Tak ci się spieszy do LA?

– Mam tam swoje interesy. Tu nie mam już żadnych poza odwalaniem za ciebie brudnej roboty.

– Dobra, zluzuję cię. – Przyglądam się z respektem bratu Lilianny. Zagryzam paznokieć kciuka, aby skryć się za swoją dłoń i jeszcze ostrożnie zagajam: – Zanim mnie opuścisz, podziel się jeszcze ze mną swoją opinią. Zdradź mi, jak myślisz... kto według ciebie ukradł Damonowi heroinę?

– Nie muszę nic myśleć. Mogę się zwyczajnie dowiedzieć.

– Niby jak?! – Wytrzeszczam oczy.

– Podejrzanych jest czterech gości, zgadza się?

– No tak.

– Mogę ich przemieścić. Wtedy pewnie każdy się przyzna do kradzieży. Ale jeden odda też prochy albo kasę za nie.

– Raczej na to nie pójdę... To zbyt brutalne – stwierdzam już przygaszona. Choć robię to tak trochę bez przekonania. Zastanawiam się bowiem, dlaczego właściwie, i kogo, chcę chronić?

Huntera? Domniemam, że jemu już nic nie pomoże. Dodatkowa dawka cierpienia pewnie nie zrobiłaby mu różnicy. Może nawet w ogóle dobrze byłoby skrócić jego męki na tym ziemskim łożu padole? Wszak był narkomanem. Więc z powodu kryzysu w swoim życiu pewnie znów wciągnął się w nałóg, na który go zwyczajnie finansowo nie stać. Wnioskuje to po tym, jak mieszka i jakim jeździ wozem.

Zion? Jakby tak zarobił dobrze w mordę, może zaczęłby poważniej traktować też inne kobiety niż tylko swoją chorą matkę. Ten słodki gnojek zwyczajnie o mnie zapomniał. Po naszej grze w bilard ani razu do mnie nie zadzwonił. Nic mu zatem nie jestem winna, a nawet mam chyba prawo żywić urazę.

Liam? Na tego ponurego typa to już całkiem wypadałoby napuścić Alexa, abstrahując, czy jest winny kradzieży czy nie. Jest przecież przede wszystkim winnym faszerowania mnie narkotykami i uwięzienia. To w zupełności wystarcza, aby go skrzywdzić.

– Olivier... – To imię wypowiadam na głos. Nie bez przyczyny zresztą, bo patrzę pytająco na brata Lilianny i dodaję: – Ten gość mógłby zachylić heroinę? Jak sądzisz?

– Mógłby, jak każdy. – Amator cygar wzrusza ramionami.

– Gdzie on jest? – Rozglądam się wokół. – Podobno miał być na tej imprezie...

– Obraca na górze moją siostrę.

– Że co?! – Kolejny już raz wytrzeszczam na Alexa załzawione od dymu oczy. On z mocną chrypką w głosie potwierdza:

– Olivier to nowy facet Lili. Więc się pieprzą, normalne.

– A co z... Cadenem?

– Lilia coś tam marudziła, że tego osła odstawiła na osłą ławkę, czyli chyba zerwali.

– Czy w tej sytuacji Oliviera też mógłbyś... przemieścić?

– Fakt, tu mógłby być problem, bo mógłbym mieć wtedy jazdę ze...

– Swoją siostrzyczką... – kończę męskie zdanie.

– Ano tak. – Posępny Carter do cna opróżnia płuca z dymu, czyniąc to wprost na moją twarz. W rezultacie duszę się i jak spowita gęstą mgłą wymachuję rękoma, aby rozrzedzić szarą zawiesinę. Odnoszę mizerny efekt. Wstaję więc, aby wydostać się z gryzącej mnie chmury.

Bez pożegnania opuszczam Alexa i dochodzę do wniosku, że chyba już czas zmywać się z imprezy. Wcale mnie ona nie bawi, a i towarzystwo mi coraz mniej odpowiada. No bo gdzie tam byłem gangsterem do mojego rycerskiego agenta federalnego.

Zanim jednak udałabym się do własnego domu, diabeł kusi mnie, abym jeszcze sprawdziła Lilianę z Olivierem. Powód jest taki, że w oparach dymu z cygara miałam wizję tego, jak wspomniana parka siedzi na łóżku i liczy tysiące dolców ze sprzedaży heroiny. Postanawiam więc bezczelnych złodziei nakryć.

Wchodzę na pierwsze piętro i w znanym mi mieszkaniu, bo odwiedzałam tu już przyjaciółkę, kieruję się do jej pokoju. Podchodzę do odpowiednich drzwi i je żdziebko uchylam.

Heroiny nie widzę, pieniędzy też nie. Zgodnie z zapowiedzią Alexa dostrzegam za to damsko męską parę osób.

Liliana i Oliver, przytuleni do siebie, leżą nadzy na łóżku. Coś do siebie słodkiego szepczą, bo się rozkosznie uśmiechają. Do tego nawzajem gładzą się po skórze.

Jakkolwiek ta scenka wygląda naprawdę uroczo, to osobiście diagnozuję u siebie nieprzyjemne uczucie, którym jest zawiść. Bierze się ona stąd, iż brzydka Carterówna ma kochanka, a piękna Evans stoi tu samotna jak kołek.

Uznaję, że taka niesprawiedliwość jest nie do przyjęcia. W konsekwencji o sprawie narkotyków w lot zapominam. Jedyne, co mi teraz zaprzęta umysł i serce to także znaleźć sobie partnera. Lecz oczywiście nie zadowolę się pierwszym lepszym kochankiem, a jedynie godnym takiego jak ja aniola.

Mark, chciałabym się spotkać – piszę na telefonie i wysyłam wiadomość tekstową. Czekam na korytarzu kilka minut. Wobec braku odzewu wysyłam kolejny SMS: – Mam wielką ochotę się z tobą spotkać. Następnie otrzymuję odpowiedź:

Masz też coś dla mnie na temat gangu Demonów?

Mam – odpisuję.

Będę u ciebie za kwadrans.

Dam ci namiary, gdzie masz podjechać.

Wkrótce mam to, czego chciałam. Zasiadam w wozie Mansona. W rewanżu powinnam mu dać jednak nie tylko siebie, ale też požądane przez niego informacje, które mu obiecałam.

Uderza mnie nieprzyjemna myśl, że na dane o gangu Demonów agent czeka chyba z większym utęsknieniem niż na mnie. Potwierdzającym niejako to dowodem jest fakt, że nie rusza samochodem sprzed domu Liliany, a mnie wyczekuje.

Zaraz stwierdzam, że nieważne co w bieżącej chwili myślę, czy czuję, sama zapędziłam się w kozi róg i jakimiś informacjami muszę się podzielić. Zatem to właśnie czynię:

– W punkcie, gdzie miała zostać przekazana heroina, oprócz Mike'a było czterech gangsterów: Hunter, Zion, Liam i Olivier. Z trzema pierwszymi się umówiłam na randki, aby sprawdzić, który z nich ukradł zaginione prochy. Tylko z Olivierem się nie umówiłam i już nie zamierzam. Ponieważ skończyłam zarówno z przygodnymi randkami, jak i zabawą w gangsterkę. Jeżeli zaś ciekawi cię, czy w ramach swoich poszukiwań coś znalazłam, to muszę cię rozczarować. Nie mam pojęcia, kto z wymienionej przeze mnie czwórki ma zachylone narkotyki, o ile jeszcze je ma.

Po mojej spowiedzi agent dłuższy czas spogląda mi w oczy. Kiwa z lekką głową i z powagą oświadcza:

– Wydaje się, że w końcu mówisz prawdę.

– Mówię ją, Mark. Przełamałam się... Zrobiłam to dla ciebie. – Chcę się przytulić do mężczyzny. On powstrzymuje mnie gestem dłoni i nakazuje:

– Powiedz mi, kto miał odebrać narkotyki.

– Meksykanie... – szepczę tak cicho, jakbym samej siebie pragnęła nie słyszeć.

– Kartel z Ciudad Juarez?

– Tak.

– Czemu oni?

– Mają w Kalifornii rozbudowaną sieć dystrybucji i dają... ochronę. Podobno dobrze się z nimi współpracuje.

– Mieli rozproszyc prochy w którymś z sąsiednich miast?

- Chyba tak...

- W którym?

- Nie wiem.

- Chcę namiary na tych Meksykanów.

- Nie mam. - Nerwowym uśmiechem próbuję przykryć kłamstwo. Niestety zostaję z łatwością przejrzana:

- Zrobiłaś pierwszy krok, zaczęłaś mówić prawdę. Teraz czas, abyś zrobiła drugi krok. Czas, abyś przestała mi wciskać kit.

- Mark... - W geście bezradności rozkładam ramiona i szczerze się otwieram: - Daj mi jeszcze trochę tego czasu, proszę. To dla mnie bardzo trudne... mówić o tych rzeczach. Blokuję mnie lęk, ale też lojalność wobec dawnych znajomych i poprzedniego partnera. Chciałabym z miejsca wszystko wyznać, uwierz mi. Ale jeszcze nie potrafię. Wybacz...

- Tutaj jestem skłonny ci znowu wierzyć... - Agent patrzy na mnie już łaskawszym okiem. Wydaje się coś sobie układać w głowie i za pewną dozę wylewności z mojej strony raczy mnie nagrodą: - Potrzymam cię bliżej siebie. Poczekam, aż się całkiem przełamiesz. Pomogę ci w tym.

Wóz rusza, a ja niewinnie pragnę się upewnić:

- Czy to oznacza, Mark, że pojedziemy do ciebie... na noc?

- Tak, zabieram cię do mojego hotelu. Bo widzisz.... wreszcie gadasz coś z sensem. Robisz się dla mnie przez to coraz cenniejsza. Zachowuj się tak dalej, a uznam cię nawet za mój skarb. - Mężczyzna puszcza mi oko i się uśmiecha.

Tymi gestami rozładowuje on atmosferę i zdejmuje ze mnie napięcie spowodowane puszczaniem farby. O kapowaniu staram się już nie myśleć. W to miejsce sycę się tak bliską obecnością wspaniałego faceta, jakim jest Mark Manson, w którego łaski właśnie się wkradam.

Zgodnie z zapowiedzią zawozi mnie on do hotelu. Wewnątrz idziemy do pokoju. Z powodu późnej pory od razu rozbieramy się do snu i kładziemy do łóżka. Choć podejrzewam, że na samym śnie się nie skończy, o co sama zamierzam się postarać.

Pomna bowiem tego, że w osobie amatorki kotów z Wirginii mam konkurentkę, pragnę, abym, jako kobieta, przez obecnego partnera postawiona została wyżej. Prowokuje mnie to do śmiałej propozycji. Chociaż, jak to zwykle ja, w obliczu twardych facetów, zagajam niezbyt bezpośrednio:

- Mogę się do ciebie przytulić... Mark?

– Jasne, chodź do mnie. – Silna męska ręka mnie obejmuje. Za to męskie oczy pozostają rozczarowująco zamknięte. Czekam, aż się otworzą, ale bez rezultatu. Wobec tego znów niewinnie zagaduję:

– Czy... masz jakieś życzenia, które mogłabym spełnić, Mark?

– Możesz powiedzieć mi, co wiesz o meksykańskim kartelu. – Agent podnosi powieki.

Nie to pragnęłam usłyszeć, więc próbuję dalej:

– A masz może jeszcze jakieś inne... prośby?

– Mam jedną.

– Tak...?

– Przestań już gadać, abym mógł się spokojnie wyspać. – Mężczyzna ponownie zamyka oczy. Gasi tym samym swoje spojrzenie, jak i moje pobudzenie.

Zatem również układam się do snu. Zastanawiam się przy tym, czy Mark zachował się właśnie rycersko, bo mnie fizycznie nie wykorzystał, czy raczej okazał mi lekceważenie?

Sama nie wiem, ale niebawem zaczynam podejrzewać tę drugą opcję. Mężczyzna bowiem wypina się do mnie tyłkiem i prawie spycha mnie z jednoosobowego łóżka. W efekcie zakotwiczam się na jego brzegu i częściowo z niego zwisam.

Nie mogę powiedzieć, aby była to komfortowa pozycja do spania, więc prawie nie śpię.

Aż gdzieś w środku nocy odkrywam, że mam więcej miejsca. Uśmiecham się, sądząc, że uczynny Mark zreflektował się i odstąpił mi moją połowę pościania. Kiedy jednak się odwracam, widzę, że mojego partnera nie ma w łóżku.

Nastawiam uszy i wyławiam z łazienki stłumiony, męski głos. Sprawia to, że znów żywię wobec Mansona cieplejsze uczucia. Dochodzę bowiem do wniosku, że nie chciał mnie budzić i poszedł rozmawiać z dala ode mnie.

Przy okazji zastanawiam się, z kim mógł wdać się w konwersację o tak późnej porze? Dzwonka do telefonu nie słyszałam, więc to raczej mój agent jest inicjatorem telefonicznej rozmowy. Osoba, z którą rozmawia, jest z kolei prawdopodobnie kimś, kto zamieszkuje inną strefę czasową. Ponieważ nie sędzę, aby Mark budził kogoś na pogawędkę.

Wychodzi mi na to, że najprawdopodobniej telefonuje do Wirginii, do swojej przyjaciółki. Czyżby robił to w tym celu, aby powiadomić ją, że między nimi wszystko skończone, bo poznał wspianego aniołka, z którym postanowił się trwale związać?

Dumam, czy chcę mieszkać w Wirginii. Nie jestem o tym przekonana. Ale najpierw pragnę się upewnić, że moje domysły, co do treści rozmowy Mansona, są prawdziwe.

Skłania mnie to do tego, abym ześliznęła się z łóżka i bezszelestnie, jak wąż, podpełzła do uchylonych drzwi łazienki. Ku wnęce do pomieszczenia z dyskutującym mężczyzną nastawiam ucha i z zaciekawieniem słucham:

– Powiedz jeszcze, ty stara zołzo, czy regularnie podlewasz kwietnik w ogrodzie. Jak wrócę i zobaczę choć jedno źdźbło suchej trawy, to cię uduszę.

Słowa Marka poniewierające moją konkurentką to miód na moje uszy. Słodko, jak od lizania miodu, się uśmiecham i rozanielona dalej sycę się podsłuchiwaną rozmową:

– Tak, wiem, że u mnie jest środek nocy, ale nie mogę przestać o tobie myśleć, przez to nie mogę skończyć z tobą nawijać. Powiedz mi jeszcze, moja kochana jędzo, czy nasz D'Artagnan mówi już może tatuś? Tylko mamusia mówi? Nienawidzę cię, larwo. Jak tylko wrócę, to się zemszczę, oczywiście z miłości. Wezmę długi urlop i nie wygonisz mnie z naszego łóżka, nie ma szans. Dobrze, już dobrze, pani Manson. Ja też jestem ci wierny i także cię kocham. Ściskam, pa.

Po rozmowie telefonicznej słyszę z łazienki szum wody. Mark zapewne myje ręce. Symbolicznie je umywa w odniesieniu do naszego związku.

Ja znów leżę na swoim skrawku łóżka. Będąc w pozycji embrionalnej, ściskam poduszkę i w nią płaczę. Odarta ze wszystkich złudzeń tonę we łzach.

Czuję się jak osoba, która bez ostrzeżenia została brutalnie wyrzucona za burtę statku miłości wprost do oceanu. Wiem, że nikąd nie otrzymam ratunku. Nie przyplynie po mnie żadna szalupa, nie rzucone zostanie mi żadne koło ratunkowe. Koło siebie nie odnajdę nawet symbolicznego kawałka drewna, którego mogłabym się chwycić, by z rozpaczyny nie pójść na samo dno.

Już zaraz go sięgam, dna. Na nie, koło mego utopionego truchła, opada rycerska zbroja mego niedoszłego męża.

Martwym wzrokiem topielicy widzę, jak tę zbroję błyskawicznie pochłania rdza. O tym, kim się okazał pod okrywającym go pancerzem mój rycerz, nawet nie chcę myśleć.

Boleśnie uświadamiam sobie, że podkochałam się w iluzji utkanej z męskich kłamstw i własnych fantazji. Dałam się zwieść jak ostatnia idiotka. Przede wszystkim zaś zdradziłam czystą miłość nie do federalnego, a mego mrocznego rycerza, który siedzi w areszcie.

Czy istnieje jeszcze choć iskra nadziei, abym mogła wskrzesić płomień mego prawdziwego uczucia? Tylko tej myśli się teraz chwytam i nie mam już żadnych wątpliwości, czyją powinnam być damą serca. Lecz czy jeszcze zasługuję na to? Jeśli nie, to jeszcze bardziej jest mi na duszy strasznie i źle.

XIII. Tarot – Królowa Pucharów

Karta tarota Królowa Pucharów symbolizuję dojrzałą kobietę, która odnajduje w sobie siłę oraz bezgraniczną miłość gotową ofiarować drugiej osobie. W pozycji prostej karta ta przynosi niebywały rozkwit uczucia i związanych z nim możliwości. W pozycji odwróconej traktuje o wielkim, miłosnym zawodzie.

*

Po tragicznej nocy, którą spędzam z obojętnym na moje wdzięki kłamliwym samcem, raniem słyszę od niego, co następuje:

– To jednoosobowy pokój hotelowy, więc nie mam dla ciebie klucza. Wychodzimy stąd za pięć minut. Do szkoły pójdziesz sama. Prywatnie nie powinniśmy być widziani zbyt często razem. Wieczorem czekaj tu na mnie w portierni.

– Tak... Mark.

– Wszystko z tobą w porządku? – Ubierający się mężczyzna zerka na mnie przelotnie. Ja nie odpowiadam, a Manson zaznacza: – Dobrze się nastrój do tego, aby przy następnym naszym spotkaniu zdradzić mi coś o Meksykanach. Nie można z tym dłużej zwlekać.

– Tak... Mark.

– Lubię, jak mówisz do mnie „tak Mark”. Ale jak zastrzegłem, musisz pogadać też ze mną o kartelach narkotykowych. Teraz już wylaż z wyrka. Dość wylegiwania się. Trzeba się zbierać.

Wychodzimy razem z hotelu. Następnie agent jedzie gdzieś samochodem, nie informując mnie gdzie. Ja wlokę się noga za nogą do szkoły.

Po drodze trafiam na rozstaje dróg, gdzie jedna wiedzie do college’u, a druga do mojego domu. Zastanawiam się, którą powinnam wybrać.

W podobny sposób patrzę na swoje życiowe drogi. Jedna z nich prowadzi mnie do kontynuowania żalostnego romansu z żonatym facetem i posłania za kratki mojego prawdziwego ukochanego. Alternatywą jest to, że nie będę już kapować, przez co sama mogę trafić do więzienia. Tam natomiast zaznam zupełnej samotności, a Damonowi i tak pewnie nie pomogę.

Taki wybór jest dla mnie w sumie żadnym wyborem. Z tego powodu chyba już wolę stać w miejscu.

Czuję się jak osoba przy wróżbiarskim stoliku, której przepowiedziany jej los ją kompletnie rozczarował. Dlatego bardzo pragnęłabym przetasowania kart oraz ich nowego rozdania. Choć nie miałabym też nic przeciwko wyciągnięciu jokera. I oto on:

Nagle z piskiem opon zatrzymuje się koło mnie błękitny kabriolet. Kierowcą jest Lucas Lee we własnej osobie, który radośnie do mnie świergocze:

– Witaj, królowo!

– Czemu mnie tak... nazywasz?

– To twój szczęśliwy dzień!

– Bo...?

– Bo spotykasz w nim mnie!

– Nie będę już z tobą randkować, wybacz. – Odwracam wzrok od mężczyzny. Ten pogodnie odpowiada:

– Wsiadaj do wozu.

– Nie ma chyba już dla mnie powodu, abym cię słuchała.

– Owszem jest.

– Niby jaki? – Zastygam z kpiącym uśmiechem na ustach. Wódz zaś mówi coś, co mój zdruzgotany świat cudownie odrestaurowuje:

– Wiem, kto zachylił Damonowi tę heroinę!

– Ty... Ty to wiesz, naprawdę? – Rozdziawiam buźkę.

– Ano tak!

– Może od tego swojego... wujka z policji?

– No nie, Święta, nie doceniasz mnie. Sam to wydedukowałem. – Sportowiec puka się palcem w czoło i dodaje: – Obecnie wiem to wyłącznie ja. Chociaż możesz też, jako jedyna dodatkowo, wiedzieć i ty.

– Czemu to... robisz? – Świdruję Lucasa wielce nieufnym spojrzeniem. – Czego chcesz w zamian?

– W tych okolicznościach pewnie mógłbym wiele od ciebie zażądać i wiele dostać. – Wódz niedwuznacznie obcina mnie wzrokiem, czym wydaje się utwierdzać mnie w rosnących we mnie obawach. Zaraz jednak kompletnie mnie zaskakuje, gdy ostentacyjnie wymachuje jakąś kartką papieru i radośnie pokrzykuje: – Zapomnij o haraczu ze swojej strony, Święta. Oto po

królewsku uśmiechnął się do mnie los i mam już wszystko, czego pragnąłem! Mam kontrakt od wymarzonej drużyny futbolowej! Zatem już wkrótce opuszczam tę zapyziałą norę, Crestone. Wam natomiast, maluczkim, skłonny jestem wybaczyć dawne winy i nawet wyświadczyć przysługę!

Lucas zakwita rozkosznym uśmieszkiem. We mnie zaś nagle odżywa szczerza nadzieja na zrealizowanie planu, na który kiedyś wpadłam i na który swego czasu tak się napaliłam. To właśnie z powodu tego planu podrywałam agenta federalnego i wpakowałam się w zgubny dla mego serca romans. Teraz jednakże nadarza się niezwykła sposobność, aby to wszystko cudownie odkręcić i spożytkować na rzecz Mike'a. Cóż mogę więc w tym temacie rzec. Nie ma już we mnie anielskiego wahania, nie ma oporów. W związku z powyższym, jak sama królowa, władczo oświadczam:

– Zdradź mi imię złodzieja i powiedz, jak go zdemaskowałeś.

– Zrobię to, jak obiecałem. Ale może jednak nie na środku ulicy?!

Ładuję się do sportowego wozu i sama także pokrzykuję:

– Jazda! – Raptem jestem w pełni pozytywnie nastawiona. Natchniona jestem tym, że w moim życiu znów obieram, w moim mniemaniu, niemal usłaną białymi różami drogę.

Samochodem wiedzie ona na znany mi klif nad oceanem, gdzie nie raz już przesiadywałam z kapitanem drużyny Pomo. Niegdyś spotkania te nie robiły na mnie większego wrażenia i przyjmowałam je ze stoickim spokojem. Zupełnie inaczej jest teraz, gdy wyczekując kluczowych dla mnie wieści, jestem po prostu rozgorączkowana, aż płonę!

– No mów, proszę cię! Kto ukradł... narkotyki?!

– Gotowa...?

– Tak, powiedz już, nie drażnij się ze mną!

– A może jeszcze na zachętę buziak w policzek?

– Masz, tylko wyduś to wreszcie z siebie! – Gwałtownie całuję mężczyznę nie w sugerowany policzek, a w usta. Ten całus jest obłędnie namiętny, bo wkładam w niego całą moją pasję na myśl, że mogłabym odzyskać Damona.

Po skończonym całusie Lucas ze smakiem oblizuje swoje wargi. Z niekłamanym podziwem spogląda na mnie i w takim też tonie oznajmia:

– No, no, Święta, nie powiem. Chyba naprawdę zależy ci na poznaniu imienia złodzieja. Więc dłużej nie trzymam cię już w niepewności. Imię tego gościa to...

– Tak?!

- Zion! – wypala triumfalnie Wódz.
- On...? Ale... jak? – Jestem nagle kompletnie oszołomiona. – Czemu akurat... Zion? Skąd wiesz, że to on – dyszę, dochodząc do siebie po szokującej informacji, zupełnie jak po energochłonnym seksie. Sportowiec zaś z spokojnie odpowiada:
- Ten gość pracuje u mojego ojca w sklepie sportowym, jako sprzedawca...
- To prawda – zauważam. – Wspominał mi o tym.
- No tak, ale on tam nie tylko pracuje...
- Co jeszcze robi?
- Nałogowo obstawia zakłady sportowe...
- To przecież o niczym jeszcze nie świadczy, że jest hazardzistą.
- Czekaj, zaraz posłuchasz czegoś lepszego...
- Przejdź do sedna, błagam.
- Otóż ten Zion ostatnio wziął mnie w sklepie na stronę i zaproponował mi szwindel. Zasugerował, żebym przegrał mecz, na który on postawi, uwaga, trzysta tysięcy dolców. Zyskiem mieliśmy podzielić się po połowie. Lecz zapytałem kolesia, jak to jest, że pracuje jako zwykły sprzedawca i jest taki dziany? On długo nie chciał powiedzieć. Ale uległ pod presją, że nie zawrę z nim układu. Zdradził mi, że... znalazł przypadkiem dziesięć funtów heroiny i wreszcie ma na nią kupca.
- Kurwa... Pieprzony synalek mamusi. – Łapię się za głowę. Już zaraz wychodzę z samochodu, chwytam za telefon i dzwonię.
- No co tam, Angelina? Czemu nie ma cię w szkole?
- Zamknij się i słuchaj, Liliana.
- No mogę posłuchać, bo jest akurat przerwa między lekcjami... – słyszę głębokie ziewnięcie. Sama w pełni przebudzona, bo już oświecona, w wielkim pobudzeniu mówię:
- Znam złodzieja prochów!
- Że... jak?
- Znam już złodzieja prochów! Nie żartuję!
- Żartujesz...
- No właśnie nie żartuję. Dlatego dzwonię!

- Rety, Angelina, i co z tym teraz zrobimy?! - Moje przejęcie udziela się Carterównie. Ja ostro ją zapytuję:

- Alex jest jeszcze w Crestone?

- Dziś ma wracać do LA.

- To nie wróci. Powiedz mu, natychmiast mu powiedz, że ma złapać i przemieścić...

- No kogo...?

- Ziona.

- Kurwa, wiedziałam, że to on!

- Wcale nie wiedziałaś.

- A właśnie, że tak!

- Wystarczy, słuchaj dalej.

- Nawijaj, szefowo.

- Zaraz będę pod szkołą. Czeka tam na mnie z wozem i pojedziemy na przedstawienie. Obejrzymy sobie, jak twój braciszek mieli złodzieja.

- No to będzie co oglądać. Kupię popcorn do pierwszego rzędu!

- Kup. I szykuj się na lot do Meksyku.

- Jupi! A... kiedy ten mój odlot?

- Jak Zion odda prochy, to jeszcze dziś.

- Super sprawa. Oczywiście, jeżeli wszyscy przez to nie wylądujemy w pierdłu. He, he...

- Nic się nie bój. Wyciągnę z więzienia Mike'a i ci się odwdzięczymy.

- Znaczą się... będę bogata?

- A także piękna i powabna, no jasne... Dostaniesz jeszcze ekstra chłopaka lepszego nawet niż ten twój nowy... Olivier.

- Wchodzę w to, moja królowo!

- To do dzieła.

Wracam do samochodu Lucasa i czuje się, zupełnie jakbym przejmowała stery władzy. Każę się zawieźć do szkoły, a tam czeka już na mnie Liliana. Jej z kolei nakazuję mnie wieźć do Alexa, który szybko się uwinął i już podobno ma wytypowaną ofiarę.

W rezultacie ląduję na pustyni za miastem. Towarzyszy mi tu trójka dobrze znanych mi osób. Carterówna, tak jak ja, siedzi na masce Chevroleta i z pasją zajada popcorn. Posępny Carter stoi i masakruje pięściami facjatę klęczącego Ziona. Gdy uznaję, że były krupier jest już odpowiednio zmiękczony, wtedy interweniuje:

– Wystarczy tej krwawej miazgi. – Wstrzymuję katowanie ofiary. Choć czynię to bez cienia litości w głosie. – Przyznasz się do kradzieży dragów? – rzucam dumnie.

– Przecież... – Zion wypluwa ząb. – Przyznałem się, jak mnie tylko... dorwał. – Skatowany mężczyzna garbi się, z przerażeniem patrząc na swego oprawcę.

– Co za mięczak! – parska Liliana.

– Cicho! – Jako ta, która tu rządzi, unoszę dłoń. – Oddasz narkotyki? – Spoglądam z pogardą na faceta, z którym swego czasu spędziłam romantyczną noc. On zamierającym głosem stęka:

– Oddam...

– Gdzie jest towar? – posykuje.

– Pod łóżkiem. Pod łóżkiem mojej matki...

– Za łatwo pęka... Stanowczo za łatwo – wtrąca wyraźnie rozczarowana przesłuchaniem Liliana. Nie przywołuję jej już do porządku, bo na usta ciśnię mi się kolejne pytanie do więźnia:

– Dlaczego wykazałeś się taką nielojalnością wobec Mike'a? Czemu go zdradziłeś, okradłeś?

– Bo on zdradził i okradł... mnie.

– Niby z czego?! – Wręcz dramatycznie rozpościeram ramiona. Zion zaś smutno wyjaśnia:

– Damon obiecał mi, że dostanę szefostwo w kasynie w San Diego. Ale nie dotrzymał słowa. Zostawił mnie tutaj w roli krupiera...

– Zaiste dramat – ziewa Carterówna.

Ja pewnie wolałabym usłyszeć, że dobry syn dokonał zuchwałej kradzieży, aby kupić matce innowacyjny lek na jej chorobę. Wtedy urósłby w moich oczach, a tak jeszcze w nich zmalął. Czuję przez to nieco zawód.

Z kolei zdemaskowany złodziej patrzy na mnie spode łba. Nieśmiało się uśmiecha. Ociera z twarzy krew, smarki i łzy, po czym cienkim głosikiem pyta:

– Co ze mną... zrobisz?

– Do piachu z nim! – Moja przyjaciółka wskazuje na okoliczny piach, którego jest tu rzeczywiście pod dostatkiem. Alex w tym czasie zapala cygaro i niewzruszony spogląda na południe w kierunku LA.

Rozumiem więc, że moja królewska rada rozsądnie mnie nie wesprze w wydaniu sędziowskiego werdyktu. Lecz takowy, gdy gorąco wierzę, że odzyskam swą prawdziwą miłość, i tak może być tylko jeden:

– Każdy z nas błądzi, każdy popełnia błędy. Błogostawieni jednak są ci, którzy odnajdują właściwą drogę. Jeżeli więc wyrazisz szczerą skruchę, wszystkie winy zostaną ci odpuszczone, Zionie.

– No bez jaj! Obetnijmy mu chociaż jaja! – oburza się Liliana i z płaskim uderza się dłonią w twarz.

Alex spogląda na mnie z wymownym uśmiechem. On bowiem szczególnie, bo z autopsji, zna siłę i szczodrość mej anielskiej łaski.

Osobiście natomiast znów widzę przed sobą świetlaną przyszłość. Dlatego pragnę, aby inni radowali się ze mną, a nie cierpieli. W tym duchu kończę sąd na pustyni, zdecydowanie, a niemal w uniesieniu, wydając stosowne rozkazy:

– Alex, jedziesz z Zionem po prochy. Potem daj mu kopa w dupę i go wypuść. Za to mi giem ściągnij mi Huntera. Będziemy potrzebować specja od włamań. Liliana, zasuwasz na lotnisko, a później do Meksyku na spotkanie z kartelem. Ja udam się do agenta federalnego i przygotuję grunt pod wrobienie go w handel narkotykami. Do roboty moi wierni poddani!

XIV. Tarot - Król Pucharów

Karta tarota Król Pucharów odzwierciedla ukochanego przywódcę, który hołubi wyższym celom. Kieruje się on prawością, mądrością i dobrem innych. W pozycji prostej karta ta ukazuje dojrzałość emocjonalną i odpowiedzialność. W pozycji odwróconej mamy do czynienia z niepowodzeniem naszych działań.

*

Zgodnie z porannym poleceniem Mansona wieczorem zmierzam na spotkanie z nim do hotelu, w którym mieszka. W tej okolicy o wyznaczonej porze nie jestem sama, bo ściągam tu ze sobą Huntera. Ma on bardzo sprytne paluszki, a w plecaku dziesięć funtów heroiny. Jego zadaniem jest czekać na agenta federalnego, aby włamać się do jego samochodu i podrzucić mu prochy.

Moje zadanie? Jest ono bardziej skomplikowane. Będzie ode mnie wymagało iście królewskiej dojrzałości i opanowania, abym odpowiednio wmanewrowała Marka. Ta ryzykowna gra, gdzie kładę wszystko na szali, właśnie się między nami rozpoczyna:

– Czekałaś. Bardzo dobrze – rzuca na moje powitanie agent.

Podrywam się z siedzenia w hotelowym holu i już tulę się do męskiego ramienia. Doczekuję się pogłaskania po głowie i poprowadzenia pod rękę do pokoju.

Wewnątrz Manson zasiada ciężko na łóżku. Wzdychając z ulgą, zdejmuje marynarkę i krawat. Rozpina też sobie guziki białej koszuli pod szyją.

Osobiście zasiadam koło niego na pościeli i patrzę na niego jak w obrazek. Swoim zachowaniem daję dowody bezgranicznego oddania i uległości. Sprawiam wrażenie, jakbym tylko czekała na rozkazy mego pana, aby je z entuzjazmem wykonać. Pierwsze polecenie, którego treść nie jest dla mnie zaskoczeniem, pada już po chwili:

– Jak tam...? Przemyślałaś już sobie to i owo? Uspokoilaś się pod moją opieką? Podrzucisz mi coś o tych Meksykańcach? – Mężczyzna oszczędnie uśmiecha się do mnie. Poprawia mi opadające na ramiona włosy i patrzy na mnie z pewną niecierpliwością. Tym razem nie zamierzam go zawieść i jak w największej tajemnicy mówię:

– Przemogłam się, Mark. Jesteś tak niezwykle, że dłużej nie potrafię ci się opierać i odmawiać. Dopiąłeś swego, przez co postanowiłam wystawić ci kartel, jak na tacy.

– Moja dziewczynka. Moja bardzo grzeczna... dziewczynka. – Agent poszerza uśmiech, a moje włosy układa z pietyzmem pięciolatki bawiącej się nową lalką Barbie. Ja zaś z przejęciem kontynuuję:

– Rozmawiałam telefonicznie z przedstawicielami kartelu. Powiedziałam im, że te zaginione dziesięć funtów heroiny ma jeden z ludzi Mike'a i towar chętnie odsprzeda. Uzgodniłam już cenę, bo niby w transakcji pośredniczę, mając z tego swój udział. Ty możesz się umówić z tymi Meksykanami tak, jak ci pasuje. Możesz zrobić na nich zasadzkę, żeby ich aresztować albo tylko gdzieś zwabić i ich podejrzeć, a potem śledzić. Zrobisz, co zechcesz.

Po wyłuszczeniu przeze mnie mojej oferty dla Mansona spogląda on na mnie niemal z miłością. Przeciąga się błogo, po czym długo i powoli wypuszcza powietrze z płuc. Następnie z nutą podekscytowania w głosie oświadcza:

– Świetnie się spisałaś. Zbiorę zespół i jutro się z tymi cwaniaczkami z kartelu jakoś ustawię.

– Nie... To nie może być jutro. – Wciskam mężczyźnie mój telefon. – Powiedziałam, że zadzwonisz dziś o dziewiętnastej. Jak tego nie zrobisz, to ich spłoszysz.

– Cholera... – Manson krzywi się na twarzy i drapie po odsłoniętym obojczyku. – To byłoby nielegalne. Nie mogę gadać z kartelem prywatnie i bez świadków – zauważa.

– Ja mogę być twoim świadkiem – podchwytnię i skruszona się kajam: – Przepraszam... cię, chyba wyszłam przed szereg. Nie miałam pojęcia, że są jakieś procedury. Inaczej bym cię tak nie wmanewrowała. Chciałam dobrze, ale widać źle zrobiłam. Strasznie mi głupio, że tak wyszło...

– Cóż...

– Więc skoro się boisz, to...

– Wcale się nie boję! – powarkuje Mark i wyrywa mi z dłoni podawany mu telefon. Poddenerwowany zerka na elektroniczne urządzenie, to na zegarek, który pokazuje już prawie godzinę dziewiętnastą.

Widzę po Mansonie, że prowadzi ze sobą wewnętrzną walkę. Wreszcie dzieli się ze mną jej wynikiem:

– Pokaż mi ten numer do Meksykanów. Pieprzyć to, zadzwonię do nich.

– Jak uważasz, Mark... – Uruchamiam połączenie wychodzące. Odsuwam się nieco od agenta federalnego i za sprawą ustawienia głośnej rozmowy w telefonie przysłuchuję się nawiązanej dyskusji:

– Mówi Mark... To znaczy... John.

– Cześć... John. To ty jesteś Świętym Mikołajem?

– Świętym Mikołajem?

– Masz dla nas... prezent?

- *Tak, mam dla was... prezent.*
- *Ile waży?*
- *Dziesięć funtów.*
- *Zgadza się. A cena uzgodniona przez Rudolfa ci odpowiada?*
- *Kim jest... Rudolf?*
- *To pomocnik Świętego Mikołaja, czyli twój.*
- *Ok, już łapię...*
- *To co z tą ceną?*
- *Pasuje mi.*
- *To świetnie, John. W takim razie powiedz nam, gdzie mamy podstawić renifery?*
- *W okolicy Crestone jest taka buda na pustkowiach. To stary bunkier. Znacnie tę miejscówkę?*
- *Bywaliśmy tam, John.*
- *Na przekazanie prezentu możemy umówić się tam na jutro. Powiedzmy o... dwudziestej drugiej.*
- *Może być. Grunt, aby zdążyć przed Gwiazdką.*
- *Będziecie mieli całą kasę?*
- *No jasne, John.*
- *To mamy umowę, tak?*
- *Tak, mamy. Tylko nie chcemy w okolicy żadnych skrzatów w niebieskich kubraczkach. Nie próbuj z nami żadnych numerów.*
- *Spokojnie. Chcę tylko kasę za... prezent. Nie chcę kłopotów.*
- *My też, John. Zatem do jutra, do dwudziestej drugiej.*
- *Do jutra.*

Połączenie telefoniczne zostaje zakończone. Wtedy brunet w częściowo rozpiętej koszuli uśmiecha się do mnie uszczęśliwiony i z uznaniem kiwa mi głową. Ja przyklaskuję w dłonie i uciesznie wybucham:

– John? Przecież nazywasz się Mark Manson!

– Racja, nazywam się Mark Manson. Ale raczej nie wypadało mi, złotko, w narkotykowej transakcji podać moje prawdziwe imię i nazwisko. Jestem agentem federalnym i ludzie z kartelu mogą mnie mieć na liście.

– Aha...

– Zresztą sama słyszałaś, że rozmawialiśmy za pomocą szyfru.

– No tak...

– Ty to jednak głupiutka jesteś. Wszystko ci trzeba, jak dziecku, tłumaczyć. – Pewny siebie mężczyzna patrzy na mnie z politowaniem.

Ja zaś, ta niby głupiutka, w kieszeni sukienki właśnie wyłączam dyktafon. Nagrałam na nim dealerską rozmowę przedstawiciela kartelu z Mansonem, który zaraz później podał swoje dane osobowe, demaskując swoją prawdziwą tożsamość.

Ponadto rozmowa odbyła się za pośrednictwem telefonu niejakiego Mendozy z Ciudad Juarez, który jest cały czas na podsłuchu służb federalnych. To dokładnie miała załatwić Liliana w Meksyku, czyli ustawienie transakcji z narkotykowym bossem, i odniosła tu sukces. Do tego Hunter akurat powinien pakować dziesięć funtów heroiny do bagażnika Marka. Czy zdoła się on z tego wykręcić? Nie widzę na to większych szans i z zimną krwią przystępuję do jego egzekucji:

– Przepraszam na chwilę. Od emocji muszę do toalety, bo zaraz się posiusiam. – Idę do łazienki i zamykam się w kabinie z sedesem. Z tego miejsca przesyłam na policję plik z treścią, którą nagrałam dyktafonem oraz podaję swoją lokalizację.

W kolejności powracam do agenta federalnego i ostatnie, co muszę zrobić, to zatrzymać go jeszcze pewien czas w tym miejscu:

– Uczymy nasze zwycięstwo, które jest... wielkie? – Po powrocie do pokoju wskazuję na swój obecnie już obnażony biust. Zresztą cała stawiam się naga, aby powstrzymać zbierającego się do wyjścia Marka. On podekscytowany rzuca:

– Powiniennem jak najszybciej nawiązać kontakt z moim zespołem.

– Zespół nie ucieknie. A ja... ostygnę bez ciebie. – Podchodzę do mężczyzny. – No nie mów mi teraz, że i ja nie zasłużyłam na prezent. Razem na niego zasłużyliśmy... – Pozbywam faceta białej koszuli i masuję po owłosionym torsie.

– Dobra. Niech będzie seks. Tylko szybki.

Te ponaglenie w ogóle do mnie nie dociera, ponieważ z premedytacją wcale nie zamierzam się spieszyć. Bawię się delikatnymi pocałunkami męskiej klatki piersiowej, to szyi.

W ten sposób długo gram na czas. Ale też pobudzam seksualnie faceta, czego on w końcu nie wytrzymuje:

– Dość tego – powarkuje Mark. Chwyta mnie i rzuca na pośłanie. Już chce mnie przygnieść swoim ciałem, ale roześmiana mu uciekam:

– Złap mnie! Złap mnie! – Chowam się za kantem łóżka i przyjmuję gardę z poduszki.

– To wcale nie jest... śmieszne – posykuje już dobrze poirytowany samiec. Ja radośnie odpowiadam:

– Owszem, jest bardzo śmieszne!

– Dopadnę cię i uduszę.

– Nie ma szans!

– Tylko... czekaj. – Z zaciętym wyrazem twarzy mężczyzna skacze na mnie. Przetaczam się po pośłaniu i unikam pochwylenia. Jednocześnie wydzieram się wniebogłosy, zupełnie jakbym stała się ofiarą seksualnej napaści.

Nasza głośna zabawa w kotka i myszkę trwa dłuższy czas. Aż Markowi udaje się mnie przydybać na łóżku. Obezwładnia mnie na pościeli, po czym, zgodnie ze swoją zapowiedzią, wręcz brutalnie przydusza, abym mu nie uciekła.

Daremnie próbuję oderwać męską rękę od mego gardła. Nadmiarowo przy tym charczę i udając rzeczywistą grozę, skamlę:

– Nie zabijaj mnie, Mark. Błagam cię... Nie rób mi krzywdy!

Wtem mój żałosny głosik zostaje przykryty szeregiem gniewnych i zdecydowanych krzyków:

– Policja, nie ruszaj się!

– Nie duś jej!

– Zejdź z niej, skurwielu!

– Zostaw ją!

– Spokojnie... panowie. To były między nami tylko takie zwykłe... igraszki. – Oszołomiony agent federalny podźwiga się ze mnie.

Na zawołanie już jestem zapłakana i porywam się do najbliższego policjanta. Obejmuję go i szlochając, z rozpaczą z siebie wyrzucam:

– Tak bardzo się... bałam. Powiedział, że mnie zgwałci i zabije. Groził, że mnie udusi... gołymi rękoma, a potem poćwiartuje. Tak się... bałam.

*– Już dobrze, już po wszystkim. Niech się pani ubierze. Proszę, tu jest ubranie. –
Umundurowany mężczyzna podaje mi moją sukienkę.*

*Ten z kolei facet, który jest za moją sprawą pólnagi, i który ma już skute na lędźwiach ręce,
lekceważąco oznajmia:*

*– Nie wrobiecie mnie w gwałt. Wszystko tu działa się za obopólną zgodą. Żaden sąd mnie za to
nie skáže.*

*– Ale za to już tak, Mark. – W pomieszczeniu pojawia się znany mi z przestuchań Frank.
Kładzie na łóżku zapakowaną w folię heroinę i grobowym tonem oświadcza: – Dostaliśmy
anonim, że handlujesz narkotykami. Sprawdziliśmy twój wóz i tylko zobacz, jaki nam tam
zostawiłeś... prezent.*

– Prezent... Przecież jest oczywiste, że to podrzutka. Jak na dłoni widać, że jestem wrabiany!

– Wiesz, jak ja to widzę, Mark?

– No niby jak, Frank?!

– Wiesz, jak sobie to w głowie właśnie poukładałem?

– No dawaj, śmiało, kolego!

*– Ta dziewczyna tutaj się w tobie zakochała. Nagrywała cię, bo z zazdrości chciała cię
zdemaskować przed twoją żoną, że masz kochankę. Przypadkiem nagrała też twoją rozmowę
z kartelem i spanikowała. Przesłała nagranie glinom. Ty ją nakryłeś wystraszoną z telefonem
i nabrałeś podejrzeń, że ona może cię wsypać. Wywiązała się między wami kłótnia. Następnie
postanowiłeś pozbyć się niewygodnego świadka. Chciałeś biedną dziewczynę zabić. Na
szczęście interweniowaliśmy w porę.*

– Masz paranoję... Frank.

– Ty masz za to poważne kłopoty z prawem, Mark.

– Czekaj... Chodzi ci może o to, że to ja dostałem awans, a nie ty? Mścisz się, naprawdę?

– Daj spokój...

– To może chodzi o Weronikę? Masz ochotę na moją żonkę, co? Przyznaj się, skurwielu.

– Trzymajcie go. Jest niebezpieczny.

– Dobiorę ci się jeszcze do dupy. Tylko poczekaj, Frank!

*– Masz prawo milczeć, Mark. Wszystko co powiesz może, i będzie, użyte przeciwko tobie w
sądzie.*

- Pierdolę sąd!
- Masz prawo do adwokata.
- Pierdolę go!
- Jeśli cię na niego nie stać, zostanie ci przyznany z urzędu. Czy rozumiesz swoje prawa?
- Pierdolę moje prawa! Pierdolę was wszystkich, a najbardziej ją, pierdolonego aniołka!

*

Hosanna na wysokości. Rozstępują się białe obłoki. Świetliste słońce góruje na nieskazitelnym firmamencie błękitnego nieba i niczym boską łaskę zsyła bezmiar złocistych promieni.

Skąpani w nich oczekujemy przed budynkiem policji na wyjście z aresztu Mike'a, wobec którego śledztwo zostało umorzone. Oprócz mnie skromny komitet powitalny stanowi Liliana, jej brat Alex i Hunter.

Lecz to nie ilość witających Damona osób najbardziej się liczy. O naszej wartości stanowi przede wszystkim nasze oddanie, które skutkuje tym, że po wielu perturbacjach ostatecznie znów będziemy wszyscy razem, nierozdzieleni. Czyż nie jest to po prostu wspaniałe?

I oto on, wychodzi przed nas postawny brunet ubrany w ciemne skóry naszpikowane pentagramami. Wygląda zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy widziałam go na szkolnym korytarzu. Wówczas zrobił na mnie wielkie, iście piorunujące wrażenie. Ale teraz wcale nie jest ono mniejsze.

Dopiero widząc mego ukochanego na wolności, uświadamiam sobie, że król może być tylko jeden. Dociera do mnie, jak bardzo go kocham i że na dobrą sprawę zawsze go bezgranicznie miłowałam. Chwilami jedynie o tym zapominałam, błędząc ciemnymi zakamarkami mego serca. Obecnie jednak znów promienieje ono czystą miłością. Nią rozświetlone nie pozostawia mi żadnych złudzeń, co do obiektu mego szczęścia.

Mężczyźnie moich marzeń wychodzę naprzeciw z zaszklonymi ze wzruszenia oczami. Niczym anielskie skrzydła rozpościeram ramiona, po czym obejmuję nimi Mike'a, samej tonąc w jego silnym uścisku.

Tulona rozumiem, jak nigdy wcześniej, że nieważne do jak niskiego piekła się spadnie, za sprawą prawdziwie miłosego uczucia znów można wzlecieć na anielskich skrzydłach ku jasnemu niebu. Ponownie można kochać całą sobą i to miłością szczerze odwzajemnioną:

- Aniołku...
- Mike...
- To nie do wiary, co ci się udało.

– Wiara, nadzieja i miłość. To one mi pomogły. Sprawily, że znów jesteśmy razem.

– Kocham cię, aniołku. Kocham na zawsze.

– Ja ciebie także kocham, Mike. Kocham na zabój – szepczę i namiętnie całuję się z ukochanym.

Rozanielona myślę sobie, niech nasze gorące uczucie na zawsze już w nas płonie. Niech rozpala w nas tylko jeszcze większy i mocniejszy ogień. Niech podsyca płomiennego uczucia żar i wzmacnia zakochania czar. Takiego spełnienia życzę każdemu oraz każdej na świecie z bezgranicznie zakochanych par. Życzę miłości mi i tobie, życzę miłości nam i wam.

Spis treści

I. Tarot – As Pucharów

II. Tarot – Dwóch Pucharów

III. Tarot – Trzech Pucharów

IV. Tarot – Czterech Pucharów

V. Tarot – Pięciu Pucharów

VI. Tarot – Sześciu Pucharów

VII. Tarot – Siedmiu Pucharów

VIII. Tarot – Ośmiu Pucharów

IX. Tarot – Dziewięciu Pucharów

X. Tarot – Dziesięciu Pucharów

XI. Tarot – Paź Pucharów

XII. Tarot – Rycerz Pucharów

XIII. Tarot – Królowa Pucharów

XIV. Tarot – Król Pucharów